

Dennis Lehane

WYPIJMY, NIM
ZACZNIE SIĘ WOJNA

NA CELOWNIKU



*Lehane przemawia oryginalnym głosem.
Przemienia cyniczną powieść kryminalną
w elegijną rozprawę o korupcji duszy.*

Michael Conelly

Świat Książki

Dennis Lehane

Wypijmy, nim się zacznie wojna

(A drink before the war)

Przełożyła Maria Klimek-Lewandowska

Podziękowania

Podczas pisania tej książki radą, krytyką, zachętą i wiarą, za które jestem i zawsze będę wdzięczny bardziej, niż jestem to w stanie wyrazić, służyli mi:

John Dempsey, Mail Ellenburg, Ruth Greenstein, Tupi Konstan, Gerard Lehane, Chris Mullen, Courtney Pelech, Ann Riley, Ann Rittenberg, Claire Wachtel i Sterling Watson.

Od autora

Niemal cała akcja powieści toczy się w Bostonie, ale obraz miasta i jego instytucji zarysowany został dość swobodnie. Zabieg ten jest najzupełniej celowy. Przedstawiony tu świat jest fikcyjny, podobnie jak postacie i wydarzenia. Wszelkie podobieństwo do autentycznych zdarzeń i osób, żyjących i zmarłych, jest najzupełniej przypadkowe.

Moje najwcześniejsze wspomnienia wiążą się z pożarami.

W wieczornych wiadomościach oglądałem, jak płoną Watts, Detroit i Atlanta. Widziałem morze mangrowców i liście palm tłące się pod napalmem, gdy Cronkite mówił spoza ekranu o dwustronnym rozbrojeniu i o wojnie, która straciła sens.

Mój ojciec, strażak, często budził mnie w nocy, żebym oglądał najnowsze doniesienia telewizyjne o pożarach, które gasił. Czulem od niego dym i sadzę, duszącą woń benzyny i smaru; gdy siedziałem na jego kolanach w starym fotelu, te zapachy wydawały mi się bardzo przyjemne. Pokazywał mi siebie, jak przebiega przed kamerą; mglisty cień podświetlony szalejącą czerwienią i migotliwą żółcią.

Czas płynął, a pożary zdawały się rosnać razem ze mną. Gdy niedawno płonęło Los Angeles, dzieciak we mnie zastanawiał się, co to będzie, jeśli popiół i dym ruszą na północny wschód, zatrzymają się nad Bostonem, zatrują nasze powietrze.

Ubiegłego lata chyba to się stało. Nienawiść przysła

do nas jak tornado. Używaliśmy różnych określeń – rasizm, pedofilia, sprawiedliwość, praworządność – ale wszystkie te słowa były jak wstążki i ozdobny papier na pobrudzonym prezencie, którego nikt nie chciał otworzyć.

Ubiegłego lata ginęli Indzie. Większość z nich była niewinna. Niektórzy winni, jedni mniej, inni bardziej.

Ubiegłego lata ludzie zabijali. Nikt z nich nie był niewinny. Wiem to dobrze. Byłem jednym z nich. Patrzyłem przed siebie nad smukłą lufą pistoletu, spoglądałem w oczy oszalałe ze strachu i nienawiści i widziałem w nich swoje odbicie. Pociągnąłem za spust, chcąc sprawić, by znikło.

Słyszałem echo swojego wystrzału, czułem zapach prochu i w dymie nadał widziałem swoje odbicie; wiedziałem, że będę je widział już zawsze.

Żeby zobaczyć Ogrody Bostońskie z baru hotelowego w Ritzu-Carltonie, trzeba mieć krawat. Podziwiałem już Ogrody Bostońskie z innych punktów obserwacyjnych, nie mając krawata, i nie czułem, żeby mi czegoś brakowało, ale może w Ritzu wiedzą coś, czego ja nie wiem.

Co do ubrań, preferuję dżinsy i T-shirty, ale szedłem tam służbowo, więc ten czas należał do nich, nie do mnie. Poza tym ostatnio trochę się opuściłem w praniu i moje dżinsy pewnie mogłyby same przejechać się metrem i spotkać się ze mną na miejscu. Wybrałem granatowego dwurzędowego armaniego – jeden z kilku garniturów, które dostałem od splukanego klienta – wyszukałem odpowiednie buty, krawat i koszulę i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zrobiłem się taki śliczny, że chciałoby się mnie schrupać.

Przechodząc przez Arlington Street, z uznaniem przyjrzałem się swojemu odbiciu w przydymionej szybie baru. Dziarski krok, błysk w oku i każdy włoszek na swoim miejscu. Życie jest piękne.

Młodziutki odzwierny o policzkach tak gładkich, jakby udało mu się jakimś cudem ominąć okres dojrzewania, otworzył przede mną mosiężne drzwi, mówiąc: „Z radością witamy w Ritzu-Carltonie”. W dodatku mówił szczerze – jego głos drżał z dumy, że wybrałem właśnie jego urokliwy hotelik. Zamaszystym gestem wyciągnął rękę, aby wskazać mi kierunek, na wypadek gdybym sam na to nie wpadł, i zanim zdążyłem mu podziękować, drzwi się za mną zamknęły, a on już przywoływał najlepszą na świecie taksówkę dla jakiegoś innego szczęściarza.

Moje buty z żołnierską sprężystością stuknęły

o marmurową posadzkę, a ostre kanty spodni odbijały się w mosiężnych popielniczkach. W lobby Ritza zawsze miałem uczucie, jakbym zaraz miał zobaczyć George'a Reevesa jako Clarka Kenta albo może Bogeya, jak pali papieroska z Raymondem Masseyem. Ritza to jeden z hoteli niewzruszonych w swoim statecznym luksusie: przepyszne dywany o orientalnych wzorach, recepcja i portiernia z lśniącego dębu, tętniące życiem foyer, przystanek wygodnie rozpartych handlarzy władzą, którzy w teczkach z miękkiej skóry taszczą ze sobą cudzą przyszłość, bostońskie arystokratki w tych swoich futrach, z tym swoim zniecierpliwieniem, spieszące na codzienny manikiur, i legion służby hotelowej w granatowych uniformach, z solidnymi mosiężnymi wózkami bagażowymi, których kółka z najdelikatniejszym poszumem wyszukiwały punkty podparcia, tocząc się po grubym, miękkim podłożu. Bez względu na to, co działo się na zewnątrz, stojąc w tym lobby i patrząc na tych ludzi, można było odnieść wrażenie, że na Londyn wciąż jeszcze spadają niemieckie bomby.

Ominąłem portiera przy wejściu do baru i sam sobie otworzyłem drzwi. Jeśli go rozśmieszyłem, w żaden sposób tego nie okazał. Jeśli był żywy, w żaden sposób tego nie okazał. Stałem na pluszowym dywanie; ciężkie drzwi zamknęły się cichutko i zobaczyłem ich przy odległym stoliku z widokiem na ogrody. Trzech facetów mających dość wpływów politycznych, by przesznułować nas wszystkich w dwudziesty pierwszy wiek.

Najmłodszy z nich, Jim Vurnan, na mój widok podniósł się i przybrał miły wyraz twarzy. To jego zawód; jest kongresmenem z mojego okręgu wyborczego. Przemierzył dywan trzema długimi susami; szeroki uśmiech a la Jack

Kennedy podązał tuż za jego wyciągniętą dłonią. Ująłem ją.

– Cześć, Jim.

– Patrick – powitał mnie, jakby cały dzień spędził na płycie lotniska, wyczekując mojego powrotu z obozu jenieckiego. – Patrick – powtórzył – tak się cieszę, że mogłeś się z nami spotkać. – Dotknął mojego ramienia i obrzucił mnie wzrokiem pełnym uznania, najwidoczniej nie pamiętając, że widzieliśmy się nie dalej jak wczoraj. – Świetnie wyglądasz.

– Zapraszasz mnie na randkę?

Jim przyjął mój żarcik serdecznym śmiechem, o wiele serdeczniejszym, niż na to zasługiwał. Poprowadził mnie do stolika.

– Patrick Kenzie, senator Sterling Mulkern i senator Brian Paulson.

Mówił „senator” tak, jak niektórzy mówią „Hugh Hefner” – z trwożnym podziwem.

Sterling Mulkern był kwitnącym, rumianym, krzepkim mężczyzną, jednym z tych, którzy obnoszą swoją wagę jak broń, nie jak ciężar. Miał grzywę siwych włosów tak gęstą, że swobodnie mógłby na niej wylądować dc-10, i uścisk dłoni o sile niemal paraliżującej. Był przywódcą większości rządowej w Senacie gdzieś pewnie od zakończenia wojny domowej i nie wybierał się na emeryturę.

– Pat, chłopcze, jak miło znów cię zobaczyć – powiedział. Mówił z afektowanym irlandzkim akcentem, którego zdołał nabyć, dorastając w południowym Bostonie.

Brian Paulson był za to chudy jak kij od szczotki, miał przylizane włosy koloru cyny i wilgotną, hakowatą dłoń. Usiadł dopiero, gdy zrobił to Mulkern. Ciekawe, czy spytał go o pozwolenie, zanim oblepił potem moją rękę. Na

powitanie kiwnął głową i zamrugał powiekami jak ktoś, kto tylko na chwilę wychynął z cienia. Słyszałem, że jednak ma mózg wyostrzony przez lata wysługiwania się Mulkernowi.

Mulkern nieznacznie unióśł brwi i spojrział na Paulsona. Paulson unióśł brwi i spojrział na Jima. Jim unióśł brwi, spoglądając na mnie. Odczekałem sekundę i uniosłem brwi, spoglądając na wszystkich trzech.

– Zostałem przyjęty do klubu?

Paulson wyglądał na skonsternowanego. Jim uśmiecnał się lekko.

– Od czego zacznijemy? – zagał Mulkern. Spojrzałem za siebie, w stronę baru.

– Od drinka?

Mulkern roześmiał się serdecznie, a Jim i Paulson zawtórowali. Teraz wiedziałem, skąd Jim czerpie inspirację. Dobrze przynajmniej, że nie klepnęli się równocześnie po udach.

– Naturalnie – rzekł Mulkern. – Naturalnie.

Podniósł dłoń i obok mojego łokcia wyrosła niewiarygodnie czarująca młodziutka dziewczyna, ze złotą tabliczką, która identyfikowała ją jako „Rachel”.

– Czym mogę służyć, panie senatorze?

Możesz służyć temu młodemu człowiekowi drinkiem. Zabrzmiało to jak coś między rechotem a warknięciem. Rachel tylko uśmiecnała się jeszcze promiennie. Obróciła się lekko i skierowała wzrok na mnie.

– Proszę bardzo. Czego pan sobie życzy?

– Piwa. Macie tu coś takiego?

Roześmiała się. Panowie politycy też się roześmiali. Uszczypnąłem się w nogę i zachowałem powagę. Boże, cóż to za radosne miejsce!

– Tak, proszę pana. Mamy heinekena, becka, molsona, sama adamsa, st pauli girl, coronę, lówenbrau, dos equis...

– Poproszę o molsona – przerwałem, nie czekając, aż zapadnie zmierzch.

– No cóż, Patrick – Jim splótł dłonie i pochylił się ku mnie. A więc czas przejść do rzeczy. – Mamy pewien drobny...

– Ambaras – rzekł Mulkern. – Pewien drobny ambaras. Coś, co powinno zostać dyskretnie załatwione i zapomniane.

Przez chwilę wszyscy milczeliśmy. Sądzę, że byliśmy pod głębokim wrażeniem faktu, iż znamy człowieka, który w potocznej rozmowie używa słowa „ambaras”.

Ja pierwszy otrząsałem się z kornego zachwytu.

– Na czym konkretnie polega ten ambaras?

Mulkern odchylił się na oparcie krzesła, nie spuszczać ze mnie wzroku. W tej chwili zjawiała się Rachel, postawiła przede mną oszronioną szklanekę i wlała do niej dwie trzecie molsona. Czarne oczy Mulkerna nie odrywały się od moich.

– Życzę miłego wieczoru – powiedziała Rachel i znikła. Powieki Mulkerna nawet nie drgnęły. Może zamrugałby, gdyby coś wybuchło.

– Znałem dobrze twojego ojca, chłopcze. Takich jak on... no cóż, nikogo takiego już później nie spotkałem. Prawdziwy bohater.

– Zawsze wyrażał się o panu z sympatią, panie senatorze.

Mulkern skinął głową, jakby to było oczywiste.

– Wielka szkoda, że zmarł tak wcześnie. Zdawało się, że jest silny jak Jack LaLane, ale – poklepał się po klatce piersiowej – z tą pompką nigdy nic nie wiadomo.

Mój ojciec umarł po półrocznej walce z rakiem płuc, ale jeśli Mulkern woli myśleć, że to był zawał, co to komu szkodzi?

– No i proszę, oto siedzi przed nami jego syn – ciągnął.
– Już prawie dorosły.

– Prawie – przyznałem. – Miesiąc temu nawet zacząłem się golić.

Jim wyglądał, jakby połknął żabę. Paulson rzucił mi spojrzenie z ukosa.

Mulkern uśmiechnął się promiennie.

– Nie gniewaj się, chłopcze. Nie gniewaj się. Masz rację. – Westchnął. – Mówię ci, Pat, kiedy dojdiesz do mojego wieku, sam się przekonasz, jak to jest. Człowiek nie pamięta, co robił wczoraj, ale to, co było dawno, ma przed oczami jak żywe.

Pokiwałem głową, robiąc mądrą minę, choć nie miałem pojęcia, o co mu chodzi.

Mulkern zamieszał drinka, wyjął mieszadełko i starannie ułożył je na serwetce.

– Rozumiem, że gdy chodzi o znalezienie człowieka, nie mogliśmy trafić lepiej – mówiąc to, wyciągnął otwartą dłoń w moją stronę.

Skinąłem głową.

– Bez fałszywej skromności, prawda?

Wzruszyłem ramionami.

To mój zawód. Czemu nie miałbym być w tym dobry? Pociągnąłem łyk molsona. Słodkawa goryczka rozplynęła mi się na języku. Nie po raz pierwszy pożałowałem, że rzuciłem palenie.

– Cóż, chłopcze, nasz problem polega na tym: w przyszłym tygodniu pod obrady wchodzi dość ważna ustawa. Mamy w tej debacie naprawdę mocne argumenty,

ale pewne metody i kontakty, które wykorzystaliśmy do ich zgromadzenia, mogłyby zostać... niewłaściwie zrozumiane.

– Na przykład?

Mulkern pokiwał głową i uśmiechnął się, jakby dziękując za uznanie.

– Niewłaściwie zrozumiane – powtórzył.

Niech mu będzie.

– I zapewne istnieje jakaś dokumentacja... ślad wykorzystania owych metod i kontaktów?

– Bystry jest – zwrócił się do Jima i Paulsona. – Tak, tak. Bystry. – Przeniósł wzrok na mnie. – Dokumentacja – rzekł. – Właśnie w tym rzecz, Pat.

Zastanawiałem się, czy nie powinienem mu powiedzieć, że nienawidzę, gdy ktoś nazywa mnie „Pat”. Może zacznę zwracać się do niego per „Sterl” i zobaczę, jak mu się to spodoba? Upiłem trochę piwa.

– Zajmuję się poszukiwaniem ludzi, nie przedmiotów, panie senatorze.

– Jeśli mogę coś dodać – wtrącił Jim – te dokumenty są u osoby, która właśnie ostatnio zaginęła. U...

– ...dotychczas zaufanej pracownicy parlamentu stanowego – dokończył Mulkern. Sztukę trzymania ludzi stalową dłonią w aksamitnej rękawiczce miał opanowaną do perfekcji. W jego zachowaniu, tonie, sposobie bycia nie było nic, co sugerowałoby choćby cień niezadowolenia, a mimo to Jim wyglądał jak przyłapany z rękami pod kołdrą. Pociągnął długi łyk szkockiej. Kostki lodu zagrzechotały o szkło. Nie sądzę, żeby w najbliższej przyszłości zdecydował się jeszcze coś wtrącić.

Mulkern spojrział na Paulsona, ten zaś sięgnął do teczki, wyciągnął z niej jakieś papiery i podał je mnie.

Na wierzchu była fotografia, dość niewyraźna. Powiększenie identyfikatora pracownika parlamentu stanowego. Przedstawiała czarną kobietę w średnim wieku, o zmęczonych oczach i zniszczonej twarzy. Usta miała lekko rozchylone i skrzywione, jakby chciała wyrazić zniecierpliwienie opieszałością fotografa. Przewróciłem kartkę i na środku następnej zobaczyłem ksero jej prawa jazdy. Nazywała się Jenna Angieline. Miała czterdzieści jeden lat, choć wyglądała na pięćdziesiąt. Kategoria B, wydane w stanie Massachusetts, bez adnotacji. Oczy brązowe, wzrost sto sześćdziesiąt pięć centymetrów. Adres – Kenneth Street 412, Dorchester. Numer polisy ubezpieczeniowej 042-51-6543.

Podniosłem wzrok na moich trzech panów polityków; jakoś mimowolnie powędrował ku środkowi, prosto w mroczne, nieruchome oczy Mulkerna.

– Więc?

– Jenna była sprzątaczką w moim biurze. I Briana. – Wzruszył ramionami. – Osobiście nigdy nie miałem nic do czarnych.

To był ten typ, który mówił „czarny”, jeśli nie był pewien, czy w tym towarzystwie może sobie pozwolić na „asfalta”.

– Dopóki... – podsunąłem.

– Dopóki dziewięć dni temu nie znikła.

– Nieplanowany urlop?

Mulkern spojrzał na mnie, jakbym się urwał z choinki.

– Razem z tym „urlopem” Pat wzięła też dokumenty.

– Coś lekkiego do poczytania na plaży?

Paulson wałnął dłonią w blat stolika przed samym moim nosem. Mocno.

– To nie jest temat do żartów, Kenzie. Zrozumiano?

Przyjrzałem się tej dłoni sennym wzrokiem.

– Brian – rzucił Mulkern.

Paulson zabrał rękę, zapewne chcąc pomacać ślady rzemienia na plecach.

Powiodłem za nim tym swoim sennym wzrokiem – martwym wzrokiem, jak mówi Angie – i zwróciłem się do Mulkerna.

– Skąd wiadomo, że wzięła te... dokumenty?

Paulson odwrócił oczy ode mnie i przeniósł je na swoje martini. Było nietknięte. Teraz też się nie napił. Pewnie czekał na pozwolenie.

– Sprawdziliśmy – powiedział Mulkern. – Możesz mi wierzyć. Nikt inny nie wchodzi w grę.

– A ona dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego wchodzi w grę?

Uśmiechnął się. Błado.

– Bo znikła tego samego dnia co dokumenty. Tyle. Z takimi nigdy nic nie wiadomo.

– Aha.

– Znajdziesz ją, Pat?

Wyrzrałem przez okno. Żwawy odźwierny usadzał kogoś w taksówce. W parku para turystów w średnim wieku, ubranych w identyczne T-shirty, trzaskała fotkę za fotką pomnikowi Jerzego Waszyngtona. Po powrocie do swojego Pipidówka wywołają sensację. Pijaczek na chodniku jedną ręką przytrzymał się butelki, drugą wyciągał przed siebie, nieruchomy jak skała, czekając na drobniaki. Ulicą spacerowały piękne kobiety. Całymi chmarami.

– Jestem drogi – uprzedziłem.

– Wiem – odparł Mulkern. – A swoją drogą skoro tak,

to dlaczego ciągle mieszkasz w tej starej dzielnicy?

Powiedział to tak, jakby chciał mnie przekonać, że i jego serce tam zostało, jakby to miejsce znaczyło dla niego coś więcej niż dogodny objazd w razie korka na autostradzie.

Próbowałem wymyślić jakąś dobrą odpowiedź. Coś o korzeniach i poczuciu przynależności. W końcu powiedziałem prawdę.

– Moje mieszkanie ma prawnie regulowany czynsz.
Chyba mu się spodobało.

Moja stara dzielnica to okolice Edward Everett Square w Dorchester. Prawie siedem kilometrów od centrum Bostonu właściwego, czyli w dobry dzień mniej więcej pół godziny jazdy samochodem.

Moje biuro mieści się w dzwonnicy St Bartholomew's Church. Nigdy nie udało mi się dowiedzieć, co się stało z dzwonem, który kiedyś w niej wisiał. Zakonnice z sąsiedniej szkoły parafialnej nie chcą mi tego zdradzić. Starsze zwyczajnie nie odpowiadają na pytania, a młodsze moja ciekawość najwyraźniej bawi. Siostra Helen powiedziała mi kiedyś, że został „cudownie przeniesiony”. Tak to określiła. Siostra Joyce, moja dawna koleżanka, zawsze mówi, że „zmienił miejsce pobytu”, a przy tym rzuca mi przewrotny uśmiech, jaki zakonnicom powinien być z gruntu obcy. Jestem detektywem, ale one nawet Sama Spade'a wpędziłyby do domu wariatów.

W dniu, w którym otrzymałem licencję detektywa, nasz duszpasterz ksiądz Drummond spytał, czy nie zgodziłbym się zapewnić temu lokalowi odrobiny profesjonalnej ochrony. Jacyś niewierni znowu pokradli kielichy i świeczniki i ksiądz Drummond uznał, że – jak się wyraził – „najwyższy czas skończyć z tym skurwysyństwem”. Zaoferował mi trzy posiłki dziennie na plebanii, pierwsze zlecenie i łaskę od Boga, jeśli zasadzę się w dzwonnicy i będę tam czekał na kolejne włamanie. Ja oświadczyłem, że tak tanio się nie sprzedam. Zażądałem zezwolenia na użytkowanie dzwonnicy, dopóki nie znajdę własnego biura. Jak na duchownego skapitulował nadzwyczaj łatwo. Gdy zobaczyłem stan pomieszczenia – nieużywanego od siedmiu lat – zrozumiałem dlaczego.

Udało nam się z Angie zmieścić tam dwa biurka. I dwa krzesła. Gdy zorientowaliśmy się, że nie ma już miejsca na szafkę kartotekową, wysadziliśmy się na peceta i pakowaliśmy prawie wszystko na dyskietki, a kilka aktualnych akt trzymaliśmy na biurkach. To robi na klientach takie wrażenie, że prawie nie zwracają uwagi na pomieszczenie. Prawie.

Gdy pokonałem ostatni stopień, zobaczyłem Angie siedzącą za biurkiem. Była zajęta analizą rubryki towarzyskiej w magazynie dla pań, toteż wszedłem cichutko. Z początku mnie nie zauważyła – widocznie trafiła na prawdziwą bombę – skorzystałem więc z okazji, by poobserwować ją w rzadkiej chwili wytchnienia.

Stopy obute w czarne zamszowe botki a la Piotruś Pan oparła na biurku. Grafitowe dzinsy miała wetknięte za cholewki. Powiodłem wzrokiem wzdłuż jej długich nóg aż po luźny biały T-shirt. Resztę, z wyjątkiem fragmentu bujnych gęstych włosów barwy zalanej deszczem smoły, opadających na oliwkowe ramiona, zasłaniała gazeta. Wiedziałem, że za najnowszymi wiadomościami kryje się smukła szyja, która drży, ilekroć jej właścicielka udaje, że jakiś mój dowcip wcale jej nie rozśmieszył, harda bródka z mikroskopijnym pieprzykiem po lewej stronie, arystokratyczny nos, zupełnie nie pasujący do jej osobowości, i oczy koloru płynnego karmelu. Oczy, w których człowiek mógłby zatonać bez sekundy wahania.

Nie miałem jednak szansy w nie spojrzeć. Odłożyła gazetę i popatrzyła na mnie przez czarne okulary przeciwsłoneczne. Nie przypuszczałem, by miała je w najbliższym czasie zdjąć.

– Cześć, Poślizg – powiedziała, wyjmując papierosa z paczki leżącej na biurku.

Nikt prócz Angie nie nazywa mnie „Poślizg”. Może dlatego, że nikogo prócz Angie nie było ze mną tej nocy trzynaście lat temu, kiedy owinąłem samochód ojca wokół latarni w Lower Mills.

– Cześć, boska – odparłem, osuwając się na krzesło. Nie łudzę się, że nikt prócz mnie nie mówi do niej boska, ale to już taki nawyk. Albo stwierdzenie faktu. Do wyboru, do koloru. Ruchem głowy wskazałem okulary.

– Dobrze się wczoraj bawiłaś?

Wzruszyła ramionami i wyjrzała przez okno.

– Phil się upił.

Phil to mąż Angie. Phil to skurwiel. Tak się właśnie wyraziłem.

– No, wiesz... – Uniosła róg zasłony i chwilkę się nią bawiła. – Jest jak jest, nie? Co można na to poradzić?

– Ja służę tym, co ostatnio – odparłem. – Z prawdziwą przyjemnością.

Pochyliła głowę, tak że okulary zsunęły się aż do niewielkiego garbka na grzbiecie nosa, odsłaniając granatowy cień od kącika lewego oka aż do skroni.

– A kiedy skończysz, on znowu wróci do domu i zaszerwuje mi coś, przy czym to teraz będzie mi się wydawało pieszczotą. – Pchnęła okulary na miejsce. – Może mi powiesz, że nie mam racji?

Jej głos był jasny, ale ostry jak zimowe słońce. Nienawidzę, gdy mówi takim głosem.

– Rób, jak uważasz.

– Taki mam zamiar.

Angie, Phil i ja dorastaliśmy razem. Angie i ja, para najlepszych kumpli. Angie i Phil, para najczulszych kochanków. Tak to się czasem układa. O ile wiem, Bogu dzięki, że nie za często, ale jednak się zdarza. Parę lat temu

Angie przysłała do biura w tych okularach i z dwiema kulami bilardowymi w miejscu oczu. Miała też niezłą kolekcję siniaków na ramionach i szyi, a z tyłu głowy sterczał jej guz o wysokości ponad dwóch centymetrów. Mój wyraz twarzy musiał zdradzać moje intencje, bo pierwsze jej słowa brzmiały: „Bądź rozsądny, Patrick”. Nie żeby to był pierwszy raz. Ale najgorszy z dotychczasowych, więc odszukałem Phila w Jimmy’s Pub w Uphams Corner, bardzo rozsądnie wypilem z nim kilka drinków, zagrałem rozsądną partyjkę bilarda, a gdy w pewnej chwili poruszyłem drażliwy temat i w odpowiedzi usłyszałem „Pilnuj swojego pieprzonego nosa, Patrick”, omal nie wytlukłem z niego życia bardzo rozsądnym kijem bilardowym.

Kilka następnych dni byłem z siebie całkiem zadowolony. Niewykluczone, choć nie pamiętam dokładnie, że snulem nawet jakieś fantazje o rodzinnej sielance z Angie. Potem Phil wyszedł ze szpitala i Angie przez tydzień nie przychodziła do pracy. Gdy się w końcu zjawiła, planowała swoje ruchy niezwykle precyzyjnie, a za każdym razem, gdy siadała albo wstawała, wyrывało jej się spazmatyczne westchnienie. Twarz zostawił nietkniętą, ale reszta ciała była czarna.

Nie odzywała się do mnie przez dwa tygodnie. To były długie dwa tygodnie.

Przyglądałem jej się teraz, jak wyglądała przez okno. Nie po raz pierwszy zadawałem sobie pytanie, dlaczego taka kobieta – kobieta, której nikt, ale to absolutnie nikt nie podskoczył, która spokojnie wpakowała dwie kule szczególnemu egzemplarzowi nazwiskiem Bobby Royce, gdy ten oparł się naszym uprzejmym prośbom, by zechciał zgłosić się do aresztu, z którego wyszedł za kaucją –

pozwalala własnemu mężowi traktować się jak worek treningowy. Bobby Royce już się nie podniósł i często zastanawiałem się, kiedy przyjdzie kolej na Phila. Ale na razie nie przyszła.

A odpowiedź na moje pytanie mogłem właściwie wyczytać z miękkiego, znużonego tonu, jaki przybierał jej głos, gdy mówiła o nim. Kochała go, tak po prostu. Widocznie w chwilach ich intymności ujawniała się przed nią jakaś część jego osobowości, której ja już nie umiałem dostrzec, jakieś jego dobro, które lśniło w jej oczach niczym święty Graal. To musiało być to, bo wszystko inne w ich związku było kompletnie bez sensu, zarówno dla mnie, jak i dla każdego, kto ją znał.

Otworzyła okno i pstryknęła papierosem na zewnątrz. Nieodrodna córka miasta. Czekałem na pisk dzieciaka z półkolonii albo ciężki krok zakonniczy, wlokącej dupsko po schodach z gniewem bożym w oczach i niedopalkiem w rękę. Ale nic się nie zdarzyło. Angie odwróciła się od okna. Rześki letni wietrzyk napełnił pokój mieszaniną woni spalin, wolności i płatków bzu zaśmiecających szkolne podwórko.

– I co? – powiedziała, sadowiąc się znowu na krześle. – Znowu mamy robotę?

– Znowu mamy robotę.

– Juhuu! Ładny garnitur.

– Podobam ci się w tym stroju, co? Masz na mnie ochotę?

– O nie – z wolna pokręciła głową.

– Bo nie wiesz, gdzie byłem. Zgadza się? Znowu pokręciła głową.

– Doskonale wiem, gdzie byłeś, Poślizg, i w tym cały problem.

– Dziwka.

– Szmata. – Pokazała mi język. – No więc co to za sprawa?

Wyciągnąłem z wewnętrznej kieszeni marynarki materiały dotyczące Jenny Angieliny i rzuciłem przed nią na biurko.

– Prościzna. Znaleźć i wykonać telefon.

Przerzuciła kartki.

– Dlaczego kogoś w ogóle interesuje zniknięcie niemłodej sprzątaczk?

– Wygląda na to, że razem z nią zniknęły pewne dokumenty. Rządowe dokumenty.

– Dotyczące?

Wzruszyłem ramionami.

– Znasz przecież polityków. Dopóki coś nie trafi pod obrady, jest tajne jak Los Alamos.

– Skąd wiadomo, że to ona je wzięła?

– Spójrz na zdjęcie.

– Aha – kiwnęła głową – jest czarna.

– Dla większości ludzi to wystarczający dowód.

– Nawet dla dyżurnego liberała naszego Senatu?

– Dyżurny liberał poza swoim Senatem jest takim samym rasistą jak jego ziomkowie.

Opowiedziałem jej o spotkaniu, o Mulkernie i jego wiernym Paulsonie, i o personelu Ritza przypominającym żony ze Stepford.

– A poseł James Vurnan? Jak się spisywał w towarzystwie takich mężów stanu?

– Widziałaś ten dowcip rysunkowy z wielkim psem i małym pieskiem, który obskakuje go w kółko i pyta: „Ej, no to gdzie idziemy? Ej, no to gdzie idziemy?”.

– Tak.

– No to właśnie tak.

Chwilę ssała koniec ołówka, a potem postukała nim o przednie zęby.

– No dobrze, to była wersja dla szerokiej publiczności. A naprawdę co się stało?

– Ano właśnie.

– Ufasz im?

– Ni diabła.

– Więc jest w tym coś więcej, niż wygląda na pierwszy rzut oka, panie detektywie?

Znowu wzruszyłem ramionami.

– To demokratycznie wybrani urzędnicy państwowi. Prędzej kurwa da za darmo, niż taki powie prawdę.

Uśmiechnęła się.

– Jak zwykle doskonała analogia. Nieźle cię rodzice wyedukowali – uśmiechała się coraz szerzej, przyglądając mi się i wciąż postukując ołówkiem w lewą jedynekę, lekko skrzywioną. – No więc jakie jest to drugie dno?

Rozluźniłem węzeł krawata na tyle, by móc go ściągnąć przez głowę.

– Sam chciałbym wiedzieć.

– I to ma być detektyw – skomentowała.

Jenna Angielina tak samo jak ja urodziła się i wychowała w Dorchester. Ktoś nieorientowany mógłby pomyśleć, że to całkiem sympatyczny wspólny mianownik, jakaś więź, choćby nawet bardzo skromna, między nią a mną; dwojgiem ludzi, którzy w swoje życiowe drogi – choć odmienne – wyruszyli, z takiego samego punktu. Ale byłby w błędzie. Dorchester Jenny Angielina i moje Dorchester mają ze sobą tyle wspólnego co Paryż w stanie Texas z Paryżem, stolicą Francji.

Dorchester, w którym ja dorastałem, było tradycyjnym robotniczym osiedlem, skupionym – także w sensie kulturowym – wokół znajdujących się tu kościołów katolickich. Mężczyźni pracowali jako nadzorcy, brygadziści, pracownicy służby więziennej, technicy telefoniczni lub, jak mój ojciec, strażacy. Kobiety były gospodyniami domowymi, choć czasem też miały gdzieś jakąś posadę w niepełnym wymiarze godzin, niektóre nawet pokończyły stanowe college'e. Wszyscy tu byliśmy Irlandczykami, Polakami albo kimś takim. W każdym razie wszyscy byliśmy biali – A kiedy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku zaczęła się rządowa akcja likwidacji segregacji rasowej w szkołach publicznych, większość mężczyzn zaczęła brać nadgodziny, większość kobiet przeszła na pełne etaty, a większość dzieciaków poszła, do prywatnych szkół katolickich.

To Dorchester, rzecz jasna, zmieniło się. Rozwód – w pokoleniu moich rodziców praktycznie niespotykany – dziś jest zjawiskiem pospolitym. Nie znam też swoich sąsiadów tak dobrze, jak to kiedyś bywało. Ale nadal mamy dostęp do pracy w lepszych zakładach, zwykle

znamy swojego przedstawiciela w Izbie Reprezentantów, który może nam załatwić posadę w agencji rządowej, i w pewnym stopniu jesteśmy jednak ze sobą związani.

Dorchester Jenny Angielina jest biedne. Skupione – także w sensie kulturowym – wokół parków i domów kultury. Mężczyźni pracują fizycznie w dokach albo jako salowi w szpitalu, czasem na poczcie, nieliczni bywają strażakami. Kobiety to także salowe, kasjerki, sprzątaczkę, sprzedawczynie w domach towarowych. Zdarzają się pochodzące stąd pielęgniarki, policjanci, urzędnicy, ale na ogół, jeśli ktoś osiągnął takie szczyty kariery, to już nie mieszka w Dorchester. Przeprowadza się do Dodham, Framingham lub Brockton.

W moim Dorchester człowiek zostaje ze względu na środowisko, tradycję, ponieważ stworzył tu sobie wygodne, nawet jeśli niezbyt luksusowe życie, w którym niewiele się zmienia. Niszę.

W Dorchester Jenny Angielina człowiek zostaje, bo nie ma innego wyjścia.

Różnicę między tymi dwoma – białym i czarnym Dorchester – najtrudniej wyjaśnić ludziom z białego Dorchester. Szczególnie w mojej okolicy, ponieważ jesteśmy jedną ze stref granicznych. Wystarczy zejść z Edward Everett Square od strony południowo-wschodniej lub zachodniej, a już się jest w czarnym Dorchester. Dlatego tutejszym trudno pojąć, że są jeszcze jakieś różnice, inne niż kolor skóry mieszkańców. Pewien facet, z którym razem dorastałem, wyłożył to kiedyś tak jasno, że już jaśniej nie można:

– Hej, Patrick – powiedział. – Nie wciskaj mi tej ciemnoty. Wychowałem się w Dorchester, w biednej rodzinie. Nikt mi nigdy niczego nie dał za darmo. Mój stary

zostawił nas, kiedy byłem dzieciakiem, i chowałem się bez niego tak samo jak tamte dzieciaki z Bury. Nikt mnie nie błagał, żebym się nauczył czytać ani żebym poszedł do pracy, ani żebym stał się kimś. Nikt nie organizował dla mnie żadnej choleralnej akcji wyrównywania szans – jako żywo. A przecież ja nie wziąłem uzi, nie przystałem do gangu i nie zacząłem obrabiać innych. Więc oszczędź mi tego pieprzenia. Nic ich nie tłumaczy.

Ludzie z białego Dorchester określają czasem czarne Dorchester jako „Bury”. To skrót od Roxbury, dzielnicy Bostonu, która zaczyna się tu, gdzie czarne Dorchester już się kończy, gdzie ciała martwych czarnych dzieciaków ładuje się na karawany, czasem nawet po osiem w jeden weekend.

Czarne Dorchester też pozbywa się swojej młodzieży dość regularnie, toteż ci z białego Dorchester prawie nie mówią o nim inaczej jak „Bury”. Tyle że zapomniano uwzględnić tę korektę w planie miasta.

W tym, co powiedział mój znajomy, jest trochę prawdy, jakkolwiek powierzchownej, i ta prawda mnie przeraża. Kiedy się przejeżdża przez moją dzielnicę, widać, że nie jest zamożna, ale nie widać nędzy.

Gdy wjechałem do dzielnicy Jenny, zobaczyłem mnóstwo nędzy. Była jak wielka szkaradna blizna naznaczona wystawami zabitymi płytami pilśniowymi. Wypatrzyłem jedną, która nie była jeszcze zabita, ale sklep i tak był nieczynny. Szyby były wybite, a mur podziurawiony śladami kul niczym śmiertelnym rzutem trądziku. Wnętrze było wypalone i ogołocone, a neon, niegdyś z wietnamskim napisem oznaczającym delikatesy, rozbity. Delikatesy w tej dzielnicy najwyraźniej przestały być dobrym interesem, ale handel crackiem zapewne kwitł.

Zjechałem z Blue Hill Avenue na rozjeżdżone wzgórze ulicą, która sprawiała wrażenie, jakby jej nawierzchnią interesował się ktoś ostatnio za rządów Kennedy'ego. Czerwone jak krew słońce chowało się za przerośnięte, butwiejące chaszczki na szczycie. Tuż przede mną przez ulicę w milczeniu, niespiesznie przeszła grupka czarnych wyrostków. Gapili się na mój samochód. Było ich czterech. Jeden trzymał w ręku kij od miotły. Odwrócił się, żeby mi się przyjrzeć, i z głuchym świstem walnął nim o chodnik.

Jeden z jego kumpli, który idąc, podrzucił w górę piłkę tenisową, zaśmiał się i karcącym gestem wyciągnął palec w stronę mojej przedniej szyby. Przecięli chodnik i zniknęli na wydeptanej w nadgniłych brunatnych chwastach ścieżce między dwoma dwupiętrowymi domami. Jechałem dalej. Jakiś pierwotny odruch kazał mi się upewnić, czy w przewieszanej przez lewe ramię kaburze daje się wyczuć ciężar pistoletu.

Mój pistolet to, jak by powiedziała Angie, nie żadna pieprzona zabaweczka. To automat magnum czterdzieści cztery, automag, jak pieszczotliwie nazywa go *Najemnik* i tym podobne publikacje. Nie kupiłem go z powodu kompleksu małego członka ani kompleksu Eastwooda, ani dlatego że koniecznie chciałem mieć największego gnata w okolicy. Kupiłem go z prostej przyczyny: jestem beznadziejnym strzelcem. Muszę mieć pewność, że jeśli kiedykolwiek będę zmuszony użyć broni, trafię w cel, i to trafię na tyle dobrze, żeby padł – i żeby już tak zostało.

Są ludzie, których postrzał w rękę z trzydziestki dwójki tylko rozżłości. Ale postrzel takiego w to samo miejsce z automaga, a poprosi o księdza.

Wystrzeliłem z niego jak dotąd dwa razy. Raz, gdy pewien bezmózgi socjopata, tylko odrobinę większy niż

Rhode Island, chciał, żebym mu pokazał, jaki ze mnie twardziel. Wyskoczył ze swojego auta i był może dwa metry ode mnie – a zbliżał się szybko – gdy wypaliłem prosto w jego silnik. Wtedy stanął. Wytrzeszczył oczy na swoją cordobę, jakbym mu zastrzelił psa. Omal nie zapłakał. Ale sądzę, że dym wydobywający się z rozdartego metalu maski przekonał go, iż są na tym świecie rzeczy większe niż my dwaj.

A za drugim razem to był Bobby Royce. Trzymał Angie za szyję. Mój strzał wyrwał mu kawałek nogi. I wyobraźcie sobie! Bobby Royce jeszcze wstał. Podniósł pistolet i trzymał go w tej pozycji nawet wtedy, gdy dwie kule Angie przyśrubowały go do hydrantu, a światło w jego żrenicach zgasło. Zesztywniał z wycelowaną we mnie lufą. Wyraz jego martwych pustych oczu niewiele różnił się od tego, jaki miały, gdy jeszcze oddychał.

Zajechałem pod ostatni znany adres Jenny. Miałem na sobie perłowszarą luźną lnianą marynarkę, nieco przydużą, a więc idealnie maskującą pistolet. W każdym razie grupka małych siedzących na samochodach przed domem Jenny bez wątpienia dała się nabrać. Gdy przechodziłem przez jezdnię, zmierzając w ich stronę, jeden z nich zagadnął:

– Hej, Columbo, gdzie twoje wsparcie? Siedząca za nim dziewczyna zachichotała.

– Pod marynarką, Jerome.

Było ich dziewięcioro. Część siedziała na bagażniku wyblakłego niebieskiego chevroleta malibu z jaskrawożółtą blokadą na przednim kole – niechybną oznaką, że jego właściciel nie zapłacił za parkowanie. Pozostali obsiedli stojącego tuż za malibu forda granade w paskudnym kolorze mdłej zieleni.

Dwoje ześliznęło się i szybko oddaliło ze spuszczoneymi głowami, pocierając dłońmi czoła.

Doszedłem do samochodów i zatrzymałem się.

– Jenna w domu?

Jerome wybuchnął śmiechem. Był szczupły i muskularny, wyluzowany. Miał na sobie fioletowy T-shirt, białe szorty i czarne buty do koszykówki.

– Jenna w domu? – powtórzył piskliwym falsetem. – Jakby znali się z Jenną od dziecka. Nie, stary, Jenna wyjechała w interesach. – Pozostali też zaczęli się śmiać. Spojrzał na mnie i potarł dłonią podbródek. – Ale ja jestem jej, no wiesz, sekretarzem. Możesz mi zostawić wiadomość.

Reszta małaolatów na dźwięk słowa „sekretnarz” ze śmiechu zgięła się w pół.

Mnie też to rozbawiło, ale musiałem zachowywać się tak, jakbym panował nad sytuacją.

– Na przykład, że mój agent zadzwoni do jej agenta?

Jerome patrzył na mnie z kamiennym wyrazem twarzy.

– Właśnie, stary, coś takiego. Co sobie życzysz.

Znowu śmiech. Coraz głośniejszy.

To właśnie ja, Patrick Kenzie. Jak nikt umiem się dogadać z młodzieżą. Przeszedłem między autami, co nie jest łatwe, gdy nikt nawet nie drgnie, żeby zrobić ci miejsce, ale jakoś się udało.

– Dzięki za pomoc, Jerome.

– Hej, stary, nie ma o czym mówić. To tylko drobna częśćka mojej wspaniałej osobowości.

Wszedłem na schodki prowadzące do domu Jenny.

– Kiedy zobaczę się z Jenną, nie omieszkać jej wspomnieć, jaki byłeś miły.

– Cholernie ładnie z twojej strony – pożegnał mnie

Jerome, gdy znikalem w sieni.

Jenna mieszkała na drugim piętrze. Wdrapałem się po schodach, wdychając znajomy zapach domu z biednej dzielnicy: obłazącego, wyprażonego na słońcu drewna, starej farby, kocich odchodów, desek i linoleum na podłodze, w którą przez dziesiątki lat wsiąkały stopiony śnieg i błoto z mokrych butów, rozlane piwo i słodkie napoje gazowane, i popiół z tysięcy rzucanych pod nogi niedopałków. Uważałem, żeby nie dotykać poręczy; wyglądała, jakby w każdej chwili była gotowa odpaść od słupków.

Dotarłem na samą górę i znalazłem się pod drzwiami Jenny, albo raczej pod tym, co z nich zostało. Ktoś wyrwał klamkę razem z zamkiem. Leżała teraz na stosie drzazg na podłodze. Szybki rzut oka na przedpokój pozwolił mi dostrzec cienki pasek zielonego linoleum usianego połamanymi nogami od krzeseł, roztrzaskaną szufladą, pociętymi ubraniami, pierzem z poduszek i częściami małego przenośnego radia.

Wyciągnąłem pistolet i centymetr po centymetrze wsunąłem się do środka, omiatając każde drzwi oczami i lufą. Dom zalegała ta szczególna cisza panująca we wnętrzach, w których nie pozostała już żadna żywa istota, ale już kiedyś dałem się nabrać na taką ciszę, po czym została mi pamiętka – zdrutowana szczeka.

Dopiero po dziesięciu minutach wyteżonych i pełnych napięcia poszukiwań uznałem, że mieszkanie istotnie jest puste. Byłem cały zlany potem, kark bolał mnie jak cholera, a mięśnie rąk stwardniały jak płyta kartonowo-gipsowa.

Opuściłem rękę z pistoletem i już swobodniej przeszedłem się po mieszkaniu, jeszcze raz sprawdzając

pokoje, temu i owemu przyglądając się dokładniej. Nic nie wyskoczyło z sypialni i nie zaczęło tańczyć przed moimi oczami, trzymając nad głową neonowy napis POSZLAKA!!! Z łazienki też nie. Również kuchnia i pokój dzienny okazały się nieskłonne do współpracy. Widać było tylko, że ktoś tu czegoś szukał, przy czym delikatność obejścia nie była jego główną troską. Wszystko, co dało się stłuc, zostało stłuczone, a co dało się rozpruć – rozprute.

Wyszedłem do przedpokoju i nagle z prawej strony doleciał mnie jakiś dźwięk. Wykonałem piruet; znad swojej wielkiej lufy zobaczyłem Jerome'a, który przykucnął i zakrył twarz dłońmi.

– Ho! Ho! Ho, ho, ho, ho! Nie strzelaj, kurwa, nie strzelaj!

– Chryste! – Gwałtowna fala bezwładnej ulgi przetoczyła się przez ostrą klingę adrenaliny.

– Kurwa mać! – Jerome wyprostował się, nie wiedząc czemu otrzepując T-shirt i wygładzając mankiety szortów.
– Po jaką cholere taszczysz toto ze sobą? Od niepamiętnych czasów nikt tu nie widział słoni.

Wzruszyłem ramionami.

– Co tu robisz?

– Hej, ja tu mieszkam, białasku. Widzi mi się, że to raczej ty powinienes się tłumaczyć. I odłóż tego pieprzonego gnata.

Wsunąłem pistolet do kabury.

– Co się tu stało, Jerome?

– Ba – odparł Jerome. Wszedł głębiej, obrzucając cały ten śmietnik pobieżnym spojrzeniem, jakby widział go już setki razy. – Jenna od tygodnia się nie pokazała. To się stało w weekend. – Uprzedził moje następne pytanie. – Nie, stary, nikt niczego nie widział.

– To mnie nie zaskakuje – mruknąłem.
– Aha, a w twojej dzielnicy ludzie z każdą nowiną na ochotnika pędzą na policję.

Uśmiechnąłem się.

– Jeśli nie mają innego wyjścia.

– Aha. – Jeszcze raz rzucił okiem na zdemolowane mieszkanie. – To musi być coś z Rolandem. Na pewno.

– Kto to jest Roland?

To go rozśmieszyło; zachichotał.

– Aha, jasne!

– Nie, serio. Kto to jest Roland? Odwrócił się i wyszedł z mieszkania. – Wracaj do domu, białasku. Ruszyłem za nim po schodach.

– Kto to jest Roland, Jerome?

Przez całą drogę aż do parteru z niedowierzaniem kręcił głową. Na werandzie, gdzie jego kumple obsiedli schodki, wystawił kciuk do tyłu, wskazując na mnie.

– Pyta się, kto to jest Roland.

Wybuchnęli śmiechem. Pewnie od dawna nie spotkali tak zabawnego białego.

Gdy wyszedłem na werandę, większość wstała. Dziewczyna zagadnęła:

– Chcesz wiedzieć, kto to jest Roland?

Zszedłem do połowy stopni.

– Chcę wiedzieć, kto to jest Roland.

Jeden z większych chłopaków dźgnął mnie wskazującym palcem w ramię.

– Kurwa, człowieku, Roland to nocny koszmar.

– Straszniejszy niż twoja żona – dorzuciła dziewczyna. Wszyscy znowu wybuchnęli śmiechem. Zszedłem na sam dół i przecisnąłem się między błękitnym malibu a zieloną granadą.

– Trzymaj się od Rolanda z daleka – poradził mi Jerome. – To, co zabije słonia, Rolanda nawet nie wytrąci z równowagi. Bo to nie jest zwykły człowiek.

Zatrzymałem się, odwróciłem. Dłoń oparłem o malibu.

– No więc kto to jest?

Jerome wzruszył ramionami. Splótł ręce na piersiach.

– Samo zło. Najgorsze, jakie może być.

Gdy tylko wróciłem do biura, zamówiliśmy chińskie zarcie i wymieniliśmy się relacjami.

Podczas gdy ja podążałem tropem fizycznym, Angie prześledziła papierowy. Opowiedziałem jej, co znalazłem na swojej drodze. Wpisałem imiona „Roland” i „Jerome” na pierwszą stronę naszego pliku komputerowego. Dopisałem też „Włamanie” i „Motyw?”. Ostatnie słowo podkreśliłem.

Chińskie zarcie dojechało i zabraliśmy się do pracy, zapychając sobie tętnice cholesterolem i zmuszając serce do podwójnej pracy. Między jedną a drugą łyżką smażonego ryżu z wieprzowiną i makaronu z warzywami, grzybami i krewetkami Angie zdała mi raport z tego, co znalazła na papierowym szlaku. Dzień po tym, jak Jenna znikła, Jim Vurnan obszedł restauracje i sklepy w okolicach Beacon Hill i gmachu parlamentu, sprawdzając, czy gdzieś tam jej nie było. Nie znalazł jej, ale w delikatesach na Somerset dostał od właściciela kwit z potwierdzeniem zapłaty kartą kredytową. Jenna zapłaciła Visą za bułkę z szynką i colę. Angie wzięła od niego ten kwitek i posługując się swoją starą wypróbowaną metodą: „Dzień dobry, moje nazwisko (odpowiednie wstawić), zdaje się, że zgubiłam kartę kredytową”, dowiedziała się, że Jenna miała tylko tę jedną kartę, historia jej rachunku nie była zupełnie nieskazitelna (raz miała do czynienia z agencją ściągającą długi, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym), a ostatnio użyła karty dziesiętnastego czerwca, pierwszego dnia po tym, jak nie pojawiła się w pracy, w Bank of Boston na rogu Clarendon i St James, gdzie wzięła z niej dwieście dolarów. Potem

Angie zadzwoniła do Bank of Boston, udając pracownicę American Express. Pani Angieline złożyła wniosek o wydanie karty kredytowej. Czy możemy prosić o sprawdzenie jej konta?

- Jakiego konta?

Tę samą odpowiedź usłyszała we wszystkich bankach, do których dzwoniła. Jenna Angieline nie miała konta bankowego. To oczywiście nie powód do podejrzeń, tyle tylko że taką osobę trudniej znaleźć.

Już zacząłem formułować pytanie, czy aby na pewno nie pominęła żadnego banku, ale ona podniosła dłoń i nie przerywając ogryzania żeberka, zdołała wypowiedzieć: „Jeszcze nie skończyłam”. Otarła usta serwetką, przełknęła, wlała w siebie tęgi łyk piwa i spytała.

- Pamiętasz Billy’ego Hawkinsa?

- Oczywiście.

Gdybyśmy mu nie znaleźli alibi, odsiadywałby właśnie dychę w zakładzie penitencjarnym Walpole.

- No więc Billy pracuje teraz w agencji Western Union.

- Rozsiadła się wygodnie, najwyraźniej zadowolona z siebie.

- No?

- Co „no”?

Dobrze się bawiła.

Wziąłem tłuste żeberko i zamierzyłem się na nią. Podniosła ręce do góry, jakby się poddawała.

- Dobra, dobra. Billy nam sprawdzi, czy nie korzystała z któregoś z ich punktów. Nie mogła przeżyć od dziewiętnastego o dwustu dolarach. W każdym razie nie w tym mieście.

- A kiedy Billy się do nas odezwie?

- Dziś już nie mógł nic zrobić. Powiedział, że jeśli

będzie przesiadywał w pracy po swojej zmianie, szef zacznie coś podejrzewać, a jego zmiana kończyła się pięć minut po moim telefonie. Będzie musiał zrobić to jutro. Obiecał, że zadzwoni koło południa.

Pokiwałem głową. Za plecami Angie na ciemniejące niebo kładły się cztery palce szkarłatu. Lekki powiew zdmuchnął jej cieniutki kosmyk włosów zza ucha na policzek. Za mną z kolei Van Morrison wyśpiewywał z przenośnego magnetofonu o „szalonej miłości”, a my siedzieliśmy w ciasnym biurze, wpatrując się w siebie, wypełnieni aurą ciężkostrawnego chińskiego żarcia, parnego dnia i satysfakcji, że wiemy, skąd będzie pochodził nasz następny czek. Angie uśmiechnęła się z lekkim zażenowaniem, ale nie odwróciła wzroku i znowu zaczęła leciutko postukiwać ołówkiem o skrzywiony ząb.

Odczekałem dobre pięć minut, aż cisza między nami rozgościła się na dobre, po czym powiedziałem:

– Chodź ze mną do domu.

Potrząsnęła głową, wciąż uśmiechnięta, i lekko zakręciła krzesłem.

– No chodź. Pooglądamy telewizję, pogadamy o dawnych czasach...

– Gdzieś w tym planie jest łóżko. Czuję to.

– Tylko jako mebel do spania. Położymy się i... będziemy gadać.

Roześmiała się.

– Aha. A co z tymi wszystkimi młodzietkami ślicznotkami, które nieustannie koczują u twoich drzwi i wiszą na twoim telefonie?

– Kogo masz na myśli? – spytałem tonem niewiniątka.

– Kogo? – powtórzyła. – Donnę, Beth, Kelly, tę dupiastą laseczkę, Lauren...

– Dupiastą laseczkę? Czy ja dobrze słyszę?
– Oj, no wiesz którą. Włoszkę. Tę od – głos Angie
wzniósł się o dwie oktawy – „Oooooch, Patrick, teraz
weźmy kąpiel perełkową! Iiii!” To ta.

– Gina.

– Gina. No właśnie.

– Oddałbym je wszystkie za jedną noc z...

– Wiem o tym, Patrick. Nie uważasz, mam nadzieję, że
to dla mnie powód do dumy.

– O rany, mamuśka... Uśmiechnęła się.

– Wiesz, Patrick, dlaczego ci się wydaje, że się we
mnie kochasz? Otóż dlatego, że nie widziałeś mnie nago.

– Od...

– Od trzynastu lat – dodała pospiesznie – i oboje
ustaliliśmy, że ten epizod ulegnie wymazaniu. Poza tym,
jeśli chodzi o kobiety, trzynaście lat to dla ciebie cała
epoka.

– Mówisz tak, jakby to było coś złego. - Wzniosła oczy
ku niebu.

- Do rzeczy – powiedziała. – To co robimy jutro?
Wzruszyłem ramionami, upiłem piwa z puszki. Smakowało
jak herbata; niechybna oznaka, że lato przyszło na dobre.
Van skończył wyśpiewywać o „szalonej miłości”
i przeszedł do „tajemnicy”.

– Zaczekamy na telefon Billa, a jeśli on nie zadzwoni,
to my zadzwonimy do niego koło południa.

– To brzmi prawie jak plan. Wychyliła swoje piwo
i wykrzywiła się.

– Nie ma zimnego?

Sięgnąłem do kosza na śmieci, który służył także za
chłodziarkę, i rzuciłem jej nową puszkę. Otworzyła, upiła.

– A co zrobimy, gdy już odnajdziemy panią Angielinę?

– Nie mam pojęcia. Zdamy się na intuicję.

– Cóż za niezwykle profesjonalizm.

Pokiwałem głową.

– Właśnie dzięki temu mam pozwolenie na broń.

Dostrzegła go wcześniej niż ja. Jego cień padł na podłogę, zasłonił prawą połowę jej twarzy. Phil. Phil Skurwiel.

Nie widziałem go od chwili, gdy trzy lata temu skierowałem go do szpitala. Wyglądał teraz lepiej niż wtedy – kiedy to leżał na podłodze, trzymając się za żebra i odkrztuszając krew – ale nadal jak Skurwiel. Pod lewym okiem miał bliznę jak stąd do Afryki – pamiątkę po rozsądnym kiju bilardowym. Nie jestem pewien, ale zdaje mi się, że zareagowałem na jej widok szerokim uśmiechem. Nie patrzył na mnie. Patrzył na nią.

– Złotko, od dziesięciu minut stoję na dole i trąbię. Nie słyszałaś?

– Był duży ruch, a poza tym... – skinieniem głowy wskazała magnetofon, ale Phil nie zdecydował się na niego spojrzeć, bo wówczas musiałby spojrzeć i na mnie.

– Gotowa? – spytał.

Przytaknęła i wstała. Jednym długim haustem dokończyła piwo, co chyba zanedo go nie ubawiło. A jeszcze mniej to, że rzuciła pustą puszkę w moją stronę, jakby podawała piłkę, a ja ściałem ją do kosza na śmieci.

– Dwa punkty – powiedziała, wychodząc zza biurka. – Do jutra, Poślizg.

– Do jutra – odparłem, patrząc, jak bierze Phila za rękę i idzie z nim do drzwi.

Tuż przed progiem Phil odwrócił się, trzymając jej rękę w swojej i spojrzał na mnie. Uśmiechnął się.

Posłałem mu pocałunek.

Słyszałem, jak schodzą po wąskich krętych schodach. Van przestał śpiewać. Ciszka, która zastąpiła jego głos, wydała mi się ciężka i przesycona zgnilizną. Przesiadłem się na krzesło Angie i zobaczyłem ich na dole. Phil wsiadł do samochodu. Angie stała przy drzwiach z drugiej strony, trzymając klamkę. Głowę miała opuszczoną i coś mi mówiło, że świadomie powstrzymuje się przed spojrzeniem w nasze okno. Phil otworzył jej drzwi od środka i gdy tylko wsiadła, włączyli się w uliczny ruch.

Spojrzałem na swój magnetofon i rozrzucone dookoła kasety. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie wyjąć Vana i nie włączyć Dire Straits. Albo Stonesów. Nie. Może raczej Jane's Addiction. Springsteena? No a może coś zupełnie innego. Ladysmith-Black-Mambazoo albo The Cleftains. Zastanawiałem się nad każdą możliwością z osobna. Zastanawiałem się, co by najlepiej pasowało do mojego nastroju. Zastanawiałem się, czy nie wziąć magnetofonu i nie cisnąć nim przez pokój, dokładnie tam, gdzie Phil odwrócił się, trzymając Angie za rękę, i uśmiechnął się do mnie.

Ale nie zrobiłem tego. Przejdzie.

Wszystko przechodzi. Prędzej czy później.

Kilka minut później wyszedłem z kościoła. Nic mnie tu nie trzymało. Kopnąwszy pustą puszkę po piwie, przeszedłem przez puste podwórko, przez przerwę w niewysokim żelaznym ogrodzeniu i przez ulicę dzielącą mnie od domu. Mieszkam dokładnie naprzeciwko kościoła w biało-niebieskim dwupiętrowym domu, któremu jakoś udało się ocaleć z plagi aluminiowego sidingu, który opanował już całe sąsiedztwo. Jego właścicielem jest stary Węgier, którego nazwiska nie nauczyłem się wymawiać nawet po roku ćwiczeń. Cały dzień bez sensu pęta się po podwórku. Od pięciu lat, czyli odkąd tam mieszkam, wypowiedział do mnie może dwieście pięćdziesiąt słów. Są to zazwyczaj powtarzające się trzy słowa: „A gdzie czynsz?”. Stary drań, ale przynajmniej się nie spoufala.

Otworzyłem drzwi mojego mieszkania na drugim piętrze. Oczekujące na mnie rachunki rzuciłem na stolik do kawy, na kupkę im podobnych. Ani pod, ani za drzwiami nie koczowały żadne kobiety, ale na automatycznej sekretarce nagranych było siedem wiadomości.

Trzy zostawiła Gina Kąpiel Perełkowa. W tle każdej z nich dawały się słyszeć jęki i postękiwania dochodzące ze studia aerobiku, gdzie pracowała. Nic tak nie podsycza żaru namiętności jak odrobina potu przy letniej gimnastyce.

Kolejna wiadomość była od mojej siostry Erin z Seattle. „Jak tam, mały, grzecznie się sprawujesz?” Siostra. Dla niej pozostanę „małym” nawet z twarzą jak suszona śliwka i zębami w szklaneczce przy łóżku. Następna od Bubby Rogowskiego, który chciał napić się ze mną piwa, a potem pograć w bilard. Jego głos brzmiał co prawda tak, jakby już był pijany, co oznaczało, że dziś

gdzieś poleje się krew. Automatycznie odrzuciłem zaproszenie. Ktoś inny, chyba Lauren, zadzwonił z niezbyt sympatyczną obietnicą, która mówiła o tępym nożyczkach i moich genitaliach. Próbowałem właśnie przypomnieć sobie, czy na naszej ostatniej randce zdarzyło się coś, co mogłoby sprowokować tak skrajną reakcję, gdy pokój wypełnił głos Mulkerna i kompletnie zapomniałem o Lauren.

– Pat, chłopcze, mówi Sterling Mulkern. Przypuszczam, że jesteś teraz zajęty zarabianiem na życie i to oczywiście wspaniale, ale może miałeś czas przeczytać dzisiejszą „Tribune”? Nasz drogi Colgan znowu skoczył mi do gardła. Naprawdę, ten facet byłby zdolny oskarżyć nawet twojego ojca, że celowo wznieca pożary, żeby potem móc je gasić. Ten Colgan to prawdziwy czarny charakter. Przyszło mi do głowy, czy nie mógłbyś z nim zamienić paru słów, poprosić, żeby na jakiś czas dał odetchnąć staremu człowiekowi. Tak sobie tylko pomyślałem. Spotykamy się na lunchu w Copley Place, w sobotę o pierwszej. Nie zapomnij.

Nagranie zakończyło się sygnałem telefonicznym, a potem rozległ się szum przewijanej kasety.

Wpatrywałem się w aparat. Przyszło mu do głowy, że ja mógłbym zamienić parę słów z Richiem Colganem. Tak sobie tylko pomyślał. Dla równego rachunku dorzucił jeszcze wspomnienie o moim ojcu. Bohaterskim strażaku. Uwielbianym radnym naszego miasta. Moim ojcu.

Powszechnie wiadomo, że Richie Colgan i ja jesteśmy kumplami. Po części dlatego ludzie są wobec mnie ostrożniejsi, niż to kiedyś bywało. Poznaliśmy się w dawnych czasach studenckich na kampusie Happy Harbor Uniwersytetu Stanowego Massachusetts. Dziś

Richie jest czołowym dziennikarzem „Tribune” i jeśli uzna, że reprezentujesz którąś z trzech głównych sił zła – a mianowicie elity społeczne, bigoterię lub hipokryzję – potrafi być prawdziwym potworem. A ponieważ Sterling Mulkern jest uosobieniem wszystkich trzech, Richie pożera go na lunch co najmniej raz w tygodniu.

Wszyscy zachwycali się Richiem Colganem, dopóki obok jego nazwiska nie zaczęła pojawiać się także fotografia. Porządne irlandzkie nazwisko. Porządny irlandzki chłopak. Dobrze im tak, tym skorumpowanym, tłustym partyjnym bonzom w ratuszu i parlamencie. Ale gdy gazeta zamieściła jego zdjęcie i każdy mógł zobaczyć, że jego skóra jest czarniejsza niż serce Kurtza, nagle okazał się „rozrabiaką”. Dzięki niemu jednak nakład się sprzedaje. A Sterling Mulkern zawsze był jego ulubionym celem. Wśród przezwisk, jakie nadał zacnemu senatorowi, są: „Zły brat Świętego Mikołaja”, „Sterling Ssawka” i „Hipciokryta”. Boston nie jest miastem dla nadwrażliwych polityków.

A teraz Mulkern chce, żebym „zamienił z nim parę słów”. Dać mu palec – chwyci całą rękę. Postanowiłem przy najbliższym spotkaniu zrobić mu wykład na temat „Można mnie wynająć, ale nie kupić” i dodatkowo wyjaśnić, że mój bohaterski ojciec nie ma żadnego związku ze sprawami, którymi się zajmuję.

Mój ojciec, Edgar Kenzie, prawie dwadzieścia lat temu miał swoje pięć minut lokalnej sławy. Znalazł się na pierwszej stronie obu głównych dzienników. Jego zdjęcie dostało się nawet do wiadomości krajowych i trafiło na ostatnie strony „New York Timesa” i „Washington Post”. Autor był o krok od Pulitzera.

To było cholernie efektowne zdjęcie. Przedstawiało

mojego starego w czarno-żółtym mundurze strażackim, z butlą tlenową na plecach, jak wspina się wzdłuż muru dziesięcioletniego budynku po linie z prześcieradeł. Kilka minut wcześniej po tej linie zeszła kobieta. Ściśle biorąc, zeszła do połowy wysokości. Nie zdołała się utrzymać i zabiła się na miejscu. To był budynek dziewiętnastowiecznej fabryki, który ktoś przerobił na mieszkalny, zbudowany z cegły i taniego drewna; z punktu widzenia bezpieczeństwa przeciwpożarowego równie dobrze mógł to być papier i benzyna.

Ta kobieta, przerażona, zostawiła dzieci w budynku i kazała im schodzić w dół za sobą, zamiast przed sobą. Dzieci zobaczyły, co się z nią stało, i dosłownie skamieniały. Stały bez ruchu w czarnym oknie, w kłębach wylewającego się z mieszkania dymu, wpatrzony w matkę leżącą na dole jak zepsuta lalka. Okno wychodziło na parking. Strażacy czekali na odholowanie samochodów, żeby mogli rozstawić drabinę. Mój ojciec bez słowa chwycił butlę tlenową, podszedł do prześcieradeł i zaczął się wspinać. Na piątym piętrze okno buchnęło ogniem prosto w jego klatkę piersiową. Powstało wtedy jeszcze jedno zdjęcie, trochę nieostre, jak robi salto w powietrzu, a jego czarny mundur obsypują odłamki szkła. Tak czy owak, dotarł na dziesiąte piętro, zgarnął dzieciaki – czteroletniego chłopca i sześciolletnią dziewczynkę – i wrócił na dół. Nic takiego, mówił później, wzruszając ramionami.

Gdy pięć lat po tym wydarzeniu poszedł na emeryturę, ludzie ciągle o tym pamiętali. Chyba nigdy więcej nie zapłacił w tym mieście za drinka. Za radą Sterlinga Mulkerna wystartował w wyborach do rady miasta i żył dostatnio z łapówek, dopóki rak nie rozpełzł się po jego

płucach jak dym po garderobie i nie zeżarł go razem z jego pieniędzmi.

Ale życie z Bohaterem w domu, to była zupełnie inna bajka. Kolacja nie czekała na stole – policzek. Coś nie zadziało jak w zegarku – policzek. Lekcje nieodrobione – policzek. A jeśli to nie wystarczało – pasek, pięść, stara tarka do prania, obojętne co, byleby przywróciło ład w świecie Edgara Kenziego.

Nigdy się nie dowiedziałem i pewnie już się nie dowiem, czy stał się taki przez swoją pracę – czy reagował w jedyny znany sobie sposób, tak samo jak na te wszystkie poczerńiałe ciała skręcone w ostatniej pozycji embrionalnej, które znajdował w rozżarzonych szafach lub pod dymiącymi łózkami – czy po prostu urodził się bydlakiem. Moja siostra twierdzi, że nie pamięta, jaki był, nim ja przyszedłem na świat, ale siostrze zdarzało się też twierdzić, że nigdy nie pobił nas tak, że nie mogliśmy iść do szkoły. Matka zaledwie po pół roku podążyła za Bohaterem do grobu, więc jej także nie zdążyłem wypytać. Ale wątpię, czyby mi coś powiedziała. Irlandzcy rodzice raczej nie słyną ze skłonności do krytykowania współmałżonka wobec dzieci.

Usiadłem na kanapie, znowu myśląc o Bohaterze i wmawiając sobie, że to już ostatni raz. Że upiór zniknął. Ale oszukiwałem samego siebie i dobrze o tym wiedziałem. Bohater budził mnie w nocy. Bohater zaczynał się na mnie w najróżniejszych miejscach – w cieniach, zaułkach, w antyseptycznych korytarzach moich snów, w komorze mojego pistoletu. Tak samo jak za życia robił ze mną, cholera, co mu się żywnie podobało.

Wstałem i przechodząc obok okna, podszedłem do telefonu. Na dworze, po drugiej stronie ulicy, coś nagle

poruszyło się na dziedzińcu szkolnym. Zapewne miejscowe punki przemykały w cieniach zmierzchu, żeby posiedzieć w kamiennych wnękach pod oknem, wypalić kilka skrętów marychy i wypić parę piw. Czemu nie. Gdy ja byłem miejscowym punkiem, robiłem to samo. Ja, Phil, Bubba, Angie, Waldo, Hale, wszyscy.

Zadzwoniłem na bezpośredni numer Richiego w „Tribune”, mając nadzieję, że jak zwykle przesiaduje do późna w pracy. Odezwał się w połowie pierwszego dzwonka. „Dział miejski. Proszę się nie rozłączać”. I natychmiast ze słuchawki wysączyła się jak nitka syropu komercyjna wersja tematu z *Siedmiu wspaniałych*.

I właśnie wtedy w mojej głowie coś zaskoczyło; coś w rodzaju odpowiedzi na pytanie „Który szczegół nie pasuje do tego obrazka”, choć świadomie go sobie nawet nie zadałem.

Z dziedzińca nie dobiegały dźwięki muzyki. Punki nie ruszają się nigdzie bez sprzętu grającego, mimo że to zdradza ich kryjówki. To by świadczyło o braku klasy.

Przez wąską szparę między zasłonami wyjrzałem na dziedziniec. Nie zarejestrowałem żadnych więcej nagłych poruszeń. W ogóle żadnego ruchu. Ani żarzących się końcówek papierosów, ani pobrzękiwania butelek. Wpatrywałem się uważnie w miejsce, gdzie wcześniej coś widziałem. Szkoła miała kształt litery E bez środkowej kreseczki. Boczne ramiona były wysunięte w stosunku do części środkowej na jakieś dwa metry. W kątach zalegały głębokie cienie. To coś poruszyło się w kącie po mojej prawej stronie.

Miałem nadzieję, że zaraz zobaczę płomyk zapalniczki. W kinie idiota, który śledzi detektywa, zawsze zapala zapalniczkę, dzięki czemu bohater może go zlokalizować. Ale

nagle uprzytomniłem sobie, że zaczynam układać tandetny scenariusz płaszcza i szpady. Według wszelkiego prawdopodobieństwa widziałem kota.

Mimo wszystko nadal patrzyłem.

– Dział miejski – odezwał się Richie.

– Już mówiłeś.

– Wielmożny pan Kenzie! Jak interesy?

– Interesy idą dobrze. Słyszałem, że dziś znowu wkurwiłeś Mulkerna.

– Człowiek musi mieć w życiu jakiś cel – odparł Richie. – Hipopotamy, które przebierają się za wieloryby, zginą od harpuna.

Gotów byłbym się założyć, że miał tę sentencję zapisaną na karteczce przyklejonej nad biurkiem.

– Jaka najważniejsza ustawa wchodzi pod obrady w tej sesji?

– Najważniejsza ustawa – powtórzył z namysłem. – Bez wątpienia ustawa o zwalczaniu terroryzmu ulicznego.

Na dziedzińcu znowu coś się poruszyło.

– O zwalczaniu terroryzmu ulicznego?

– Tak. Uznaje ona gangi za organizacje o charakterze terrorystycznym, co oznacza, że ich członków można wpakować do więzienia tylko za sam fakt przynależności. Ujmując rzecz najprościej...

– Mów drukowanymi literami, żebym zrozumiał.

– Oczywiście. Ujmując rzecz najprościej, gangi zostaną uznane za grupy paramilitarne o interesach sprzecznych z interesem państwa. Będą więc traktowane jako armia pozostająca w stanie wojny z państwem. Każda osoba przyłapana na noszeniu określonych barw, nawet czapek bejsbolowych, w jej świetle dopuszcza się zdrady stanu. I idzie prosto do więzienia.

– Czy to przejdzie?

– Możliwe. Właściwie bardzo prawdopodobne, zważywszy na to, jak desperacko wszyscy chcą się pozbyć gangów.

– No i?

– No i w ciągu sześciu miesięcy ugrzęźnie w sądach. Powiedzieć sobie: „Musimy ogłosić stan wojenny, usunąć tych skurwysynów z ulic i niech diabli wezmą prawa obywatelskie”, to jedno. Ale co innego naprawdę to zrobić, do tego stopnia zbliżyć się do faszyzmu, zmienić Roxbury i Dorchester w kolejny South Central z helikopterami nad głową i całym tym syfem dwadzieścia cztery godziny na dobę. A czemu cię to interesuje?

Próbowałem powiązać to jakoś z Mulkernem, Paulsonem albo Vurnanem, ale nijak nie pasowało. Mulkern jako czołowy liberał w Senacie nigdy nie poparłby czegoś takiego publicznie. Ale Mulkern jako pragmatyk nigdy nie zająłby też publicznie stanowiska korzystnego dla gangów. Na ten tydzień, w którym ustawa weszłaby pod obrady, po prostu wzięłby urlop.

– Kiedy zaczyna się debata?

– W poniedziałek trzeciego lipca.

– Nic innego nie przychodzi ci do głowy?

– Nie, naprawdę nie. Chyba że ustawowe siedem lat dla pedofili, ale to najprawdopodobniej przejdzie gładko.

O tym wiedziałem. Ustawowe siedem lat dla każdego, komu udowodniono molestowanie dziecka. Bez możliwości starania się o przedterminowe zwolnienie. Co do mnie, żałowałem tylko, że nie było to ustawowe dożywocie i że nie było klauzuli zmuszającej skazanych do obcowania z ogólną populacją, które pozwoliłoby im posmakować odrobinę tego, co sami zgotowali innym.

– Dlaczego cię to interesuje, Patrick? – powoli pytanie Richie. Pomyślałem o sugestii Mulkerna, żebym porozmawiał z Richiem Colganem. Słowem, żebym zdradził przyjaciela. Przez krótką chwilę zastanawiałem się, czy mu o tym nie powiedzieć. Pokazać Mulkernowi, jakie są skutki zwracania się do mnie o pomoc w ugłaskaniu Richiego. Ale wiedziałem, że ponieważ Richie nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko napisać o tym w swoim następnym artykule, i to wytłuszczonym drukiem, z profesjonalnego punktu widzenia zadzieranie z Mulkernem w taki sposób równałoby się podcięciu sobie żył w gorącej kąpieli.

– Pracuję nad pewną sprawą – powiedziałem. – Na razie bardzo poufną.

– Może mi kiedyś opowiesz.

– Kiedyś.

– W porządku.

Richie nigdy nie naciska mnie ani ja jego. Każdy z nas potrafi przyjąć od drugiego odpowiedź „nie”; między innymi dzięki temu możemy się nazywać przyjaciółmi.

– Jak tam twoja współpracowniczka?

– Ciągłe tak samo apetyczna.

– I ciągle nic nie kuma? – zachichotał.

– Jest mężatką.

– I co z tego? Miałaś już mężatki. To musi cię doprowadzać do szału, Patrick; cały boży dzień spędzać u boku tak pięknej kobiety, mając świadomość, że tej rozkosznej istocie nawet przez myśl nie przejdzie, żeby popieścić twojego ptaszka. Niech mnie, ależ to musi boleć.

Roześmiał się. Richie od czasu do czasu wyobraża sobie, że jest istnym gejerem dowcipu.

– No tak, no tak, wiesz co, muszę już kończyć. –

W ciemnym kącie dziedzińca znowu coś się poruszyło. – Może wybralibyśmy się na piwo jakoś niedługo?

– Przyrowadzisz Angie? – zdawało mi się, że dyszy.

– Jeśli będzie w nastroju.

– Umowa stoi. Przyślę ci informacje o tych ustawach.

– *Gracias*.

Odłożył słuchawkę. Usiadłem i dalej wyglądałem przez szparę między zasłonami. Mój wzrok zaadaptował się już do ciemności i wyraźnie widziałem, że jest tam jakiś spory obiekt. Zwierzę, roślina czy minerał – coś najwyraźniej było. Pomyślałem, żeby zadzwonić do Bubby; on się sprawdzał w sytuacjach, gdy nie było wiadomo, w co się wdeptuje. Ale dzwonił do mnie z baru. To nie był dobry znak. Nawet gdybym zdołał go odszukać, nie bawiłby się w rozpoznanie problemu – po prostu by go rozwalił. Bubby należy używać oszczędnie i z zachowaniem maksymalnej ostrożności. Jak nitrogliceryny.

Zdecydowałem się powołać do służby Harolda.

Harold to wielki na metr osiemdziesiąt pluszowy miś panda, którego wygrałem parę lat temu na festynie w Marshfield. Chciałem go dać Angie; w końcu wygrałem go dla niej. Ale popatrzyła na mnie tym swoim piorunującym wzrokiem, jakbym zapalił papierosa podczas stosunku. Nie mam pojęcia, dlaczego nie chciała przyozdobić swojego mieszkania pluszową pandą wielkości metr osiemdziesiąt w jaskrawo-żółtych spodenkach, ale ponieważ nie mogłem znaleźć pojemnika na śmieci, który by ją pomieścił, ostatecznie przyjąłem ją pod swój dach.

Wywlokłem Harolda z sypialni do ciemnej kuchni i usadowiłem na krześle przy oknie. Roleta była zaciągnięta, a wychodząc, zapaliłem światło. Gdyby ktoś

z tamtego kąta obserwował moje mieszkanie, przy odrobinie dobrej woli mógłby wziąć Harolda za mnie. Choć ja mam jednak mniejsze uszy.

Przekradłem się na drugą stronę mieszkania, wziąłem zza drzwi ithacę i zszedłem po tylnych schodach. Dla kompletnych zer w zakresie posługiwania się bronią palną jedyną rzeczą lepszą od automaga jest właśnie strzelba ithaca kaliber dwanaście, z pistoletowym chwytem. Jeśli z tego urządzenia nie trafisz w cel, to tak jakbyś dostał urzędowe orzeczenie ślepoty.

Wyszedłem na podwórko za domem, zastanawiając się, czy nie ma ich tam dwóch. Jeden od frontu, drugi od zaplecza. Wydawało się to mało prawdopodobne, tak samo, szczerze mówiąc, jak to, że w ogóle ktoś mnie śledzi. Ale urojenia prześladowcze trzeba poddawać weryfikacji.

Przeskoczyłem kilka płotów i znalazłem się na ulicy. Ithacę wsunąłem pod niebieski trencz. Przeszedłem przez skrzyżowanie i minąłem kościół od strony południowej. Za kościołem i za szkołą jest uliczka. Poszedłem nią w kierunku północnym. Po drodze minąłem kilku znajomych, pozdrawiając ich krótkim skinieniem głowy, jedną ręką przytrzymując trencz, żeby się nie rozchylił. Na widok broni sąsiedzi mogliby się poczuć urażeni.

Bezszelestnie dzięki miękkim podeszwom markowych butów zakradłem się na tyły szkoły i przywarłem do muru. Posuwałem się ostrożnie do pierwszego rogu. Byłem teraz na prawym biegunie litery E. Ten ktoś był może trzy metry ode mnie, w ciemnym kącie za następnym rogiem. Zastanawiałem się, jak do tego podejść. Mogłem po prostu szybko wyjść prosto na niego, ale ta metoda obarczona jest wysoką śmiertelnością. Mogłem poczołgać się po ziemi, ale przecież nawet nie miałem pewności, że ktoś tam

naprawdę jest. Gdybym nadział się na kota albo parę zrosniętych ustami nastolatków, nie mógłbym przez miesiąc spojrzeć w lustro.

Trud podjęcia decyzji został mi jednak zaoszczędzony.

To nie był kot ani młodociani kochankowie. To był osobnik płci męskiej i w dodatku w rękę trzymał uzi. Wyszedł zza rogu, który miałem przed sobą, z tym paskudztwem wymierzonym prosto w mój mostek, i na chwilę zapomniałem oddychać.

Stał w ciemności. Miał ciemnoniebieską czapkę bejsbolową ozdobioną jak czapka marynarska złotymi liśćmi wyszytymi na daszku i jakimś złotym napisem z przodu. Nie mogłem go odczytać, a może po prostu ze strachu nie byłem w stanie na tyle się skoncentrować.

Oczy osłaniały mu czarne zachodzące na boki okulary przeciwsłoneczne. Nie jest to najlepszy rekwizyt dla kogoś, kto zamierza strzelać po ciemku, ale z tej broni i z tej odległości nawet Ray Charles położyłby mnie trupem.

Jego czarne ciało okrywało czarne ubranie, i to wszystko, co mógłbym o nim powiedzieć.

Już miałem zauważyć, że ta okolica nie słynie z gościnności wobec sąsiadów o ciemniejszej karnacji odwiedzających ją po zachodzie słońca, gdy nagle coś szybko i mocno trafiło mnie w usta, a coś innego równie mocno w skroń. Pamiętam, że zanim straciłem przytomność, pomyślałem jeszcze: „Harold nie jest już tak skuteczny jak dawniej”.

Zapadłem w nicość i wtedy odwiedził mnie Bohater. Był w mundurze i pod każdą pachą taszczył dzieciaka. Twarz miał pokrytą sadzą, a za jego plecami snuły się kłęby dymu. Dzieci płakały, a Bohater się śmiał. Patrzył na mnie i się śmiał, się śmiał. Naraz śmiech przerodził się w skowyt, a z jego ust zaczął wypływać brązowy dym, i obudziłem się.

Leżałem na dywanie. Tyle wiedziałem. Nade mną klęczał facet ubrany na biało. Albo byłem w psychiatryku, albo to był ratownik medyczny. Miał ze sobą torbę, a na szyi słuchawki. Jednak ratownik. Albo bardzo realistyczne złudzenie.

– Chce się panu wymiotować? – spytał.

Pokręciłem głową i zwymiotowałem na dywan.

Ktoś zaczął się na mnie wydzierać piskliwym bełkotem. Po chwili rozpoznałem język. Gaelicki. Wtedy ona przypomniała sobie, w jakim jest kraju, i przerzuciła się na mocno akcentowaną angielszczyznę. To, co mówiła, nie stało się dzięki temu zabiegowi bardziej zrozumiałe, ale przynajmniej wiedziałem, gdzie jestem.

Plebania. Wrzeszczącym upiorem była Delia, gospodyni księdza Drummonda. Zdaje się, że zamierzała mnie czymś zdzielić.

– Proszę księdza! – zawołał ratownik i ksiądz pospiesznie wyprowadził Delię z pomieszczenia. – Skończył pan? – zwrócił się do mnie. Zabrzmiało to tak, jakby chciał mi dać do zrozumienia, że ma jeszcze trochę innych zajęć. Prawdziwy anioł miłosierdzia. Kiwnąłem głową i przekręciłem się na plecy. Podniosłem się. Tak jakby. Złapałem się za kolana i siedziałem skulony,

a głowa mi falowała. Ściany tańczyły przede mną psychodeliczny taniec, a usta zdawały się wypełnione zakrwawionymi groszakami.

– Auu – powiedziałem.

– Ma pan dar trafiania w sedno – powiedział ratownik.

– Poza tym ma pan lekkie wstrząśnienie mózgu, kilka obłuzowanych zębów, rozbitą wargę i piękną banię pod lewym okiem.

Super. Rano będziemy mieć z Angie wspólny temat do rozmowy. Klub Okularników.

– To wszystko?

– Tak, wszystko – odparł, wpuszczając słuchawkę do torby. – Zaproponowałbym panu, żeby pan pojechał ze mną do szpitala, ale pan jest z Dorchester, czyli zapewne cholerny macho, więc się pan nie zgodzi.

– Mhm – mruknąłem. – Skąd się tu wziąłem?

– Ja cię znalazłem.

Zza moich pleców wyłonił się ksiądz Drummond – stanął przede mną, trzymając strzelbę i automaga. Złożył je ostrożnie na kanapie pod przeciwległą ścianą.

– Przepraszam za ten dywan.

Ksiądz wskazał wymiociny.

– Ksiądz Gabriel, kiedy dał w szyję, robił to dosyć często. Jeśli dobrze pamiętam, dlatego właśnie wybraliśmy ten wzór. – Uśmiechnął się. – Delia już ściele ci łóżko.

– Dziękuję księdzu, ale myślę, że jeśli dam radę dojść do sypialni, to dam też radę przejść przez ulicę, do siebie.

– Napastnik może jeszcze gdzieś tam być. Ratownik podniósł swoją torbę.

– Wszystkiego dobrego.

– Jak dotąd było wspaniale – zdobyłem się na uprzejmość.

Zrobił grymas oznaczający uśmiech i pomachał nam leciutko ręką, po czym wyszedł bocznymi drzwiami.

Wyciągnąłem dłoń; ksiądz Drummond złapał ją i pomógł mi wstać.

– To nie był zwykły napad, ojciec – powiedziałem. Uniósł brwi.

– Rozwścieczony mąż? Spojrzałem na niego.

– Ależ proszę księdza, musi ksiądz zaprzestać czerpania niezdrowych podnieć z obserwacji mojego stylu życia. To ma związek ze sprawą, nad którą pracuję. Tak mi się wydaje. – Wcale nie byłem tego pewien. – To było ostrzeżenie.

Pomógł mi dotrzeć do kanapy. Pokój nadal wydawał mi się równie stabilny jak pokład „Titanica”.

– Niezłe ostrzeżenie – stwierdził.

Skinąłem głową. Błąd „Titanic” się przewrócił; pokój zaczął się ześlizgiwać w bok. Ręka księdza Drummonda popchnęła mnie z powrotem na kanapę.

– Tak. Niezłe ostrzeżenie. Czy ojciec dzwonił na policję?

Zrobił zdziwioną minę.

– Wiesz co, jakoś o tym nie pomyślałem.

– To dobrze. Nie chcę spędzić reszty nocy na wypełnianiu kwestionariuszy.

– Ale nie wiem, czy nie zrobiła tego Angiela.

– Zawiadomił ojciec Angie?

– Oczywiście, że mnie zawiadomił.

Stała w drzwiach, rozczochrana. Ze zwisającymi na czoło kosmykami wyglądała jeszcze bardziej pociągająco, jakby się właśnie obudziła. Ubrana była w czarną skórzaną kurtkę, bordową koszulkę polo opuszczoną luźno na szare dresowe spodnie i białe buty do aerobiku. Miała ze sobą

torebkę, w której można by schować całe Peru. Podchodząc do kanapy, upuściła ją na podłogę. Usiadła tuż przy mnie.

– Ależ ślicznie wyglądamy – powiedziała, unosząc moją głowę za podbródek. – Jezu, Patrick, na kogoś ty się nadział? Na rozwścieczonego meża?

Ksiądz Drummond zachichotał. Sześćdziesięcioletni ksiądz chichocze w kulak. To nie był mój szczęśliwy dzień.

– Wydaje mi się, że to był jakiś krewniak Mike’a Tysona – odparłem.

Spojrzała na mnie.

– A ty co, nie masz rąk?

Odepchnąłem jej dłoń.

– On miał uzi, Angie. Prawdopodobnie tym mnie walnął.

– Przepraszam. Jestem zdenerwowana. Nie chciałam ci dogryźć. – Przyjrzała się moim wargom. – Tutaj to nie było uzi. Może ta rana na skroni. Ale nie usta. Na moje oko to mogła być rękawica hokejowa. Ona tak rozrywa skórę.

Angie, ekspert od obrażeń fizycznych. Nachyliła się nade mną.

– Znasz tego gościa? – spytała szeptem.

– Nie – odszepnąłem.

– I nigdy przedtem go nie widziałeś?

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Angie, gdybym chciał śledztwa, zadzwoniłbym po gliny.

Odsunęła się i podniosła ręce do góry.

– OK. OK. – Spojrzała na Drummonda. – Czy ksiądz myśli, że mogę go teraz zabrać do jego mieszkania?

– Delia będzie ci nieskończenie wdzięczna – odparł Drummond.

– Dziękuję księdzu – powiedziałem.

Splótł ręce na piersiach.

– Pierwszorzędna z ciebie ochrona – powiedział, puszczając oko.

Ksiądz nie ksiądz, miałem ochotę go kopnąć. Angie wzięła obie splewy i wolną ręką pomogła mi wstać. Spojrzałem na księdza Drummonda.

– ...branoc – wykrztusiłem.

– Z Bogiem – odpowiedział, stając przy drzwiach. Gdy schodziliśmy na dziedziniec, Angie zapytała:

– Wiesz, czemu cię to spotkało, prawda?

– Nie, czemu?

– Bo przestałeś chodzić do kościoła.

– Ha.

Przeprowadziła mnie przez ulicę i wprowadziła po schodach. Ciepło jej skóry i pulsowanie krwi w jej ciele obudziło moje zmysły i mdłości stopniowo ustąpiły.

Usiedliśmy w kuchni. Kopniakiem zrzuciłem Harolda z krzesła. Angie nalała nam soku pomarańczowego. Zanim się napiła, powąchała swoją szklanę.

– Co powiedziałaś Skurwielowi? – spytałem.

– Kiedy usłyszał, co się stało, był tak zadowolony, że wreszcie ktoś dobrał ci się do dupy, że puściłby mnie nawet do Atlantic City ze wszystkimi naszymi oszczędnościami.

– Miło mi słyszeć, że wynikło z tego coś dobrego. Nakryła moją dłoń swoją.

– Jak to było?

Zdałem jej dokładną relację ze wszystkiego, co się zdarzyło, odkąd wyszła z biura, pomijając ostatnie dziesięć minut.

– Rozpoznałbyś go?

Wzruszyłem ramionami.

– Może. A może nie.

Usiadła z jedną nogą zgiętą przed sobą i wspartą o brzeg krzesła, drugą podwiniętą. Przyglądała mi się dłuższą chwilę.

– Patrick.

– Tak?

Uśmiechnęła się smutno i pokręciła głową.

– W najbliższym czasie nie będzie ci łatwo umówić się z dziewczyną.

Następnego dnia w południe właśnie mieliśmy dzwonić do Billy'ego Hawkinsa, gdy on sam we własnej osobie wkroczył do naszego biura. Billy, jak wielu pracowników Western Union, wygląda zawsze, jakby właśnie wyszedł z detoksu. Jest niesamowicie chudy i ma tę charakterystyczną żółtawą skórę człowieka, który całe życie spędza w zadymionych pomieszczeniach. Niedobór wagi podkreśla, nosząc obcisłe dżinsy i koszulki, których krótkie rękawy zawija po samo ramię, zupełnie jakby miał bicepsy. Czarne włosy sprawiają wrażenie, jakby cesał je młotkiem, a do tego jeszcze te zwisające na boki wąsy meksykańskiego bandyty, których nikt, nawet przeciętny meksykański bandyta, dziś już nie nosi. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku świat nie stanął w miejscu, ale Billy tego nie zauważył.

Opadł leniwie na krzesło przed moim biurkiem.

– No i co, dzieci, kiedy sprawicie sobie większe biuro?

– W dniu, w którym znajdę dzwon.

Billy zmrużył oczy. Powoli coś mu zaczęło świtać.

– Aha. No tak.

– Jak się miewasz, Billy? – spytała Angie. I nawet przybrała taki wyraz twarzy, jakby ją to coś obchodziło.

Billy oblał się rumieńcem.

– Ja... dobrze. Całkiem dobrze, Angie.

– To fajnie. Cieszę się.

Cóż za uroczy flirt.

Billy przyjrzał się mojej twarzy.

– Co ci się stało?

– Miałem nieporozumienie z zakonnicą.

– Wyglądasz, jakbyś miał nieporozumienie

z ciężarówką – powiedział Billy i zerknął na Angie.

Angie nagrodziła ten żarcik krótkim chichotem i sam nie wiem, które z nich miałem większą ochotę wypchnąć z okna.

– Sprawdziłeś nam to, co obiecałeś, Billy?

– Jasne, stary. Jasne. I powiem wam, że jesteście mi winni parę głębszych.

Uniosłem brwi.

– Nie zapominaj, z kim rozmawiasz, Billy.

Billy zastanowił się. Pomyślał o dziesięciu latach w Walpole, które by teraz odsiadywał, zdobywając papierosy dla swojego chłopaka, gdybyśmy nie ocalili jego tyłka. Jego żółta skóra wyraźnie pobieliała.

– Przepraszam, stary. Racja. Co racja, to racja.

Sięgnął do tylnej kieszeni dżinsów i rzucił mi na biurko nieco zatłuszczony i mocno wymięty papier.

– Co to ma być, Billy?

– Czek Jenny Angieline – odparł. – Zwinięty z naszego biura na Jamaica Plain. Zrealizowała go we wtorek.

Nawet tłusty, nawet wymięty, miał wartość szczerego złota. Jenna wymieniła cztery źródła referencji, wszystkie prywatne. W rubryce „zawód” małymi literkami, przypominającymi ślady ptasich nówek, napisała „samozatrudniona”. W rubryce „referencje” podała cztery siostry. Trzy mieszkały w Alabamie, w Mobile lub w pobliżu. Jedna w Wickham, w stanie Massachusetts. Simone Angieline, Merrimack Avenue 1254.

Billy podał mi jeszcze jeden kawałek papieru – ksero zrealizowanego czeku. Podpisała go Simone Angieline. Gdyby Billy nie był takim oślisłym typkiem, chętnie bym go ucałował.

*

Po wyjściu Billy'go zdobyłem się wreszcie na odwagę, by rzucić okiem na swoje odbicie w lustrze. Udało mi się nie zrobić tego poprzedniego wieczoru i dziś rano. Włosy mam na tyle krótkie, że za grzebień wystarczają mi palce i ich właśnie użyłem po wzięciu prysznic. Darowałem też sobie golenie. Stwierdziłem, że z cieniem zarostu będę wyglądał bardzo szykownie, bardzo w stylu włoskiego magazynu mody dla panów.

Przemierzyłem biuro i wszedłem do miniaturowego pomieszczenia, które ktoś kiedyś określił jako „łazienkę”. Owszem, była tu toaleta, ale też miniaturowa i zawsze gdy na niej siadałem i waliłem się kolanami w podbródek, czułem się jak dorosły uwięziony w przedszkolu. Zamknąłem za sobą drzwi, stanąłem przed umywalką dla krasnoludków, podniosłem głowę i spojrzałem w lustro.

Gdybym nie wiedział, że to ja, tobym siebie nie rozpoznał. Wargi miałem tak obrzmiałe, że były dwa razy grubsze niż zwykle i wyglądały jak po namiętych pocałunkach z kosiarką do trawy. Lewe oko miałem obramowane grubym ciemnobrązowym biczem, a rogówkę nastrzykniętą jaskrawoczerwonymi nitkami krwi. Przez skórę na skroni, tam, gdzie Błękitna Czapeczka walnęła mnie kolbą uzi, biegło pęknięcie, a gdy spałem, we włosach zakrzepła mi krew. Skóra na prawej stronie czoła, którą zapewne uderzyłem o mur szkoły, była zdarta do żywego ciała. Gdybym nie był twardym męskim typem, prawdziwym detektywem, chybabym się rozplakał.

Próżność jest wadą. Wiem. Przykładanie większej wagi do walorów zewnętrznych niż wewnętrznych to dowód powierzchowności. Wiem bardzo dobrze. Ale mam już na

brzuchu bliznę wielką i galaretowatą jak meduza i nie uwierzylibyście, jak gigantyczny wpływ na samoocenę ma prosty fakt, że człowiek nie może ot tak ściągnąć na plaży koszulki. W chwilach prywatności, sam na sam ze sobą, zadzieram czasem koszulę, przyglądam się jej i mówię sobie, że to się nie liczy, ale zawsze gdy nocą kobieta natrafia na nią dłonią, wspiera się na poduszce i zadaje pytanie, udzielam odpowiedzi najszybciej, jak to możliwe, by od razu zatrzaskać uchylone na moment drzwi do przeszłości. I jeszcze nigdy, nawet gdy pytała mnie o to Angie, nie powiedziałem prawdy. Próżność i kłamstwo to może i negatywne zjawiska, ale także pierwsze metody samoobrony, jakie w życiu poznałem.

Ilekcję Bohater przyłapywał mnie na spoglądaniu w lustro, obrywałem blachę w czoło. „Ten przedmiot stworzył mężczyzna, by kobieta miała co robić” – mawiał. Bohater. Filozof. Mój ojciec, prawdziwy człowiek renesansu.

W wieku szesnastu lat miałem ciemnobłękitne oczy, miły uśmiech i niewiele ponad to, z czego mógłbym czerpać wiarę w siebie – żyjąc w cieniu Bohatera. I gdybym nadal miał szesnaście lat, i patrzył w lustro, próbując wzbudzić w sobie śmiałość, mówiąc, że dziś już na pewno uda mi się coś z nim zrobić, byłbym zdecydowanie na straconej pozycji.

Ale teraz, u diabła, miałem prawdziwą sprawę do rozwiązania – nieznanne miejsce pobytu niejakiej Jenny Angieliny, zniecierpliwiona współniczka za drzwiami, pistolet w kaburze, licencja detektywa w portfelu... i do tego twarz, która mogłaby śmiało należeć do jednej z postaci Flannery O'Connor. Ach, ta próżność.

Gdy otworzyłem drzwi, Angie grzebała w torebce, zapewne szukając zgubionej kuchenki mikrofalowej albo starego samochodu. Podniosła głowę.

– Gotowy?

– Gotowy.

W końcu wyciągnęła elektroszoker.

– To powiedz jeszcze raz, jak ten facet wyglądał?

– Wczoraj miał niebieską czapkę i zachodzące na boki ciemne okulary. Ale naprawdę nie wiem, czy to jakiś jego mundur. – Otworzyłem drzwi. – Elektroszoker nie będzie ci potrzebny, Angie. Jeśli go zauważysz, nic nie rób. Musimy tylko sprawdzić, czy jeszcze się tu kręci.

– To nie na niego, to na mnie. Na wypadek, gdybym zaczęła zasypiać na tej wsi.

Wickham leży osiemdziesiąt kilometrów od Bostonu, więc oczywiście Angie wydaje się, że nie mają tam jeszcze telefonów.

– Możesz wyrwać dziewczynę z miasta... – zacząłem.

– Ale musisz ją najpierw zastrzelić – dokończyła i zaczęła schodzić po schodach.

Została chwilę w kościele, żeby dać mi odrobinę forów, obserwując ulicę przez uchylone okno witrażowe.

Ja tymczasem przeszedłem przez jezdnię do tak zwanego przeze mnie służbowego samochodu. Jest to ciemnozielony volare z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku. Istny potwór. Wygląda jak rzech, hałasuje jak rzech, jeździ jak rzech i generalnie doskonale pasuje do otoczenia, w którym pracuje. Otworzyłem drzwi, niemal oczekując odgłosu szybkich kroków za plecami i ciosu w tył głowy. Na tym właśnie polega syndrom ofiary: człowiek zaczyna się spodziewać, że będzie go to spotykać na każdym kroku.

Nagle wszystko wygląda podejrzanie i jasne strony życia, które się dostrzegało jeszcze dzień wcześniej, nikną w cieniu. A cienie są wszędzie. Trzeba żyć ze świadomością własnej kruchości, a to cholernie nieprzyjemne.

Ale tym razem nic się nie zdarzyło. Zawracając i kierując się w stronę autostrady, nie widziałem w tylnym lusterku Błękitnej Czapeczki. Co prawda, nie spodziewałem się go zobaczyć, chyba żeby nasze wczorajsze spotkanie było dla niego wyjątkową frajdą; musiałem po prostu założyć, że gdzieś tam jest. Pogoniłem Potwora ulicą, potem skręciłem na zjazd na I-93 w kierunku północnym i do śródmieścia.

Dwadzieścia minut później byłem na Storow Drive. Po mojej prawej stronie miedzianymi połyskami toczyły się fale rzeki Charles. Kilka pielęgniarek z Massachusetts General rozłożyło się z lunchem na trawniku. Przez jeden z licznych mostków dla pieszych przebiegał mężczyzna, za którym podążał olbrzymi chow-chow o czekoladowej sierści. Przez chwilę zastanawiałem się, czy też się w takiego nie zaopatrzyć. Jako osobista ochrona przypuszczalnie spisałby się o wiele lepiej niż Harold. Ale tak naprawdę nie potrzebowałem psa obronnego; miałem Bubbę. Obok barki zauważyłem grupkę uwięzionych w mieście mimo lata studentów. Butelka wina przechodziła z rąk do rąk. Niegreczne dzieci. Pewnie mieli też w plecakach brie i krakersy.

Skręciłem w Beacon Street, zawróciłem i błyskawicznie śmignąłem w prawo w Revere Street. Po jej kocich łbach dotarłem do Charles Street i zacząłem się wspinać na Beacon Hill. Nikt mnie nie śledził.

Znowu skręciłem w Myrtle Street, uliczkę nie szerszą

od nici dentystycznej. Z obu jej stron napierały na mnie wyciągnięte w górę domy w stylu kolonialnym. Na Beacon Hill nie da się jechać za kimś tak, żeby śledzony tego nie zauważył. Te ulice zbudowano przed erą samochodów i jak sądzę, także przed erą grubasów i dryblasów.

Dawno temu, gdy Boston był cudowną, legendarną krainą karzełkowatych instruktorów aerobiku, Beacon Hill mogło się wydawać przestronne. Ale teraz jest tłoczne i wąskie i ma sporo wspólnego z małymi miasteczkami francuskiej prowincji – bardzo miłe dla oka, ale od strony funkcjonalnej katastrofa. Jeden zaparkowany na tym wzgórzu samochód dostawczy może spowodować korek na półtora kilometra. Ulice od strony północnej dwukierunkowe, ku południowi ni stąd, ni zowąd stają się jednokierunkowymi. To zwykle zaskakuje przeciętnego kierowcę i zmusza go do skrętu w inną wąską uliczkę stwarzającą po chwili ten sam problem i zanim się zorientuje, już jest z powrotem na Cambridge Street, Charles Street albo Beacon Street i głowi się, jak to się, u diabła, stało, że znowu jest na dole, mając niejasne, irracjonalne wrażenie, że wzgórze po prostu go z siebie rzuciło.

To fantastyczne miejsce dla snobów. Domy są z imponującej czerwonej cegły. Parkingów pilnuje bostońska policja. Obsługa kafejek i sklepików to imperatorzy, którzy na widok nieznanego sobie osobnika sprawiającego wrażenie, jakby chciał wejść, zamykają drzwi. I nikt nie odnajdzie cię po adresie, jeśli własną ręką nie narzujesz mu planu.

Przez balustradę z kutego żelaza na dachu budynku wyglądała ku mnie złota kopuła budynku parlamentu stanowego. Wspinałem się na wzgórze, zerkając w tylne

lusterko. Dwie przecznice za mną zobaczyłem wolno sunący samochód. Głowa kierowcy zwracała się to w prawo, to w lewo, jakby szukał nieznanego adresu.

Skrzyłem w lewo w Joy Street i powoli zjechałem cztery przecznice w dół, aż znalazłem się na Cambridge Street. Gdy światło zmieniło się na zielone i wjechałem na skrzyżowanie, zauważyłem ten sam samochód zjeżdżający ze wzgórza moim śladem. U samego szczytu Joy Street pojawiło się jeszcze jedno auto – kombi z połamanym bagażnikiem na dachu. Z tej odległości nie mogłem zobaczyć kierowcy, ale wiedziałem, że to Angie. Któregoś ranka rozwaliła ten bagażnik młotkiem, wyobrażając sobie, że ów słaby metal to Phil.

Pojechałem Cambridge Street w lewo i minąłem jeszcze kilka przecznic aż do Charles Plaza. Zjechałem na parking, wziąłem bilet – prawdziwa okazja: tylko trzy dolary za pół godziny – i przejechałem cały. Zaparkowałem pod Holiday Inn. Wkroczyłem do hotelu pewnym krokiem, jakbym miał tam jakiś interes, przed recepcją skrzyłem w prawo i wjechałem windą na drugie piętro. Poszedłem korytarzem, aż znalazłem okno i spojrzałem w dół.

Nie miał dziś błękitnej czapeczki. Białą cyklistówkę włożył na tył głowy, tak że jej daszek leżał mu płasko na czole. Miał jednak te same ciemne okulary, biały T-shirt Nike i czarne spodnie od dresu. Stał przy swoim samochodzie – białym nissanie pulsarze z wyścigowymi czarnymi paskami po bokach – oparty o otwarte drzwi. Najwyraźniej zastanawiał się, czy ma za mną wejść, czy nie. Z tej wysokości i pod tym kątem nie byłem w stanie dostrzec tablic rejestracyjnych, a co do jego wieku, mogłem tylko zgadywać, ale dałbym mu dwadzieścia-dwadzieścia pięć lat. Był wysoki – mógł mieć koło stu osiemdziesięciu

pięciu centymetrów wzrostu – sprawiał wrażenie gościa, który umie sobie radzić.

Trochę dalej, na Cambridge Street, niespiesznie podjechał samochód Angie i zatrzymał się przy rzędzie zaparkowanych samochodów.

Znowu zwróciłem wzrok na Błękitną Czapeczkę. Nie było sensu tu tkwić. Wejdzie za mną czy nie wejdzie, to bez znaczenia.

Zjechałem na parter, otworzyłem sobie drzwi prowadzące na śmierdzące spalinami zaplecze i zeskoczyłem z rampy przeładunkowej. Minąłem kubeł na śmieci, cuchnący fermentującymi z wolna owocami, i wydostałem się na Blossom Street. Nie spieszyłem się, ale i tak, zanim zdążyłem mrugnąć, już byłem z powrotem na Cambridge Street.

W całym Bostonie, w zupełnie nieoczekiwanych miejscach, kryją się garaże. Nie zaspakaja to bynajmniej potrzeb miasta, w którym ciągle brak miejsc parkingowych, jak papieru toaletowego w Moskwie, ale za to opłaty są niebotyczne. Wszedłem do jednego takiego garażu, znajdującego się między salonem fryzjerskim a kwiaciarnią, dotarłem do numeru osiemnaście i ściągnąłem pokrowiec z mojego maleństwa.

Każdy chłopczyk musi mieć zabawkę. Moją jest porsche roadster kabriolet, rocznik tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt dziewięć. Koloru kobaltowego błękitu, z kierownicą wykończoną drewnem, z zegarami obrotomierza i szybkościomierza osobno umieszczonymi na kokpicie. Wiem, że kokpit jest terminem zasadniczo zastrzeżonym dla lotnictwa, ale kiedy rozpędzam to cudo do stu osiemdziesięciu na godzinę, odnoszę wrażenie, że jeszcze tylko kilka coraz słabiej widocznych znaków

drogowych, a oderwę się od ziemi. Wnętrze jest wyłożone mięsistą białą skórą. Dźwignia zmiany biegów lśni jak wypolerowana cyna. Klakson zdobi symbol chyżego konia. Więcej przy nim pracuję, niż nim jeżdżę; dopieszczam go w weekendy, poleruję, wymieniam części. Mogę z dumą powiedzieć, że nie posunąłem się jeszcze do tego, by nadać mu imię, ale Angie twierdzi, że tylko z powodu braku wyobraźni.

Na pierwszy obrót kluczyka w stacyjce zareagował pomrukiem dzikiego kota z dżungli. Wyciągnąłem spod siedzenia czapeczkę bejsbolową, ściągnąłem marynarkę, poprawiłem na nosie słoneczne okulary i wyjechałem z garażu.

Angie wciąż jeszcze nieprzepisowo parkowała przed Plaza, co oznaczało, że Błękitna Czapeczka jest obecny i zneutralizowany. Pomachałem jej i wjechałem na Cambridge, kierując się ku rzece. Dotrzymywała mi tempa jeszcze, gdy dojeżdżałem do Storow Drive, ale zanim dotarłem na I-93, zostawiłem ją daleko z tyłu w obłoku kurzu, po prostu dlatego, że pozwalał mi na to mój pojazd. Albo dlatego, że jestem tak niedojrzały. Jedno z dwojga.

Jazda do Wickham to nie zabawa. Co trzy kilometry trzeba zmieniać kierunek. Jeden niewłaściwy zakręt i już jesteś w New Hampshire i musisz dyskutować z miejscowymi kmiotkami, którzy nawet nie mówią po angielsku. Na dodatek jedyny widok, jaki można podziwiać po drodze, to tu i ówdzie zabudowania fabryczne, a bliżej pasa miast położonych wzdłuż rzeki Merrimack River – samą rzekę. Niezbyt przyjemny widok. Zazwyczaj chcąc zobaczyć wodę tak brązową i zastałą jak w tej rzece, trzeba byłoby się przejść do kraty ściekowej. Jest to skutek zaniedbań przemysłu tekstylnego, na którym w dużej mierze opiera się gospodarka New Hampshire i Massachusetts. Jadąc dalej, widzi się już same fabryki i niebo zmienia się w sadzę.

Mnie to aż tak bardzo nie przeszkadzało, ponieważ przez całą drogę z moich głośników dudniły dźwięki *Exile on Main Street*. Gdy dotarłem na Merrimack Avenue, moim jedynym zmartwieniem była konieczność zostawienia samochodu bez opieki.

Spółeczność Wickham nie należy do pnących się górę po szczeblach drabiny klasowej. Miasto jest obskurne i szare, jak tylko może być miasto przemysłowe. Ulice mają kolor podeszwy, a bary różnią się od domów mieszkalnych jedynie neonami w oknach.

Nawierzchnia jezdni i chodników jest nierówna, asfalt popękany i wyblakły. Mieszkańcy, zwłaszcza robotnicy wlokący się w gasnącym świetle dnia z fabryk do swoich domów, mają wygląd ludzi od dawna przywykłych do tego, że nikt na świecie o nich nie pamięta. To miejsce, gdzie człowiek cieszy się, że istnieją pory roku – jedyny dowód,

że czas nie stoi w miejscu.

Merrimack Avenue to główna ulica miasta. Simone Angielina mieszkała dość daleko od centrum – gdy dojechałem do numeru tysiąc dwieście, bary, stacje benzynowe, fabryki i szwalnie zostały dobre siedem kilometrów za mną. Znow widziałem Angie w tylnym lusterku. Gdy skręciłem w boczną uliczkę i zaparkowałem, minęła mnie. Zablokowałem samochód, a radio zabrałem ze sobą. Jeszcze jedno, ostatnie spojrzenie i pozostało mi tylko żywić nadzieję, że uda nam się szybko znaleźć Jenne. Naprawdę szybko.

Nie wygrałem tego samochodu w karty, nie ofiarował mi go też żaden szczodroliwy klient. Oszczędzałem i czekałem, czekałem i oszczędzałem. W końcu zobaczyłem ogłoszenie i udałem się do banku po pożyczkę. Przeszedłem tortury przesłuchania przez protekcyjnego urzędnika, kubek w kubek przypominającego belfra z liceum – zgorzkniałego palanta, który w swoim dorosłym życiu ma jedno zadanie: wziąć odwet na młodości, gnojąc każdego, kto w jego wyobrażeniu byłby zdolny do niegrzecznego zachowania w klasie. Na szczęście moja firma się rozkręcała i honoraria rosły, dzięki czemu wkrótce miałem tego pawiana z głowy. Ale wciąż jeszcze płacę za całą operację nieustanną obawą o jedyny materialny przedmiot posiadania, jaki mnie kiedykolwiek obchodził.

Wśliznąłem się na siedzenie pasażera obok Angie. Wzięła mnie za rękę.

– Nie miej takiej skwaszonej miny, złotko. Twojej dumie i radości nic się nie stanie. Słowo.

Czasem potrafi być tak dowcipna, że człowiek miałby ochotę ją zastrzelić.

– No cóż, w tym otoczeniu przynajmniej nie zwróci niczyjej uwagi – powiedziałem.

– O, to było dobre. Myślałeś kiedyś, żeby się zaangażować do kabaretu?

I tak dalej. Siedzieliśmy w samochodzie, podawaliśmy sobie puszki pepsi i czekaliśmy, aż nasz kupon obiadowy wkroczy na scenę.

O szóstej oboje byliśmy już całkowicie zeszywniali, mieliśmy serdecznie dość siebie nawzajem, a jeszcze bardziej Merrimack Avenue numer 1254. Był to wyblakły, kiedyś być może różowy, dom z wysokim spadzistym dachem. Przed godziną weszła do niego portorykańska rodzina. Po jakiejś minucie od ich wejścia zauważyliśmy, że na pierwszym piętrze zapaliło się światło. Jeśli nie liczyć incydentu z drugą puszką pepsi, która przy otwieraniu wybuchła mi w rękach i zalała całą deskę rozdzielczą, było to nasze najbardziej ekscytujące przeżycie od czterech godzin.

Przeglądałem właśnie zbiór kaset na podłodze samochodu Angie, próbując znaleźć jakiś zespół, o którym bym chociaż słyszał, kiedy powiedziała:

– Baczość.

Czarnoskóra kobieta – chuda jak tyczka, o wyniosłej, niemal królewskiej postawie – wysiadła z hondy civic z 1981 roku. Prawą ręką przytrzymała na biodrze torbę z zakupami. Wyglądała jak żywy portret Jenny, tylko sprzed siedmiu czy ośmiu lat. Biło też od niej zbyt wiele energii jak na tę zmęczoną kobietę z fotografii. Wolnym biodrem zatrasnęła drzwi samochodu mocnym, szybkim ruchem, którym mogłaby zapewne samego Gretzky'ego posadzić dupą na lodzie. Pomaszerowała do drzwi domu, wsunęła klucz w zamek i znikła. Kilka minut później za

oknem pojawiła się jej sylwetka ze słuchawką telefoniczną w dłoni.

– Jak chcesz to rozegrać? – spytała Angie.

– Zaczekać.

– Tego się właśnie obawiałam. – Poprawiła się na siedzeniu, oparła podbródek na palcach i chwilę pocierała go półkolistym ruchem. – Myślisz, że Jenny tam nie ma?

– Tak właśnie myślę. Od czasu swojego zniknięcia zachowywała dużą ostrożność. Na pewno wie, że jej mieszkanie zostało zdemolowane. A to lanie, jakie dostałem na dziedzińcu szkolnym, każe mi sądzić, że szukamy jej z powodu jakiejś większej sprawy niż drobna kradzież. Nie sądzę, żeby mając na karku takie typki – może też tego całego Rolanda – zadekowała się w mieszkaniu siostry.

Angie ni to wzruszyła ramionami, ni to skinęła głową – to jeden z jej charakterystycznych gestów – i zapaliła papierosa. Wystawiła rękę przez okno. Szary dym zebrał się wokół wstecznego lusterka, rozdzielił na dwie równe smugi i wypłynął przez okna.

– Jeśli my okazaliśmy się wystarczająco cwani, żeby wykombinować, gdzie ona jest, czemu nie miałyby na to wpaść nikt inny? Przecież na pewno nie my jedni wiemy, że ma siostrę.

Zamyśliłem się. To nie było głupie. Jeśli „oni”, kimkolwiek są, posadzili mi kogoś na ogonie, w nadziei że doprowadzę ich do Jenny, na pewno zrobili to samo z Simone.

– Niech to szlag.

– I co chcesz teraz zrobić?

– Czekać – powtórzyłem, a ona jęknęła. – Gdy Simone gdzieś pójdzie, pójdziemy za nią.

– Jeśli Simone gdzieś pójdzie.

– Myśl pozytywnie. Gdy Simone gdzieś pójdzie, pójdziemy za nią, ale nie od razu, najpierw rozejrzemy się, czy nie mamy towarzystwa.

– A jeśli już teraz mamy towarzystwo? Jeśli ktoś właśnie w tej chwili nas obserwuje i planuje to samo co my? Co wtedy?

Odparłem pokusę rozejrzenia się za innymi samochodami z gapiącą się na nas dwójką nieruchomych pasażerów.

– Jakoś sobie poradzimy. Zmarszczyła czoło.

– Zawsze to mówisz, kiedy nie masz pojęcia, co robić.

– Daj spokój.

Kwadrans po siódmej sprawy nabrały tempa.

Ubrana w granatowy sweter nałożony na biały T-shirt, sprane dżinsy i biało-szare podroby markowych sportowych butów Simone wyszła z domu stanowczym krokiem i takim samym gestem otworzyła drzwi auta. Zastanawiałem się, czy wszystko robi w ten sposób – z tym zaciętym wyrazem twarzy, z tą miną, która mówiła: „jeśli nie nadążasz, to idź do diabła”. Czy można na przykład tak spać?

Pojechała prosto Merrimack, więc daliśmy jej kilka przecznic forów, żeby się przekonać, czy jesteśmy jedynymi zainteresowanymi. Na to wyglądało, a nawet jeśli tak nie było, nie miałem zamiaru stracić z oczu jedyne go tropu. Ruszyliśmy i – jeszcze tylko pożegnalny rzut oka na mój pojazd o wartości trzydziestu siedmiu tysięcy dolarów; wycena towarzystwa ubezpieczeniowego, nawiasem mówiąc – pojechaliśmy jej śladem przez Wickham. Minęła centrum i wskoczyła na I-495. Miałem już dość siedzenia w samochodzie i żywiłem szczerą nadzieję, że nie upchnęła

Jenny w Kanadzie. Dzięki Bogu okazało się, że chyba nie, bo kilka kilometrów dalej zjechała z autostrady i skręciła do Lansington.

Jeśli to możliwe, Lansington jest jeszcze brzydsze niż Wickham, choć trudno powiedzieć, na czym to polega. Są przecież niemal identyczne, ale Lansington chyba sprawia wrażenie bardziej niechlujnego.

Staliśmy na światłach w pobliżu centrum, ale gdy zapaliło się zielone, Simone nie drgnęła. Poczulem, że na sercu zaciskają mi się zimne kleszcze.

– Cholera – powiedziała Angie. – Myślisz, że nas przyuważyła?

– Naciśnij klakson.

Zrobiła to i dłoń Simone uniosła się w przeproszającym geście. Po prostu nie zauważyła zmiany świateł. To była pierwsza spontaniczna rzecz, jaką zrobiła, odkąd ją zobaczyliśmy. Poczulem coś w rodzaju ożywczego prądu; teraz byliśmy bliżej.

Otaczały nas nędzne dwukondygnacyjne oszalone budynki w stylu z końca dziewiętnastego wieku. Drzewa rosły z rzadka, dziwacznie powykręcane. Światła sygnalizacyjne były starego typu, okrągłe, bez napisów „Idź” albo „Stój” czy neonowych sylwetek dla tych, którzy nie są w stanie przeczytać napisów. Zmianę sygnalizował szcękający dźwięk. Miałem wrażenie, że równie dobrze mogłaby to być wieś w Georgii czy Wirginii Zachodniej.

Przed nami Simone włączyła lewy migacz i ułamek sekundy później zjechała z drogi na mały niewyafaltowany parking zapelniony furgonetkami, autami kempingowymi, zakurzonymi sportowymi samochodami rodzimej produkcji i tymi przekłętymi świadectwami złego gustu ludzi z Detroit – el camino.

Występują w dwóch wersjach: samochód osobowy, który nie może się zdecydować, czy nie wolałby być ciężarówką, i ciężarówka, która nie może się zdecydować, czy nie wolałaby być samochodem osobowym – w efekcie dwie wstretne hydry.

Angie jechała naprzód. Kilometr dalej zawróciliśmy. Parking należał do baru. Podobnie jak w Wickham nie dałoby się tego rozpoznać, gdyby nie neonowe napisy „Miller High Life” w oknach. Był to niski, jednopiętrowy budynek, nieco głębszy niż większość tutejszych domów – pewnie o jakieś dziesięć metrów. Z jego wnętrza dolatywał brzęk szkła, przytłumione odgłosy śmiechu, szum rozmów i piosenka Jona Bon Jovi z szafy grającej. Do tej ostatniej obserwacji dodałem poprawkę: może to była muzyka z radia i nikt w tym lokalu nie musiał wydać pieniędzy, żeby posłuchać Jona Bon Jovi. Ale potem jeszcze raz rzuciłem okiem na półciężarówki i na bar i już nie byłem takim optymistą.

– Tu też będziemy czekać? – spytała Angie.

– Nie. Wchodzimy.

– Ekstra. – Spojrzała na budynek. – Dziękuję Bogu, że mam pozwolenie na broń. – Sprawdziła, czy pistolet jest nabyty.

– Święte słowa – odparłem, gramoląc się z samochodu.

– Jak tylko znajdziemy się w środku, strzelaj we wzmacniacz.

Simone nigdzie nie było widać. Dość łatwo mogliśmy się o tym przekonać, ponieważ gdy tylko przekroczyliśmy próg, w środku wszyscy zamarli.

Miałem na sobie džinsy, koszulę też džinsową i czapkę bejsbolową. Moja twarz wyglądała jak po nieporozumieniu

z pitbullem, a moją broń maskowała szmatława i wypłowiwała kurtka wojskowa. Pasowałem tu idealnie.

Angie była ubrana w ciemnoniebieską kurtkę piłkarską z białymi skórzanymi rękawami i luźną białą bawełnianą koszulę, wypuszczoną swobodnie na czarne legginsy.

Nietrudno zgadnąć, na kogo skierowali wzrok.

Ja spojrzałem na Angie. Niezbyt daleko stąd jest New Bedford. A w New Bedford jest Big Dan's Bar. To tam banda facetów rzuciła dziewczynę na stół bilardowy i na swój sposób zabawiła się jej kosztem, dopingowana przez resztę gości. Przyjrzałem się klientom tego baru – pospolitej jak keczup Heinza mieszaninie wiejskich buraków, białej hołoty, robotników świeżo przybyłych z Trzeciego Świata, Portugalczyków i nielicznych czarnych. Od wszystkich biła bieda, wrogość i przemożna chęć wyładowania agresji. Pewnie przyjechali tu, bo Big Dan's był zamknięty. Jeszcze raz spojrzałem na Angie. Nie martwiłem się o nią; zastanawiałem się, co się stanie z moim biznesem, jeśli moja współpracownica odstrzeli fiuty gromadzie uczujących w barze mieszkańców Lansington. Miałem pewne obawy, że nie uda nam się zachować naszego biura w kościele.

Lokal był większy, niż się wydawał od zewnątrz. Po lewej, tuż przed samym barem, widać było wąskie schody z niewykończonego drewna. Bar zajmował mniej więcej połowę szerokości pomieszczenia. Naprzeciw niego pod ścianą z ciemnej sklejki stało kilka dwuosobowych stolików. Za barem otwierała się przestrzeń, w której po lewej stronie dostrzegłem automaty do gry, a po prawej stół bilardowy. Stół bilardowy. Fantastycznie.

Było dość tłoczno. Prawie wszyscy mieli na głowach czapki bejsbolowe, nawet te istoty, które, jak

przypuszczałem, były rodzaju żeńskiego. Kilka osób piło koktajle, ale generalnie to była raczej kraina budweisera.

Podeszliśmy do baru, a miejscowi zajęli się tym, co robili – lub udawali, że robią – przed naszym wejściem.

Barman był młodym chłopakiem z rozjaśnionymi włosami, na oko przyjemnym, ale zapewne żulikiem, skoro pracował w takim miejscu. Powitał mnie bladym uśmiechem. Za to uśmiech, z którym zwrócił się do Angie, wyglądał, jakby jego usta rozerwała nagła eksplozja.

– Cześć. Co podać?

Oparł się o bar i zajął jej w oczy.

– Dwa razy bud – powiedziała Angie.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł Blondas.

– Nie wątpię – skomentowała z uśmiechem.

Stale to robi. Flirtuje do upadłego z każdym prócz mnie. Gdybym nie miał tak głęboko ugruntowanej pozytywnej samooceny, mogłoby mnie to irytować.

Ale dziś miałem swój dobry dzień. Poczułem to w chwili, gdy Bon Jovi skończył piosenkę. Blondas poszedł po piwa, a ja przyjrzałem się klatce schodowej. W chwili względnej jak na bar ciszy doleciały mnie dobiegające znad sufitu odgłosy świadczące o obecności ludzi.

Gdy Blondas postawił oba piwa przed Angie, spytałem:

– Czy jest tu tylne wyjście?

Bez pośpiechu zwrócił głowę w moją stronę z taką miną, jakbym przy wsiadaniu do autobusu trącił go w kolano.

– Taaak – odparł, niemiłosiernie przeciągając dźwięki i ruchem głowy wskazał kąt, w którym stał stół bilardowy. Przez wiszący w powietrzu dym dostrzegłem drzwi. Barman znowu patrzył na Angie, ale kącikiem ust

wymówił:

– Bo co, zamierzacie obrabować ten lokal?

– Nie – odparłem. Przerzuciłem wszystkie wizytówki w moim portfelu, aż znalazłem tę właściwą. – Zamierzam was pozwać za złamanie przepisów budowlanych. I to całej masy, dupku żołądny. – Rzuciłem wizytówkę na blat. Było na niej napisane: „Lewis Prine, stanowy inspektor budowlany”. Lewis popełnił kiedyś błąd, zostawiając mnie na chwilę samego w swoim gabinecie.

Blondas przestał gapić się na Angie, choć widać było, że sprawiło mu to przykrość. Cofnął się odrobinę i spojrzał na wizytówkę.

– Czy wy przypadkiem nie musicie nosić jakichś identyfikatorów, czy czegoś takiego?

Miałem i to. Zaletą identyfikatorów jest to, że dla niewprawnego oka wszystkie wyglądają tak samo, więc nie muszę taszczyć ze sobą pięćdziesięciu naraz. Mignąłem mu nim przed nosem i schowałem z powrotem do kieszeni.

– Macie tylko te jedne tylne drzwi?

– Tak – odparł. Był zdenerwowany. – Bo co?

– Bo co? BO CO? Gdzie jest właściciel?

– Proszę? – Właściciel. Właściciel.

– Bob? Poszedł na noc do domu. Szczęście mnie nie opuszczało.

– Ile tu macie kondygnacji, synku?

Patrzył na mnie, jakbym go pytał o gęstość atmosfery Plutona.

– Kondygnacji? Aha, dwie. Mamy dwie. Na piętrze są pokoje gościnne.

– Dwie – powtórzyłem tonem odrazy moralnej. – Dwie kondygnacje i jedyne wyjście znajduje się na parterze.

– No tak.

– No tak? A jak ludzie z pierwszego piętra mieliby się stąd wydostać w razie pożaru?

– Oknem? – podsunął.

– Oknem. – Pokręciłem głową. – No to może byśmy tam teraz razem weszli i zobaczyli, jak wylądujesz po skoku z pierwszego piętra przez pieprzone okno? Oknem. Jezu Chryste.

Angie założyła nogę na nogę. Sączyła piwo i bawiła się doskonale.

– No... – powiedział Blondas.

– Co „no”?

Rzuciłem Angie spojrzenie mówiące, żeby się szykowała. Uniosła brwi i radośnie dokończyła piwo.

– Chłopcze – powiedziałem. – Dam ci teraz cholernie pożyteczną lekcję.

Wstałem, podszedłem do ściany ze sklejk i włączyłem alarm przeciwpożarowy.

Nikt w całym barze nie rzucił się do wyjścia. W gruncie rzeczy nikt nawet nie ruszył się z miejsca. Odwrócili tylko głowy w moją stronę. Sprawiali wrażenie lekko wkurzonych.

Ale ci na piętrze nie mogli wiedzieć, czy rzeczywiście się pali, czy nie. W barach zawsze jest pełno dymu.

Pierwsza zbiegła dość tęga kobieta przysłonięta tylko skąpym prześcieradłem, a za nią jeszcze oszczędniej przyodziany chudy facet. Rzucili tylko okiem na bar i skiknęli przez drzwi jak zajęce podczas sezonu myśliwskiego.

Za nimi para dzieciaków. Około szesnastu lat, oboje z trądzikiem na twarzy. Zapewne zameldowali się jako państwo Smith. Gdy dotarli do ostatniego stopnia, gwałtownie dysząc, płasko przywarli do ściany.

A potem nagle pojawiła się Simone. Sprawiała wrażenie, jakby czuła się osobiście dotknięta; wzrokiem szukała winnego. Jej oczy powędrowały od Blondasa przez tłum ówków i wreszcie spoczęły na mojej skromnej osobie. Ja też na nią zerknąłem, ale przelotnie; moje spojrzenie zatrzymało się tuż za jej ramieniem.

Na Jennie Angieline.

Angie puściła moje ramię i znikła za ścianą ze sklejki. Czekałem, nie odrywając oczu od Jenny Angieline, aż w końcu spotkałem się z jej oczami. Z tych oczu bezgłośnie krzyczała rezygnacja. Były stare, bardzo stare. Brązowe, puste, zbyt pokaleczone, by mogły jeszcze błysnąć lękiem. Albo radością. Albo życiem. Coś jednak w nich mignęło i wiedziałem, że mnie rozpoznaje. Nie kim jestem. Ale co reprezentuję. Byłem kolejną wersją gliniarza, komornika, właściciela domu, szefa. Byłem władzą, zjawiłem się, żeby w jakiś sposób wpłynąć na jej życie, czy jej się to podoba, czy nie. Rozpoznała mnie bez pudła.

Angie odnalazła główne kable; w jednej świszczącej sekundzie wysoki ryk syreny alarmowej wygasł i zapadła martwa cisza.

Teraz znalazłem się w centrum uwagi i wiedziałem, że spotkam się z oporem, przynajmniej ze strony sióstr Angieline. Prócz nich dwóch, barmana i potężnego, ale trochę już otluszczonego faceta w typie byłego futbolisty po mojej prawej stronie, wszystkich innych przysłoniła mgiełka. Futbolista wspiał się na palce, a Blondas trzymał rękę pod blatem. Siostry Angieline sprawiały wrażenie, że bez pomocy dźwigu nie ruszą się z miejsca.

Mój głos zabrzmiał głośno, ochryple.

– Jenna, musimy porozmawiać.

Simone chwyciła siostrę za rękę.

– Chodź, Jenna, idziemy – i pociągnęła ją do wyjścia.

Pokręciłem głową i stanąłem przed drzwiami. Zanim futbolista wykonał swój ruch, miałem już dłoń pod kurtką. Jeszcze jeden bohater. Zapewne członek ochotniczej straży pożarnej.

Wyciągnął prawicę w kierunku mojego ramienia, otworzył usta i gburowatym tonem powiedział:

– Zostaw te kobiety w spokoju, palancie.

Ale zanim mnie dotknął, moja ręka już wyrzała spod kurtki, odsunęła jego rękę i musnęła jego usta lufą pistoletu.

– Słucham? – spytałem, wciskając lufę mocno w jego górną wargę.

Spojrzał na pistolet. Już nic nie mówił.

Nie poruszyłem głową, ale mój wzrok wędrował po całym lokalu. Patrzyłem po kolei w każde oczy, które napotkałem. Czułem tuż obok obecność Angie, jej nieruchomy pistolet, jej płytki oddech.

– Jenna, Simone – powiedziała. – Idźcie teraz do swojego samochodu i jedźcie do domu do Wickham. My pojedziemy za wami, ale gdyby przyszło wam do głowy, żeby nas zgubić, to wierźcie mi, nasz samochód jest o wiele szybszy i skończy się na tym, że będziemy rozmawiać w przydrożnym rowie.

Spojrzałem na Simone.

– Gdybym chciał cię skrzywdzić, już byś nie żyła.

Simone musiała zrobić jakiś gest rozpoznawalny tylko dla siostry. Bo Jenna położyła jej rękę na ramieniu.

– Zrobimy tak, jak mówią, Simone.

Za moimi plecami Angie otworzyła drzwi. Jenna i Simone wyszły na dwór. Popatrzyłem na Futbolistę i pistoletem odepchnąłem jego głowę. Czułem jej wagę;

mięśnie zareagowały bólem, dłoń mi sztywniała, a pot tryskał ze wszystkich porów ciała.

Futbolista spojrzał mi w oczy i widziałem, że znowu go kusi, żeby zostać bohaterem.

Czekałem. Wymierzyłem w niego pistolet.

– No dawaj – powiedziałem.

– Nie tutaj. Idziemy – przerwała Angie. Ujęła mnie za łokieć i wycofaliśmy się z baru w ciemność nocy.

– Siadaj, Simone. Proszę.

Wszystko, co wydobywało się z ust Jenny, brzmiało jak znużone błaganie.

Byliśmy w domu od dziesięciu minut i cały ten czas zmarnowaliśmy na walkę z ego Simone. Jak dotąd dwa razy próbowała przepchnąć się przeze mnie, a teraz zmierzała do telefonu.

– Nikt nie będzie mi chodzić po domu i mówić, co mam robić – oświadczyła Jennie, a potem spojrzała na Angie. – A ten tutaj przecież nie będzie strzelać, kiedy sąsiedzi na górze nie śpią.

Pewnie zaczęła wierzyć w to, co powiedziała, zanim doszła do tego telefonu.

– Gdzie chcesz zadzwonić, Simone? – spytałem – Na policję? Dzwon.

– Odłóż słuchawkę, Simone. Proszę – powiedziała znowu Jenna.

Angie sprawiała wrażenie znudzonej i rozdrażnionej. Cierpliwość nie należy do jej głównych cnót. Przeszła przez pokój i wyrwała wtyczkę od telefonu ze ściany.

Zamknąłem oczy, po chwili znów je otworzyłem.

– Jestem prywatnym detektywem, Jenna, i zanim którekolwiek z nas podejmie jakąś decyzję, musimy porozmawiać.

Simone spojrzała na telefon, potem na Angie i na mnie, w końcu na siostrę.

– Jak sobie posiałaś, dziewczyno, tak się wyśpisz. Usiadła na kanapie. Angie usiadła obok niej.

– Masz bardzo przyjemne mieszkanie.

I rzeczywiście. Było małe, widok był z niego

nieszczególny i raczej nie przypominało salonu z fortepianem przy oknie, ale Simone niewątpliwie miała gust. Deski na podłodze zostały zdarte do białego drewna i polakierowane na połysk. Kanapa, na której siedziały, była jasnokremowa i przyozdobiona wielką dekoracyjną poduchą; jak znam Angie, na pewno aż ją świerzbiło, żeby ją przytulić do piersi. Jenna siedziała na prawo od kanapy na półkolistym mahoniowym krześle, a ja opierałem się na identycznym naprzeciwko niej. Półtorametrowy, wysoki na dziesięć centymetrów podest przed oknami tworzył niewielką wnękę z widokiem na ulicę. Na szerokich parapetach leżały poduszki, obok stał drewniany gazetnik, z sufitu zwisała doniczka z kwiatkiem, na drewnianym stoliczku leżał telefon. Połowę ściany za plecami Jenny zajmowała biblioteczka. Wypatrzyłem poezje Nikki Giovanni, Mai Angielou, Alice Walker i powieści Baldwina i Wrighta, a także Gabriela Garcii Marqueza, Toni Morrison, Pete'a Dextera, Walkera Percy'ego i Charlesa Johnsona.

Spojrzałem na Simone.

– Do jakiej szkoły chodziłaś?

– Tuskegee – odpowiedziała, nieco zdziwiona.

– Dobra szkoła.

Mój kumpel grał tam przez rok w piłkę, dopóki się nie zorientował, że jest za słaby. – Fajna kolekcja książek.

– Dziwisz się, że asfalt umie czytać, co?

Westchnąłem.

– Tak jest. Masz rację, Simone. – Zwróciłem się do Jenny. – Dlaczego rzuciłaś pracę?

– To normalna sprawa, że ktoś czasem rzuca pracę.

– To prawda – odparłem – ale dlaczego ty rzuciłaś swoją.

– Nie chciałam już u nich więcej pracować. Proste jak drut.

– A to, że dobrałaś się do ich dokumentów, też było proste jak drut?

Jenna wyglądała na zaskoczoną. Simone też. Może i rzeczywiście były, ale jeśli Jenna naprawdę ukradła te dokumenty, nie mogłem się przecież spodziewać, że za najlepszą taktykę uznają zachowanie potwierdzające, iż dobrze wiedzą, o co chodzi.

– O czym ty gadasz, do cholery? – spytała Simone.

Jenna miętoszyła w palcach tkaninę spódnicy i nie odrywała ode mnie wzroku. Zastanawiała się nad czymś i na krótką chwilę inteligencja, która rozbłysła w jej spojrzeniu, zmyła całe znużenie niczym wielka fala łódkę wiosłową. Zaraz jednak znikła i jej oczy znów straciły wyraz.

– Simone, chcę chwilę porozmawiać z tym człowiekiem sam na sam – powiedziała w końcu.

Simone ten pomysł się nie spodobał, ale po chwili poszła jednak z Angie do kuchni. Dobiegał nas stamtąd jej głos, krzykliwy i nieszczęśliwy, ale Angie miała swoje sposoby na nieszczęśliwych krzykaczy. Żyjąc w małżeństwie, gdzie codziennością są nie wiadomo czym wywołane napady wściekłości, nieuzasadniona zazdrość i nagłe oskarżenia, nabiera się biegleści w radzeniu sobie w jednym małym pomieszczeniu z wrogiem. W zetknięciu z wszelkiego rodzaju płaksami lub furiatami – wszystkimi, którzy zawsze uważają siebie za ofiary wszechświatowej konspiracji, mającej na celu tylko i wyłącznie zrujnowanie ich nastroju, którym nie daje się przemówić do rozsądku, których dławi nędzna wściekłość – wzrok Angie staje się spokojny i niewzruszony, głowa i całe ciało kamienieje

niczym pomnik i gdy płaksa czy furiat daje upust emocjom, ten wzrok sprawia, że zaczyna bełkotać, słabnąć i w końcu się wyczerpuje. Wobec jego chłodnej logiki, onieśmielającej dojrzałości człowiek albo wędnie, blaknie, albo, jak Phil, odpowiada gwałtownym atakiem i zaczyna zaprzeczać sam sobie. Wiem, bo parę razy sam byłem obiektem takiego spojrzenia.

W pokoju Jenna nadal twardo wpatrywała się w podłogę i zachodziła obawa, że jeśli szarpnie spódnicę jeszcze trochę mocniej, spruta nic zacznie się słać po podłodze.

– Może by mi pan tak powiedział, dlaczego tu za mną przyjechaliście.

Zacząłem się nad tym zastanawiać. Zdarzało mi się już mylić co do ludzi. Kilkakrotnie. Zasadniczo wychodzę z założenia, że każdy, kogo spotykam na swojej drodze, jest draniem, dopóki mi nie udowodni, że nie mam racji, i zazwyczaj dobrze na tym wychodzę. Ale od czasu do czasu zdarza mi się pomyśleć, że nie mam racji, żeby odkryć draństwo później, na ogół w sposób bolesny. Jenna nie zrobiła na mnie wrażenia osoby, która kłamie. Powiedziałbym nawet, że nie wyglądała na osobę, która wie, jak to się robi, ale czasem to właśnie takie istoty nie są zdolne rozpoznać prawdy, nawet gdyby miała w klapie identyfikator ze zdjęciem.

– Pani ma pewne dokumenty. Zostałem wynajęty, aby je odzyskać. – Rozłożyłem ręce. – To wszystko.

– Dokumenty? – powtórzyła, wymawiając to słowo, jakby nim s pluwała. – Dokumenty. Cholera.

Wstała i zaczęła tam i z powrotem przemierzać pokój. Nagle wydała mi się o wiele silniejsza, o wiele bardziej zdecydowana od siostry. Już nie unikała mojego wzroku.

Jej oczy były zaczerwienione, ale twarde i jeszcze raz uświadomiłem sobie, że ludzie nie rodzą się znużeni i sponiewierani, tylko się tacy stają.

– No więc teraz ja powiem panu, panie Kenzie – wycelowała we mnie sztywny palec – że to naprawdę cholernie zabawne określenie. „Dokumenty”. – Znowu spuściła głowę; teraz dla odmiany zaczęła chodzić w kółko, po dla niej tylko widocznym okręgu. – „Dokumenty”. No dobrze, może pan to nazywać, jak pan chce. Tak jest. Może pan to nazywać, jak pan chce.

– A jak pani by to nazwała, pani Angielina?

Spojrzała na mnie i całe jej ciało zaczęło drżeć z wściekłości. Jej oczy szczerwieniały jeszcze mocniej, a podbródek uniósł się w geście dumnym i nieustępliwym.

– Przez całe życie nikt mnie nigdy nie potrzebował. Rozumie pan?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie potrzebował – powtórzyła. – Nikt mnie nigdy nie potrzebował. Czasem ktoś czegoś ode mnie chciał, no pewnie. Przez kilka godzin, przez tydzień. „Jenna, sprzątnij pokój sto pięć” albo „Jenna, skocz no do sklepu”, a jak który chciał być naprawdę miły, to i „Jenna, kochanie, chodź no tu i połóż się przy mnie na minutkę”. Ale jak było po wszystkim, byłam znowu jak to krzesło. Jestem, czy mnie nie ma, nieważne. Człowiek zawsze znajdzie sobie kogoś, kto po nim posprząta, skoczy do sklepu czy się z nim położy.

Podeszła do krzesła, na którym przedtem siedziała, i zaczęła grzebać w torebce, aż wyciągnęła paczkę papierosów.

– Nie paliłam od dziesięciu lat. Zaczęłam znowu kilka dni temu. – Zapaliła, wydmuchała kłąb dymu, który zasnuł

cały pokoik. – To nie są żadne dokumenty, panie Kenzie. Rozumie pan? To nie są dokumenty.

– A co...?

– Coś. COŚ. – Pokiwała głową, sama sobie przytakując, dziobiąc powietrze skierowanym w dół papierosem i nie przerywając marszu.

Pochyliłem się odrobinę w jej stronę, wodząc za nią głową, jakbym był na Wimbledonie.

– Co takiego, pani Angieline?

– Widzi pan, panie Kenzie – powiedziała, jakby mnie nie usłyszała. – Nagle każdy mnie szuka, wynajmuje ludzi, takich jak pan i pewnie gorszych, żeby tylko znaleźć Jenne, porozmawiać z Jenną, dostać w swoje ręce to, co ma Jenna. Nagle wszyscy Jenny potrzebują. – Szybkim krokiem przemierzyła pokój i stanęła przede mną z papierosem wzniesionym jak nóż rzeźnicki, z zaciśniętymi szczękami. – Tego, co mam, nikt nie dostanie, panie Kenzie. Słyszysz pan? Nikt. Tylko ten, któremu sama to dam. Ja decyduję. Teraz ja dostanę, co chcę. Teraz ja się trochę powysługuję innymi. Może pošlę kogoś do sklepu. Może popatrzę, jak dla odmiany ktoś pracuje na mnie. Jak zamienia się w krzesło, kiedy już z nim skończę. – Wycelowała żarzącego się papierosa w moje oko. – Ja decyduję. Jenna Angieline. – Cofnęła się i zaciągnęła się dymem. – A to, co mam, nie jest na sprzedaż.

– A na co?

– Będzie służyć sprawiedliwości – odparła, wypuszczając smugę dymu. – Prawdziwej sprawiedliwości. Niektórzy będą mieli za swoje, panie Kenzie.

Patrzyłem na jej dłoń trzęsącą się tak gwałtownie, że papieros podskakiwał jak ponton, z którego właśnie zeskoczył nurek. W głosie Jenny brzmiała udręka –

rozpaczliwy, głuchawy ton – a na twarzy malowały się ślady spustoszenia. Jenna Angieline była ruiną człowieka. Szybko bijącym sercem w skorupie ciała. Była przerażona, zmęczona, wściekła, ujadła na świat, ale w przeciwieństwie do większości ludzi w jej sytuacji była też niebezpieczna, bo miała coś, co, przynajmniej w jej pojęciu, pozwoliłoby jej w pewnym stopniu się na tym świecie odegrać. Tylko że zazwyczaj nie wychodzi tak, jak sobie człowiek zaplanuje. Ludzie tacy jak Jenna Angieline są jak bomby zegarowe; mogą zabrać ze sobą parę osób, ale sami też giną w eksplozji.

Nie życzyłem Jennie źle, ale nie miałem też zamiaru dać się zranić odłamkiem, gdy w końcu doprowadzi do autodestrukcji.

– Mój problem jest tego rodzaju: płacą mi za to, żebym znalazł kogo trzeba, zadzwonił do klienta i ruszał dalej swoją drogą. Z chwilą wykonania telefonu moja rola się kończy. Klient zawiadamia organy sprawiedliwości albo sam załatwia sprawę, według uznania. Ale mnie już tu nie ma, nie czekam na ciąg dalszy. Ja jestem tylko...

– Psem – przerwała. – Psem, który biega z nosem przy ziemi, obwąchuje krzaki i jeszcze ciepłe gówna, aż znajdzie lisa. Potem się wycofuje, a myśliwy strzela. – Zdusiła papierosa.

Osobiście może wybrałbym inne porównanie, ale bez względu na to, co chciałbym na ten temat myśleć, ta metafora nie była od rzeczy. Jenna usiadła na swoim krześle i podniosła na mnie ciemne oczy. Patrzyłem w nie i widziałem dziwną mieszaninę lęku i nieustępliwej odwagi kota zapędzonego w ślepy zaułek. To był wzrok osoby, która nie była pewna, czy podoła, ale uznała, że nie ma innego wyjścia, tylko rzucić się głową naprzód. Przejierała

przezeń rozsypująca się dusza po raz ostatni próbująca zebrać siły na jeden taki oddech, dla którego warto było żyć. Takiego wyrazu nie widziałem nigdy w oczach ludzi po kroju Sterlinga Mulkerna, Jima Vurnana czy Briana Paulsona. Nigdy nie widziałem go na twarzy Bohatera ani na twarzy prezydenta, ani wysokiej rangi menadżera. Ale widywałem go u wielu, wielu innych.

– Jenna, niech mi pani powie, co ja mam zrobić.

– Kto pana wynajął?

Potrząsnąłem głową.

– No, albo senator Mulkern, albo Socia, ale Socia kazałby mnie od razu zastrzelić, więc to musi być senator Mulkern.

Socia?

– Czy Socia ma jakiś związek z Rolandem? – spytałem.

Nie zrobiłbym na niej większego wrażenia, gdybym walnął ją kulą do burzenia murów. Na chwilę zamknęła oczy i zachwiała się.

– Co pan wie o Rolandzie?

– Wiem, że lepiej nie mieć z nim do czynienia.

– Od Rolanda trzyma się pan z daleka. Słyszysz pan? Z daleka.

– Wszyscy mi to mówią.

– No to pan słucha.

– Kto to jest Roland? Teraz ona pokręciła głową.

– Dobrze. Kto to jest Socia? Znów przeczący ruch głową.

– Nie mogę pani pomóc, Jenno, jeśli...

– Nie proszę pana o pomoc.

– W porządku.

Wstałem i podszedłem do telefonu. Włączyłem wtyczkę do gniazdko, zacząłem wybierać numer.

– Co pan robi? – spytała.
– Dzwonię do klienta. Teraz niech pani rozmawia z nim. Ja swoje zrobiłem.

– Pan zaczeka.

Pokręciłem głową.

– Proszę z senatorem Mulkernem.

Elektroniczny głos podawał godzinę, gdy Jenna wyciągnęła kabel ze ściany. Odwróciłem się i spojrzałem na nią.

– Musi mi pan uwierzyć – powiedziała.

– Nie, nie muszę. Mogę panią tu zostawić, iść do najbliższej budki i zadzwonić stamtąd.

– Ale co będzie jeśli...?

– Co będzie jeśli co? Szanowna pani, ja nie mam czasu na pierdoły. Ma pani mocną kartę? To niech pani gra.

– Jakich dokumentów miał pan szukać?

Nie było sensu kłamać.

– Dotyczących ustawy, która ma być w najbliższym czasie głosowana.

– Och, czyżby? – powiedziała. – No więc, panie Kenzie, ktoś pana okłamał. To, co ja mam, nie ma nic wspólnego z ustawami ani z polityką, ani z parlamentem.

W tym mieście wszystko ma coś wspólnego z polityką, ale puściłem to mimo uszu.

– Więc czego dotyczą... nie, kurwa. Co pani ma, pani Angieline?

– Mam pewne rzeczy w sejfie bankowym w Bostonie. Chce pan zobaczyć, co to jest, to niech pan ze mną jutro jedzie, kiedy otworzą banki i okaże się, co pan ma w środku.

– Czemu miałbym to zrobić? – spytałem. – Czemu nie miałbym zadzwonić teraz do mojego klienta?

– Myślę, że nieźle się znam na ludziach, panie Kenzie. Dla biednej czarnej kobiety może to niezbyt ważny talent, ale jedyny, jaki mam. A pan może i nie ma nic przeciwko temu, żeby od czasu do czasu być psem myśliwskim, ale na pewno nie jest pan niczym posługaczem.

– Czyś ty, kurwa, zwariował? – spytała Angie. Mówiła chrapliwym szeptem. Siedzieliśmy we wnęce, wyglądając na ulicę. Jenna i Simone były w kuchni, gdzie zapewne odbywały podobną konwersację.

– Jesteś niezadowolona? – Jestem.

– Dwanaście godzin w tę czy w tamtą nie zrobią różnicy.

– Sraty taty, Patrick. Nie udawaj debila. Zostaliśmy wynajęci, żeby ją znaleźć i zadzwonić do Mulkerna. W porządku. Znaleźliśmy ją. Teraz powinniśmy zadzwonić i wracać do domu.

– Jestem innego zdania.

– TY jesteś innego zdania? – wysyczała. – Ach, jak to ładnie powiedziane. Tyle tylko, że nie jesteś jedynym czynnikiem tego równania. To jest spółka.

– Wiem, że...

– Wiesz? Ja też mam licencję. Przypominasz sobie? Może i założyłeś tę firmę, ale i ja zaangażowałam w nią sporo czasu. Do mnie też strzelano, mnie też bito, ja też siedziałam czterdzieści osiem godzin. To ja musiałam się pocić, czekając, czy prokurator okręgowy zdecyduje się oskarżać w sprawie Bobby’ego Royce’a.

Ja też mam coś do powiedzenia. A ściśle biorąc, pięćdziesiąt procent.

– I mówisz...

– I mówię, żebyś przestał pieprzyć. Róbmy to, do czego nas wynajęto, i wracajmy do domu.

– A ja mówię... – Nie, poprawka. – Ja cię proszę, żebyś mi zaufała i dała czas do rana. Do diabła, Angie, i tak musielibyśmy tu siedzieć. O tej porze Mulkern nie

wyskoczy z łóżka i nie przyjedzie do Wickham.

Zastanowiła się. W słabo oświetlonej alkowie jej oliwkowa skóra była prawie koloru kawy, a pełne usta ciasno ściągnięte.

– Może. Może.

– No to w czym problem? – spytałem i chciałem wstać. Chwyciła mnie za przegub.

– Nie tak prędko, mały.

– No co?

– Twoja logika jest w porządku, Poślizg. Niepokoi mnie twoja motywacja.

– Jaka motywacja?

– No właśnie, jaka?

Usiadłem z powrotem, westchnąłem. Skierowałem na nią moje najlepsze spojrzenie typu: „Kto, ja?”.

– Co nam szkodzi dowiedzieć się wszystkiego, skoro mamy taką możliwość? To moja jedyna motywacja.

Powoli pokręciła głowę, przyglądając mi się bacznie, z odrobiną smutku. Przeczesała palcami włosy. Kilka luźnych kosmyków spadło na jej czoło.

– To nie jest wyrzucony na deszcz kotek, Patrick. To dorosła kobieta, która popełniła przestępstwo.

– Nie jestem tego taki pewien.

– A w ogóle to nie ma znaczenia. Nie jesteśmy pracownikami socjalnymi.

– O co ci chodzi, Angie? – spytałem. Nagle poczułem się bardzo zmęczony.

– O to, że nie jesteś uczciwy wobec siebie. Ani wobec mnie. – Wstała. – Możemy to rozegrać po twojemu, skoro ci na tym za leży. Rzeczywiście, nie jest to wielka różnica. Ale przypomnij sobie coś.

– Co?

– Kiedy Jim Vurnan zaproponował nam tę pracę, byłam za tym, żeby mu odmówić. To ty stwierdziłeś, że praca dla Mulkerna i tym podobnych nie stanowi dla ciebie problemu.

Rozłożyłem ręce.

– I nie zmieniłem zdania.

– Mam nadzieję, Patrick, bo nie idzie nam aż tak cholernie dobrze, żeby sfuszerować taką robotę.

Opuściła wnetkę i poszła do kuchni.

Spojrzałem na swoje odbicie w lustrze. Ono też najwyraźniej nie było ze mnie zadowolone.

Zaparkowałem swój samochód pod oknem, gdzie mogłem mieć na niego oko z alkowy. Nic nie zostało ukradzione, zniszczone ani żaden zamek nie był uszkodzony, za co podziękowałem wielkiemu bogu motoryzacji na niebiosach.

Angie wyszła z kuchni i zadzwoniła do Phila, by mu powiedzieć, że nie wraca na noc. To była tortura. Wyraźnie słyszałem, jak wydzierał się w słuchawce, perorując na temat swoich pieprzonych potrzeb. Twarz Angie przybrała daleki, nieobecny wyraz. Na chwilę odłożyła słuchawkę na kolana i przymknęła oczy. Odwróciła głowę i podniosła powieki.

– Będę ci potrzebna? Pokręciłem głową.

– Spotkamy się w biurze koło dziesiątej.

Znowu przemówiła do telefonu głosem tak czułym i uspokajającym, że chciało mi się rzygać. Odłożyła słuchawkę i po chwili już jej nie było.

Sprawdziłem, czy w mieszkaniu nie ma innego telefonu, zaryglowałem drzwi tak, żeby nikt nie mógł ich otworzyć bez hałasu, usiadłem przy oknie i nasłuchiwałem

odgłosów domu. Przez ścianę sypialni słyszałem, jak Jenna wciąż jeszcze próbuje wytłumaczyć się Simone z naszej umowy.

Wcześniej Simone skrzeczała coś o porwaniu, bezprawnym przetrzymywaniu i pogwałceniu prawa. Zarzuciła mnie stertą cytatów prawniczych z seriali telewizyjnych. Była bliska hysterii, wykrzykując na cały głos te nonsensy, aż zapewniłem ją, że innym wyjściem z sytuacji może być szybkie przekazanie sprawy jej siostry w ręce Sterlinga Mulkerna i jego współpracowników. Wtedy się zamknęła.

Głosy w sypialni umilkły i po kilku minutach usłyszałem skrzypnięcie drzwi, a w szybie pojawiło się odbicie sylwetki Jenny. Miała na sobie obszerny T-shirt i stare szare spodnie od dresu. Zmyła już makijaż. Niosła dwie puszki piwa, a gdy się odwróciłem, włożyła jedną z nich w moje ręce.

– Moja siostra kazała mi obiecać, że jutro je odkupię.

– Nie wątpię.

Uśmiechnęła się i usiadła na sąsiednim parapecie.

– Kazała mi przekazać, żebyś się trzymał z daleka od jej lodówki. Żebyś nie śmiał dotknąć jej jedzenia.

– To zrozumiałe – powiedziałem, otwierając puszkę. – Może zajrzę do niej, jak już będziecie spały, i poprzestawiam to i owo tak, tylko żeby ją wkurzyć.

– To dobra dziewczyna, ta Simone. Tylko że tyle w niej złości.

– Na co?

– A kto ją tam wie? Chyba ogólnie, na świat. Przed wszystkim na białych.

– Zdaje się, że nie zrobiłem zbyt wiele, by skłonić ją do zmiany postawy?

– Ano nie.

Sprawiła niemal pogodne wrażenie, siedząc tak przy oknie, z głową opartą o szybę, z piwem na kolanach. Bez makijażu wydawała się młodsza, nie tak wyczerpana. Kiedyś może nawet była ładną dziewczyną, taką, za którą faceci oglądają się na ulicy. Próbowałem wyobrazić ją sobie taką – młodą Jenne Angieline z błyskiem pewności siebie w oku – zrodzonym ze złudzenia, że młodość i uroda stwarzają jej jakieś możliwości. Ale nie udało mi się. Czas zbyt ciężko ją dotknął.

– Twoja współpracowniczka też nie była za bardzo zadowolona – zauważyła.

– Nie. Gdyby to od niej zależało, zadzwonilibyśmy gdzie trzeba i pojechali do domu.

Jenna przytaknęła i upiła kolejny łyk piwa. Po chwili lekko pokręciła głową.

– Simone – powiedziała. – Czasem naprawdę tej dziewczyny nie rozumiem.

– A co tu jest do rozumienia?

– Ta cała nienawiść. No wiesz.

– Na świecie jest dość powodów do nienawiści.

– Wiem. Możesz mi wierzyć, że wiem. Jest tego tyle, że powinno się jakby coś wybrać. Zapracować na prawo do tej nienawiści, czy ja wiem. A Simone, ona po prostu nienawidzi wszystkiego. I czasem...

– Co takiego?

– Czasem to myślę, że ona nienawidzi, bo nie wie, co ze sobą zrobić. Chodzi mi o to, że ja, wierz mi, mam powody, żeby nienawidzić tego, czego nienawidzę. Ale co do niej, to nie jestem pewna, czy ona...

– Zapracowała na to?

– Właśnie.

Zamyśliłem się. Trudno byłoby się z nią spierać. Odkąd zacząłem robić to, co robię, nauczyłem się o potencjale nienawiści więcej niż o czymkolwiek innym.

Wypiła jeszcze trochę piwa.

– Ja myślę tak: świat tak czy inaczej daje człowiekowi mnóstwo powodów do wściekłości. I wkurzać się, zanim się jeszcze przekonasz, jak źle może być, co życie może ci zrobić, jeśli naprawdę się na ciebie uprze... to po mojemu głupota.

– Trafione w dziesiątkę – powiedziałem i uniosłem puszkę. Uśmiechnęła się nieznacznie i trąciła ją swoją, a ja uświadomiłem sobie coś, co część mojej podświadomości wiedziała już, gdy tylko zobaczyłem jej zdjęcie: polubiłem ją.

Po chwili dokończyła swoje piwo i poszła spać. Wchodząc do sypialni, pomachała mi ręką.

Noc mijała powoli. Sporo kręciłem się na siedzeniu, trochę chodziłem tam i z powrotem, gapilem się na swój samochód. Angie była teraz w domu i dreptała w tym groteskowym bolesnym tańcu, który nazywała małżeństwem. Twarde słowa, policzek, kilka wyrzeczanych oskarżeń i do łóżka – do następnego dnia. Miłość. Znowu zadawałem sobie pytanie, dlaczego ona z nim jest, co mogło opętać osobę o jej zaletach i poglądach, że tkwi w tym gównie. Ale zanim bez reszty pograżyłem się w przeświadczeniu o własnej nieomyślności, moja dłoń natrafiła na wyspę bliznowatej tkanki, która zawsze przypominała mi o cenie miłości w jej najmniej wyidealizowanej postaci.

Dzięki, ojczy.

Siedząc w ciszy pokoju, przypomniałem sobie też moje własne małżeństwo, które trwało około półtorej minuty.

Angie i Phil mieli przynajmniej wolę utrzymania swojej miłości, jakkolwiek pokręcona mogła się wydawać, czego ja i Renee nie mieliśmy nigdy. Nasze małżeństwo nauczyło mnie o miłości tylko jednego: że mija. I kiedy tak wyglądałem z okna Simone Angieline na pustą ulicę, przyszło mi na myśl, że temu właśnie po części zawdzięczam swoje zawodowe sukcesy. Trzecia rano, nie trzecia rano, gdy prawie cały świat śpi, ja ciągle jestem w pracy, bo nie mam nic lepszego do roboty.

Pograłem w samotnika i zakomunikowałem swojemu żołądkowi, że wcale nie jest głodny. Przez chwilę rozważałem możliwość włamania się do lodówki Simone, ale mogła zastawić tam jakąś pułapkę. Wystarczy, że dotknę musztardy, a uruchomię czujnik i dostanę strzałą między oczy.

Świt nadszedł pod postacią niewyraźnej bladozłotej linii, która odrzuciła z nieba czarną kołdrę nocy. Potem w sąsiednim pokoju odezwał się budzik i po chwili usłyszałem szum prysznica. Rozciągałem się tak długo, aż usłyszałem zadowolający trzask kości i ścięgien, wykonałem swoją poranną normę pięćdziesięciu przysiadów i pięćdziesięciu pompek. Gdy skończyłem, było już także po drugim prysznicu i obie siostry stanęły w drzwiach gotowe do wyjścia.

– Brałeś coś z mojej lodówki? – naskoczyła na mnie Simone.

– Nie. Ale nie wiem, czy w nocy nie pomyliłem jej z toaletą. Byłem bardzo zmęczony. Trzymasz w toalecie jarzyny?

Minęła mnie bez słowa i przeszła do kuchni. Jenna popatrzyła na mnie i pokręciła głową.

– Założę się, że w drugiej klasie byłeś duszą

towarzystwa.

– Poczucie humoru nie zna granic wiekowych – odparłem, a ona wzniosła oczy ku niebu.

Simone miała pracę. Całą noc biłem się z myślami, czy mam jej pozwolić tam pójść. W końcu doszedłem do wniosku, że skoro nie wykazuje żadnych zauważalnych morderczych skłonności w stosunku do siostry, to można jej ufać, że będzie trzymać język za zębami.

Gdy staliśmy na ganku, patrząc, jak odjeżdża, spytałem:

– Czy ten cały Socia wie o Simone?

Jenna wciągała akurat lekki sweter – choć już teraz, mimo że była dopiero ósma rano, temperatura na pewno przekroczyła dwadzieścia stopni i nadal rosła.

– Poznali się. Dawno temu. W Alabamie.

– A od kiedy mieszka tu, na północy?

– Wszystkiego dwa miesiące – wzruszyła ramionami. – I Socia na pewno nie wie, że ona tu jest? Spojrzała na mnie, jakbym był zaćpany.

– Jakby Socia wiedział, obie byśmy nie żyły. Podeszliśmy do mojego samochodu. Jenna popatrzyła i otworzyła drzwi.

– Jeszcze całkiem nie dorosłeś, co, Kenzie?

- A ja myślałem, że będę nim wzbudzał podziw.

Droga powrotna była tak samo nudna jak w tamtą stronę. Puściłem sobie *Ten* Pearl Jam, a jeśli nawet Jennie to przeszkadzało, nic mi nie powiedziała. W ogóle prawie się nie odzywała, patrzyła na drogę i tyle, i chudymi palcami miętosiła sweter, o ile akurat nie trzymała w nich papierosa.

Gdy zbliżaliśmy się do miasta i budynku Hancocka

i Prudentialu, spowite w błady błękit, zaczęły podnosić się na horyzoncie na nasze powitanie, w końcu przemówiła.

– Kenzie? – No?

– Masz czasem uczucie, że jesteś komuś potrzebny?

Zastanowiłem się.

– Czasem.

– Komu?

– Mojej współpracownicy. Angie.

– A ty jej potrzebujesz? Kiwnąłem głową.

– Tak, czasem. Tak. Jak cholera. Wyjrzała przez okno.

– No to się jej lepiej trzymaj.

Kiedy zjechaliśmy z autostrady w pobliżu Haymarket, była już pora szczytu i przejechanie następnego niespełna półtora kilometra na Tremont Street zajęło nam blisko pół godziny.

Sejf Jenny znajdował się na rogu Tremont i Park Street, w Bank of Boston naprzeciwko parku Boston Common. W tym właśnie miejscu Common przechodzi w wybetonowany deptak biegnący między dwoma niewysokimi budynkami stanowiącymi wejście do metra Park Street, w hałaśliwej cizbie ulicznych sprzedawców, muzyków, gazeciarzy i pijaczków. Tłumy biznesmenów, kobiet i polityków przemierzają ten odcinek szybkim krokiem aż do miejsca, gdzie Common znów się zazielenia i łagodnym łukiem wznosi ku stromym schodom prowadzącym na Beacon Street, do stóp gmachu parlamentu stanowego, którego złota kopuła spogląda z wysoka na swoich pupilków.

Zaparkowanie czy choćby objanie się tutaj przez czas dłuższy niż pół minuty jest zupełnie niemożliwe. Ulicę patroluje pluton pań parkingowych, importowanych prosto

z Hitlerjugend zaraz po upadku Berlina. Co najmniej dwie na przecznicy, z twarzami sympatycznymi jak pysk pitbulla, wieńczącymi ciała o wdzięku hydrantu, tylko czekają na frajera, który okaże się na tyle głupi, by tamować ruch na ich ulicy. Powiedz takiej „Miłego dnia”, to założy ci blokadę za bezczelność. Skreśliłem na Hamilton Place za Orpheum Theater i zaparkowałem w strefie przeładunkowej. Do banku mieliśmy dwie przecznice. Chciałem wejść razem z nią, ale mnie powstrzymała.

– Stara Murzynka wchodzi do banku z młodym białym dużym facetem. Co ludzie pomyślą?

– Że jestem twoim żigolakiem. Pokręciła głową.

– Że złapałeś czarną, która coś przeskrobała. Jak zwykle.

– Jasne.

– Nie przebrnęłam przez to wszystko po to, żeby ci teraz zwiać, Kenzie. Mogłam wyleźć w nocy przez okno. Więc może byś zaczekał tutaj?

Czasem człowiek musi komuś zaufać.

Weszła sama, a ja przeszedłem na drugą stronę ulicy i przystanąłem przy wejściu na stację, w środku deptaka. Twarz ocieniała mi biała iglica Park Street Church.

Nie była tam długo.

Wyszła, zobaczyła mnie i pomachała ręką. Zaczekała na chwilę przerwy między samochodami i przekroczyła jezdnię. Szła przez deptak różnym posuwistym krokiem, mocno ściskając torebkę. Oczy jej pojaśniały; przypominały bryłki brązowego marmuru z płomieniem w środku. Wyglądała znacznie młodziej niż na fotografii, którą dostałem.

– To, co tu mam – powiedziała, gdy znalazła się tuż

przy mnie – to tylko mała cząstka.

– Jenna...

– Nie, nie. Wierz mi, to naprawdę coś. Zobaczysz. – Rzuciła okiem na kopułę parlamentu, a potem znowu zwróciła się do mnie. – Jak pokażesz, czy jesteś gotów mi pomóc, po której jesteś stronie, dam ci resztę. – Jej oczy nagle zgasły i wypełniły się łzami, a głos zaciał się jak zużyte sprzęgło – Dam ci... resztę – powtórzyła z trudem. Znałem ją zaledwie od dwunastu godzin, ale czułem, że „reszta”, czymkolwiek by się okazała, jest straszna. Rozdzierająca jej duszę od środka.

Ale zaraz obdarzyła mnie miłym, serdecznym uśmiechem, a jej dłoń dotknęła mojej twarzy.

– Myślę, że nie pomyliłam się co do ciebie, Kenzie. Może nam dwojgu, jak się za to weźmiemy, uda się dobić odrobiny sprawiedliwości.

Wymówiła „sprawiedliwość”, jakby delektując się tym słowem.

– Zobaczymy, Jenna – powiedziałem.

Włożyła rękę do torebki i podała mi kopertę z grubego papieru. Otworzyłem ją i wyjąłem czarnobiałe zdjęcie o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia osiem centymetrów. Było trochę ziarniste, jakby przefotografowane z innego rodzaju materiału filmowego, ale wyraźne. Przedstawiało dwóch mężczyzn stojących przy nędznej toalecie, z drinkami w dłoniach. Jeden czarny, drugi biały. Czarnego nie znałem. Biały miał na sobie bokserki i ciemne skarpetki. Włosy ciemne, przyprószone zapowiedzią niedalekiej siwizny. Na ustach zmęczony uśmiech. Fotografia była na tyle stara, że musiał wtedy całkiem świeżo zostać kongresmanem Paulsonem.

– Kim jest ten czarny? – spytałem.

Patrzyła na mnie i widać było, że próbuje mnie ocenić. Godzina zero, jak to się mówi, czas na decyzję, czy ma mi zaufać. Miałem uczucie, jakbyśmy byli zamknięci w bańce mydlanej. Obok nas spieszenie przewalały się tłumy ludzi, ale jakby ich nie było – jakby istnieli tylko w tle, na ekranie, niczym w starym filmie.

– Dlaczego w to wszedłeś? – spytała Jenna.

Zastanawiałem się, co jej odpowiedzieć, gdy nagle coś znajomego wychynęło z ekranu na prawo od nas, zbliżając się do naszej bańki. Rozpoznałem ten obiekt, jakbym go widział spod powierzchni wody – niebieska czapka bejsbolowa z żółtym haftem.

Zdażyłem tylko rzucić „Na ziemię!” i położyć rękę na ramieniu Jenny, gdy Błękitna Czapeczka ustawił się w odpowiedniej pozycji i poranne powietrze przeszły metaliczny klekot. Pierwsze kule przeszły klatkę piersiową Jenny, tak jakby jej tam nie było. Kucnąłem, gdy przelatywały mi nad głową i wciąż jeszcze próbowałem pociągnąć ją na chodnik, podczas gdy jej ciało, szarpane kulami, bezładnie podskakiwało w miejscu. Błękitna Czapeczka przez cały czas trzymał palec na spuście i strzelał serią.

Metalowy szew przebiegł przez całe ciało Jenny aż do betonu, a następnie łukiem skierował się na mnie. Tłum na promenadzie rzucił się do panicznej ucieczki. Gdy wyciągałem pistolet z kabury, ktoś nastąpił mi na kostkę. Ciało Jenny zważyło się na mnie, a odpryski betonu strzeliły mi prosto w twarz. Błękitna Czapeczka strzelał teraz bardziej metodycznie, starając się ominąć Jenne, by dosięgnąć mnie. Za chwilę znowu zacnie pruć w nią; kule przejdą przez jej ciało jak przez papier i przebiją się do mnie.

Przez krew zalewającą mi oczy zobaczyłem, jak podnosi uzi nad głowę i kieruje pod odpowiednim kątem – a potem biały płomień u wylotu lufy. Seria kul przewierciła beton, zmierzając w kierunku mojego czoła, i nagle urwała się w białej chmurze pyłu. Zanim magazynek dotknął chodnika, Błękitna Czapeczka już załadował nowy. Odciągnął zamek, a wtedy ja wychyliłem się spod ciała Jenny i wypaliłem.

Automag stęknął głucho. Błękitna Czapeczka odleciał w bok jak potrącony przez ciężarówkę. Upadł na chodnik, odbił się od niego; pistolet wypadł mu z rąk. Strząsnąłem z siebie Jennę i patrzyłem, jak tamten próbuje się podczołgać do swojego uzi. Leżał ponad dwa metry od niego. Niełatwo mu było pokonać ten dystans z niemal kompletnie zgruchotaną lewą kostką.

Podszedłem do niego i kopnąłem go w twarz. Mocno. Jęknął. Kopnąłem go jeszcze raz i odpłynął.

Wróciłem do Jenny i usiadłem na betonie w powiększającej się kałuży jej krwi. Dźwignąłem ją z chodnika, wziąłem w ramiona. Jej klatka piersiowa przestała istnieć. Ona też. Nie było żadnych ostatnich słów, po prostu śmierć; leżała teraz rozwalona na promenadzie Boston Common, witając nowy dzień, jak połamana lalka. Nogi miała rozrzucone. Teraz, kiedy strzelanina się skończyła, zaczęły się gromadzić ciekawe widoku sepy.

Złożyłem jej nogi do siebie i podwinąłem. Spojrzałem jej w twarz. Nic mi nie powiedziała. Jeszcze jedna śmierć. Im więcej widzę, tym mniej wiem.

Nikt już nie potrzebował Jenny Angieliny.

Ja także, jak kiedyś Bohater, trafiłem na pierwszą stronę obu głównych gazet. Gdy zaczęła się strzelanina, w tłumie był jakiś początkujący fotograf. Jak tylko wytrząsnął gówno z gaci, wrócił.

Akurat podszedłem do Błękitnej Czapeczki i podniosłem uzi. Przewiesiłem go sobie przez ramię i kucnąłem obok, ze zwieszoną głową i automagiem w rękę. Wtedy fotograf zrobił zdjęcia. Ja go w ogóle nie zauważyłem. Na jednym kucalem przy Błękitnej Czapeczce. Za nami widać było pas zieleni i budynek parlamentu. W prawym górnym rogu, nieostro – ciało Jenny. Ledwo dawało się zauważyć.

„Tribune” zamieściła je w dolnym lewym rogu pierwszej strony, ale „News” walnął powiększenie na całość z histerycznym czarnym nagłówkiem PORANNA STRZELANINA NA BOSTON COMMON – DETEKTYW BOHATER!!! w poprzek gmachu parlamentu. Przechodzi moje wyobrażenie, jak można było użyć słów „bohater”, kiedy tuż obok widać było trupa Jenny. Przypuszczalnie jednak tytuł PORANNA STRZELANINA NA BOSTON COMMON – DETEKTYW PIERDOŁA nie brzmiałby tak efektownie.

Mniej więcej wtedy zjawiała się policja i usunęła fotografa za pospiesznie ustawione barierki. Wzięli ode mnie moją broń i uzi, dali mi kawy i zaczęło się wałkowanie. Raz za razem.

Godzinę później byłem na komendzie na Berkeley Street. Czekałem na decyzję, czy mnie zapuszczają, czy nie. Odczytali mi moje prawa po angielsku i po hiszpańsku i zaczęli się naradzać.

Znałem sporo glin, ale w tym śledztwie nie brał udziału nikt, kogo bym rozpoznawał. Dwaj przydzieleni do mnie goście wyglądali jak Simon i Garfunkel, w chwili spadku formy. Simon, czyli inspektor Geilston, był niski, schludnie ubrany w ciemnobordowe spodnie z kantem, jasnoniebieską bawełnianą koszulę w przecinające się ukośnie kremowe paski, z kołnierzykiem na guziczki. Do tego bordowy krawat w dyskretne błękitne romby. Wyglądał, jakby miał żonę i dzieci, i lokatę w banku. To był Dobry Glina.

Złym Gliną był Garfunkel, czyli inspektor Ferry. Wysoki i chudy, w garniturze koloru khaki z nieco przykrótkimi rękawami i nogawkami. Pod marynarką pognieciona biała koszula i ciemnobrązowy krawat zrobiony na drutach. Elegant. Krzaczaste pozostałości rudawoblond włosów sterczały jak afro rozdzielone łysym plackiem pośrodku głowy.

Na miejscu zbrodni obaj odnosili się do mnie w miarę życzliwie – dali mi kawy i uspokajali, żebym się nie spieszył, żebym się odprężył, że mamy czas – ale z każdym moim kolejnym „Nie wiem” Ferry coraz bardziej się wkurzał. A już zupełnie niesympatyczny zrobił się, kiedy odmówiłem ujawnienia, kto mnie wynajął i co dokładnie robiłem w tym miejscu ze zmarłą. Ponieważ nie byłem jeszcze zapuszkowany, fotografię miałem przy sobie – złożoną i wetkniętą za cholewkę buta. Mogłem sobie wyobrazić, co by się zdarzyło, gdybym uległ. Formalne przesłuchanie, może kilka złośliwych komentarzy na temat stylu życia senatora Paulsona, a może nic. Ale na pewno nie aresztowanie, nie zwycięstwo sprawiedliwości, nie publiczne oczyszczenie dobrego imienia nieżyjącej sprzątaczkii, która chciała tylko być Potrzebna.

Prywatnemu detektywowi opłaca się być miłym dla
glin. Raz ty pomożesz im, raz oni tobie. W ten sposób
buduje się sieć kontaktów i biznes się kręci. Ale ja słabo
toleruję dąsy, zwłaszcza gdy mam na sobie ubranie
prześnięte cudzą krwią i od dwudziestu czterech godzin
nic nie jadłem ani nie spałem. Ferry stał z nogą opartą na
krześle i mówił mi, co się stanie z moją licencją, jeśli nie
zacznę „czaić akcji”.

– „Czaić akcji”? – spytałem. – Macie jakiś specjalny
słownik z takimi wyrażeniami?

Po raz trzydziesty tego ranka Ferry ze świstem
wciągnął powietrze przez nos i spytał:

– Co robiłeś w tym miejscu z Jenną Angieline?

Po raz pięćdziesiąty tego ranka odpowiedziałem „Nie
mam nic do powiedzenia” i odwróciłem głowę, bo właśnie
wszedł Cheswick Hartman.

Cheswick uosabia wszystko, czego człowiek mógłby
oczekiwać od adwokata. Jest powalająco przystojny, z tymi
swoimi bujnymi kasztanowymi włosami, zawsze gładko
zaczesanymi do tyłu. Nosi szyte na miarę garnitury od
Louisa po tysiąc osiemset dolarów sztuka i rzadko widzi się
go dwa razy w tym samym. Ma głos głęboki, aksamitny jak
dwunastoletnia szkocka i ten specyficzny lekko
poirytowany wyraz twarzy – szczególnie tuż przed
pogrzebaniem przeciwnika pod lawiną łańskich cytatów
i nieskazitelnej elokwencji. W dodatku ma naprawdę
ekstra-nazwisko.

W normalnych warunkach musiałbym wygrać
w narodowej loterii, żeby mnie było stać na honorarium dla
Cheswicka, ale kilka lat temu, akurat gdy ważyły się losy
jego współnictwa w firmie, jego siostra Elise, studentka
drugiego roku Yale, popadła w kłopoty z kokainą.

Cheswick nadzorował jej fundusz powierniczy. Gdy problemy Elise przybrały rozmiary nałogu, wyczerpała już całoroczny limit i ciągle jeszcze była winna kilka tysięcy jakimś typkom z Connecticut. Zamiast przyznać się Cheswickowi, ryzykując jego niezadowolenie, zawarła układ z tymi z Connecticut. Ale ktoś zrobił zdjęcia.

Pewnego dnia Cheswick odebrał telefon. Dzwoniący z grubsza opisał, co jest na tych fotografiach, i zapowiedział, że jeśli Cheswick do końca tygodnia nie wyłoży dość wysokiej, pięciocyfrowej sumy, w poniedziałek znajdą się one na biurku starszego wspólnika. Cheswick wpadł w szal. Nie chodziło mu o pieniądze – to naprawdę bogata rodzina – ale o sposób, w jaki ktoś wykorzystał jego siostrę i jego miłość do niej. Podczas naszego pierwszego spotkania ani razu nie odniosłem wrażenia, że jego wściekłość ma także związek z zagrożeniem jego pozycji zawodowej – sprawa siostry przesłoniła wszystko. To wzbudziło mój szacunek.

Cheswick dostał moje zamiary od pewnego radcy prawnego. Dał mi pieniądze na zdobycie zdjęć, negatywów i absolutnej pewności, że to się więcej nie powtórzy. Miałem przekonać tych facetów, że dług Elise został całkowicie spłacony.

Z przyczyn, których dziś już nie pamiętam, na przejażdżkę do Connecticut zabrałem ze sobą Bubbę. Przekonawszy się, że szantażyści to zwykle bandziory bez powiązań, bez wpływów, bez jakichkolwiek znajomości wśród polityków, spotkaliśmy się z dwoma z nich w wieżowcu Hartford. Bubba trzymał jednego za nogi wywieszonego z okna na dwunastym piętrze, a ja negocjowałem z jego wspólnikiem. Jeszcze zanim ofierze Bubby puściły zwieracze, wspólnik uznał, że owszem,

jeden dolar to bardzo przyzwoita cena za ugode. Wypłaciłem mu ją w centach.

Z wdzięczności za tę przysługę Cheswick od tego czasu reprezentuje mnie za darmo.

Na widok krwi na moim ubraniu uniósł brwi.

– Chciałbym porozmawiać z moim klientem sam na sam – powiedział spokojnie.

Ferry skrzyżował ręce na piersi i nachylił się w moją stronę.

– No i co, kurwa, co z tego?

Cheswick wyrwał mu krzesło spod nogi.

– No i, kurwa, wynoś się z tego pokoju, ale już, panie inspektorze, bo inaczej zawalę ten komisariat tyłoma oskarżeniami o bezpodstawne zatrzymanie, znęcanie się i bezprawne pozbawienie wolności, że nie wyjdiesz pan z sądu do emerytury. – Spojrzał na mnie. – Poinformowali cię, jakie masz prawa?

– Pewnie, że go, kurwa, poinformowaliśmy – odpowiedział Ferry.

– Ty jeszcze tutaj? – spytał Cheswick, sięgając do teczki.

– Chodźmy, kolego – powiedział Geilston.

– Nie, do jasnej cholery. Tylko dlatego, że...

Cheswick przyglądał się im obu beznamietnym wzrokiem. Geilston położył dłoń na ramieniu Ferry'ego.

– Nie będziemy się w to bawić, Ferry.

- Radzę usłuchać kolegi, inspektorze – dorzucił Cheswick. – Jeszcze się spotkamy – obiecał Ferry. Jak profesor Moriarty Sherlockowi Holmesowi.

– Niewątpliwie na pańskim procesie. Musi pan już zacząć oszczędzać. Nie jestem tani.

Geilston jeszcze raz pociągnął Ferry'ego za ramię

i opuścili pokój przesłuchań.

– No, co takiego? – spytałem, spodziewając się jakichś poufnych informacji.

– Nic – odparł. – Zrobiłem to tylko dlatego, że lubię im pokazać, kto tu rządzi. Od tego mi staje.

– Bosko.

Przyjrzał się mojej twarzy, krwi.

– To nie jest twój najlepszy dzień, co?

Powoli pokręciłem głową.

– Nic ci nie jest? – spytał, porzucając żartobliwy ton. – Naprawdę? Słyszałem co nieco, ale bez żadnych szczegółów.

– Marzę tylko, żeby iść do domu, Cheswick. Jestem zmęczony, cały we krwi, głodny i w nieszczególnym nastroju.

Poklepał mnie po ramieniu.

– No to mam dla ciebie dobrą wiadomość od prokuratora okręgowego. Na podstawie zebranych informacji nie widzi podstaw, by postawić ci jakiegokolwiek zarzuty. Jesteś wolny, masz pozostawać do dyspozycji w celu kontynuacji śledztwa, nie wyjeżdżać bez powiadomienia, itepe, itede.

– A broń?

– Niestety zostaje. Badania balistyczne i tak dalej. Kiwnąłem głową.

– Jasne. Możemy iść?

– Już nas nie ma – odparł.

Wyprowadził mnie tylnym wyjściem, żeby uniknąć prasy. To wtedy powiedział mi o fotografii.

– Sprawdziłem to. Facet na sto procent zrobił ci zdjęcia. Pracuje dla obu głównych gazet.

– Widziałem, jak kogoś przepędzali, ale jakoś mi to potem wyleciało z głowy.

Szliśmy przez parking do jego samochodu. Trzymał mnie za ramię, jakby był w każdej chwili gotów do interwencji w mojej obronie albo po prostu po to, żeby podtrzymać mnie na duchu. Nie wiem.

– Jak się czujesz, Patrick? Może wstąpimy do szpitala, żeby cię przebadali.

– Nic mi nie jest. Co z tym fotografem?

– Będziesz na pierwszej stronie popołudniowego wydania, które powinno się lada moment ukazać. Słyszałem, że „Tribune” też to kupiła. Gazety uwielbiają takie rzeczy. Detektyw bohater, poranna...

– To nie ja – przerwałem. – Bohaterem był mój ojciec.

Jechaliśmy przez miasto lexusem Cheswicka. Dziwnie było patrzeć, jak wokół toczy się normalne życie. Chyba jakąś częścią podświadomości oczekiwałem, że czas zatrzyma swój bieg, wszyscy zastygną w miejscu, wstrzymają oddech i będą czekać. Ale ludzie jedli, telefonowali, odwoływali wizyty u dentysty, strzygli się, planowali, co będzie na kolację, pracowali.

Między mną a Cheswickiem powstała różnica zdań w kwestii mojej zdolności do prowadzenia samochodu w obecnym stanie, ale w końcu podrzucił mnie na Hamilton Place i zapowiedział, że gdybym go potrzebował, mam dzwonić we dnie czy w nocy na jego prywatny numer. Potem odjechał Tremont Street, a ja zostałem obok mojego auta. Zignorowałem druczek za wycieraczką. Patrzyłem na Common.

W ciągu czterech godzin, które minęły od tego, co się tu stało, wszystko wróciło do normy. Zapory zostały

rozmontowane, pytania zadane, nazwiska świadków zapisane. Błękitna Czapeczka odjechał karetką. Ciało Jenny zapakowano do worka, worek zamknięto i odstawiono do kostnicy.

Potem ktoś przyszedł z wężem i zmył z betonu krew, aż wszystko znowu było czyste.

Objąłem to miejsce jeszcze jednym, ostatnim spojrzeniem i pojechałem do domu.

Gdy tylko dojechałem, zadzwoniłem na drugą stronę ulicy, do Angie.

– Słyszałaś?

– Słyszałam. – Jej głos był łagodny i cichutki. – I zadzwoniłam do Cheswicka Hartmana. Czy...?

– Tak. Dzięki. Słuchaj, wezmę tylko prysznic, przebiorę się w czyste ciuchy, zjem kanapkę i jestem. Były jakieś telefony?

– Cała masa – odparła. – Ale zaczekają. Dobrze się czujesz, Patrick?

– Nie. Ale pracuję nad tym. Zobaczymy się za godzinę.

Z prysznicza lała się gorąca woda, a ja podkręcałem ją na coraz wyższą temperaturę. Silny strumień walił mnie w czubek głowy, krople bębniły o czaszkę. Choćbym nie wiem jak błądził, nadal jestem w pewnym sensie katolikiem i moje reakcje na cierpienie i poczucie winy wiążą się z takimi pojęciami jak „parzyć”, „czyścić”, „płomienie”. Zgodnie z teologicznym równaniem, które wymyśliłem, gorąco równa się zbawienie.

Wyszedłem z łazienki dopiero po dwudziestu minutach. Wysychałem powoli. W nozdrzach ciągle miałem mdlący zapach krwi i ostrą woń prochu. Gdzieś w tej parze, mówiłem sobie, musi być rozwiązanie, ulga, punkt oparcia potrzebny, żeby wziąć następny zakręt i zostawić to wszystko za sobą. Ale para opadła i nie pozostało nic, tylko ja, moja łazienka i swąd spalenizny.

Owinąłem biodra ręcznikiem, wszedłem do kuchni i zobaczyłem Angie, która właśnie przyczerniała stek. Angie gotuje w przybliżeniu raz na pięć lat i nigdy z dobrym skutkiem. Gdyby to tylko od niej zależało,

miałaby w kuchni tylko blat pod catering.

Odruchowo podciągnąłem ręcznik, tak aby zakrył bliznę, stanąłem za jej plecami i wyciągnąłem rękę, żeby zgasić palnik. Odwróciła się, tak że praktycznie miałem ją w ramionach, i sądzę, iż najlepszym świadkiem mojego stanu ducha było to, że ją wyminąłem, by sprawdzić, co zostało z kuchenki.

– Co zrobiłam nie tak? – spytała.

– Myślę, że twoim pierwszy błędem było włączenie palnika. Trzepnęła mnie w tył głowy.

– Uważaj, jak ci jeszcze coś ugotuję.

– A mówią, że Boże Narodzenie jest tylko raz w roku. – Odwróciłem się od kuchenki i zobaczyłem, że patrzy na mnie tak, jak się patrzy na malutkie dziecko stojące na brzegu basenu. – Dziękuję ci za ten gest. Naprawdę.

Wzruszyła ramionami, nie odrywając ode mnie wzroku. Karmelowe oczy były ciepłe i lekko wilgotne. – Chcesz się przytulić, Patrick?

– Tak. O Boże, tak.

Była jak wszystko, co na tym świecie jest dobre. Jak pierwszy ciepły powiew wiosny i sobotnie popołudnia, kiedy się ma dziesięć lat, i wczesne letnie wieczory na plaży, gdy piasek jest chłodny, a fale mają kolor whisky. Jej uścisk był zapalczywy, ciało obfite i miękkie, rytm serca mocny tuż przy mojej nagiej piersi. Czulem zapach jej szamponu i pokryty meszkiem kark tuż pod moją brodą.

Ja wycofałem się pierwszy.

– No dobrze... – powiedziałem.

Roześmiała się.

– No dobrze... Jesteś cały mokry, Poślizg. Moją koszulę można wyżymać. – Postąpiła krok do tyłu.

– To się zdarza, gdy człowiek bierze prysznic.

Cofnęła się jeszcze o krok, wbiła wzrok w podłogę.

– No więc dobrze... – zaczęła znowu. – Czeka na ciebie masa wiadomości. I... – minęła mnie, wzięła stek i wrzuciła do śmieci. – I najwyraźniej nadal nie umiem gotować.

– Angie.

Stała tyłem do mnie.

– Dziś rano o mało nie zginąłeś.

– Angie...

– Bardzo mi przykro z powodu Jenny, ale ty o mało nie zginąłeś.

– Tak.

– Ja bym... – Głos jej się załamał. Słyszałem, jak oddycha głęboko, chcąc się uspokoić. – Nie za bardzo umiałabym sobie z tym poradzić, Patrick, nie chcę o tym myśleć i to mnie trochę... trochę mnie to walnęło.

W głowie zadźwięczały mi słowa Jenny, to, co powiedziała, gdy jej mówiłem, że jestem potrzebny Angie. „No to się jej lepiej trzymaj”. Zrobiłem kilka kroków naprzód i położyłem jej ręce na ramionach.

Odchyliła głowę, tak że jej czubek schował się pod moją brodą.

Powietrze w kuchni zrobiło się niesamowicie nieruchome. Chyba żadne z nas nawet nie odetchnęło. Staliśmy tak z zamkniętymi oczami, czekając, aż opuści nas lęk.

Nie opuścił.

Angie wysunęła głowę spod mojej brody.

– Zostawmy to. Zróbmy coś. Przecież ciągle jeszcze mamy pracę, prawda?

Puściłem ją.

– Jasne, ciągle mamy pracę. Tylko się przebiore i bierzemy się do roboty.

Po kilku minutach wróciłem w luźnej dresowej bluzie i dżinsach.

Angie odwróciła się od blatu kuchennego. W rękę miała talerz, na nim kanapkę.

– Myślę, że położenie wędliny na chleb można mi zlecić w miarę bezpiecznie.

– Nie próbowałaś jej gotować ani nic takiego?

Spiorunowała mnie tym swoim wzrokiem.

Zrozumiałem i wziąłem kanapkę. Usiadła naprzeciwko mnie i patrzyła, jak jem. Szynka i żółty ser. Trochę za dużo musztardy, ale poza tym w porządku.

– Kto dzwonił?

– Sekretariat Sterlinga Mulkerna. Trzy razy. Sekretariat Jima Vurnana. Richie Colgan. Dwa razy. Dwunastu albo trzynastu dziennikarzy. No i Bubba.

– Co on miał do powiedzenia?

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

Zazwyczaj to, co mówi Bubba, nie nadaje się do powtarzania, ale czułem się rozluźniony. Skinałem głową.

– Że jak będziesz się następnym razem wybierał na polowanko, masz do niego zadzwonić.

Cały Bubba. Mając go u boku, Hitler wygrałby wojnę.

– Ktoś jeszcze?

– Nie. Ale sekretariat Mulkerna za trzecim razem wydawał się trochę wkurwiony.

Skinałem głową, przeżuując kanapkę.

– Powiesz mi, w co wdepnęliśmy, czy będziesz tak cały czas siedział jak wcielenie wsiowego przygłupa?

Wzruszyłem ramionami, odgryzłem następną kęs. Zabrała mi kanapkę sprzed nosa.

– Zdaje się, że zostałem skarcony.

– Będzie jeszcze gorzej, jeśli nie zaczniesz gadać.

– Oooh, jaka ostra dziewczyna. Jeszcze, jeszcze – zacząłem dyszeć.

Tylko na mnie popatrzyła.

– No już dobrze – powiedziałem. – Ale do tego muszę się czegoś napić.

Nalałem nam obojgu po porcji szkockiej. Angie skosztowała i bez słowa wylała swoją do zlewu. Wyjęła z lodówki piwo, usiadła z powrotem i podniosła brew.

– Wpadliśmy po uszy – powiedziałem. – Znacznie głębiej niż po uszy.

– Tak też myślałam. Dlaczego?

– Jenna nie miała żadnych dokumentów. To była gówno prawda.

– Czego się zresztą domyślałeś.

– Owszem. Ale nie sądziłem, że to będzie aż tak dalekie od prawdy. Nie wiem, czego się spodziewałem, ale nie tego – podałem jej fotkę przedstawiającą Paulsona w gaciach.

Zmarszczyła czoło.

– No dobrze – powiedziała powoli – ale co z tego? To zdjęcie zostało zrobione może sześć, może osiem lat temu i jest na nim po prostu niekompletnie ubrany Paulson. Nieapetyczny, ale to żadna nowość. Nic, za co warto byłoby zabić.

– Może – odparłem. – Ale przyjrzyj się temu gościowi obok Paulsona. Raczej nie sprawia wrażenia, jakby obracał się w tych samych kręgach.

Przyjrzała się. Był szczupły, miał na sobie jasną koszulkę z okrągłym dekoltem i białe spodnie. I dużo biżuterii – bransoletki, łańcuch na szyi. Włosy zmierzwione, cienkie. Oczy były jednym wielkim posepnym wyrzutem. To był wzrok człowieka śmiertelnie

chorego. Mógł mieć około trzydziestu pięciu lat.

– Rzeczywiście. Znamy go?

Pokręciłem głową.

– To może być Socia. To może być Roland. Może ani jeden, ani drugi. Ale na pewno nie członek parlamentu.

– Wygląda jak alfons.

– No i to – wskazałem widoczną na zdjęciu toaletkę. W lustrze odbijało się rozesłane łóżko. Dalej w tle drzwi. Na drzwiach dwa prostokąty papieru. Nie mogłem odczytać, co było na nich napisane, ale jeden wyglądał jak regulamin motelu, a drugi jak przypomnienie, kiedy zaczyna się i kończy doba hotelowa. Na klamce wisiała tabliczka z napisem „Nie przeszkadzać”. – To wygląda jak...

– Motel – dokończyła.

– Świetnie. Powinnaś zostać detektywem.

– A ty powinieneś przestać udawać detektywa. – Rzuciła zdjęcie z powrotem na stół. – Więc co to wszystko znaczy, Sherlocku?

– Ty mi powiedz, Watsonie.

Zapaliła papierosa, napiła się piwa i zamyśliła się.

– To zdjęcie może być wierzchołkiem góry lodowej. Może jest ich więcej i o wiele gorszych. Ktoś, albo Socia, albo Roland, albo... czy odważę się to powiedzieć?... ktoś ze świata polityki kazał wyeliminować Jennę, bo wiedział, że zamierza to roztrąbić. Tak myślisz?

– Tak myślę.

– No – powiedziała – to albo oni są kompletnymi debilami, albo ty.

– A to dlaczego?

– Jenna miała te zdjęcia w depozycie bankowym, zgadza się?

Przytaknąłem.

– A gdy ktoś zostaje zamordowany, standardowym postępowaniem policji jest uzyskanie nakazu rewizji i przeszukanie każdej puszki robaków w spiżarni ofiary. Sejf bankowy zdecydowanie się na to łapie. Przypuszczalnie już wiadomo, że ten bank to ostatnie miejsce, w którym była przed...

– Śmiercią.

– Właśnie. Więc kiedy my tu sobie rozmawiamy, policja pewnie już ten sejf otwiera. To mógłby przewidzieć nawet półgłówek.

– Może myślała, że zabrała stamtąd wszystko i dała mnie.

– Może. Ale to strasznie ryzykowne. Nie sądzisz? Musieliby mieć pewność, że ona tam niczego nie zostawi.

– Skąd mieliby to wiedzieć? Wzruszyła ramionami. – Jesteś detektywem. Dedukuj.

– Staram się.

– I jeszcze coś – dodała, odstawiając piwo i prostując się na krześle.

– Zamieniam się w słuch.

– Skąd wiedzieli, że tam będziecie? Nad tym jeszcze się nie zastanawiałem.

– Błękitna Czapeczka – powiedziałem.

Pokręciła głową.

– Błękitną Czapeczkę wczoraj zgubiliśmy. Nie wiem jak ty, ale ja nie sądzę, że od świtu kręcił się po rozjazdach w nadziei, że może cię wypatrzy w samochodzie, o którego istnieniu nawet nie wiedział. I potem pojechał za tobą na Common? Hm. Jakoś mnie to nie przekonuje.

– Tylko dwie osoby wiedziały, dokąd Jenna i ja wybieraliśmy się tego ranka.

– Masz cholerną rację – powiedziała. – A jedną z tych

osób jestem ja.

Oczy Simone Angieline nad zabezpieczającym drzwi łańcuchem były obrysowane czerwonymi obwódkami i pełne wciąż na nowo wzbierających łez. Włosy miała splecione po jednej stronie twarzy; wyglądała, jakby korzystając z chwili, gdy nikt na nią nie patrzył, przeskoczyła kilkadziesiąt lat i stała się siedemdziesięcioletnią staruszką. Na nasz widok zazgrzytała zębami.

– Spierdalać mi z mojego progu.

– Dobra – odparłem i mocnym kopem otworzyłem drzwi do wewnątrz.

Angie szła krok w krok za mną. Simone rzuciła się do stolika z telefonem we wnęce. Ale nie sięgnęła do telefonu. Sięgnęła do szuflady, a gdy ją otwierała, ja chwyciłem stół od drugiej strony i wywaliłem wszystko razem na nią. Zawartość szuflady – mała czerwona książka telefoniczna, parę długopisów i pistolet kalibru dwadzieścia dwa – odbiwszy się od jej głowy poleciała na podłogę. Kopnąłem pistolet pod biblioteczkę, złapałem Simone za koszulę i zawlokłem na kanapę.

Angie zamknęła drzwi.

– Zabiłeś moją siostrę – Simone splunęła mi w twarz.

Rzuciłem ją o kanapę i otarłem ślinę z brody. Bardzo starannie dobieierałem słowa.

– Nie udało mi się uchronić twojej siostry. To nie to samo. Ktoś pociągnął za spust, a ty włożyłaś mu broń do ręki. Prawda?

Odepchnęła moją rękę i rozczapierzonymi palcami zamierzyła się na moją twarz.

– Nie! Ty ją zabiłeś.

Popchnąłem ją z powrotem i ukląknęłam na kanapie, kolanami przyciskając jej dłonie. Szeptąłem jej prosto do ucha.

– Kule przeszły przez klatkę piersiową Jenny, jakby jej nie było, Simone. Jakby jej, kurwa, w ogóle nie było. Z jej ciała wypłynęło tyle krwi, że widząc tylko ten niewielki procent, który trafił na mnie, gliny myślały, że jestem ciężko ranny. Umierała z krzykiem w samym środku poranka, z nogami rozrzuconymi na oczach tłumu ludzi, a ten skurwiel, który pociągnął za spust, zużył na nią cały magazynek i nawet nie mrugnął.

Próbowała teraz dosięgnąć mnie z byka, unosząc się na kanapie, na ile zdołała pod ciężarem moich osiemdziesięciu kilogramów.

– Ty pieprzony skurwysynu.

– Masz rację – moje wargi nadal poruszały się tuż nad jej uchem. – Masz rację, Simone. Jestem skurwysynem. Trzymałem twoją siostrę na kolanach, aż umarła, i nie mogłem nic zrobić, i zdobyłem sobie prawo do tytułu skurwysyna. Ale ty, ty nie masz żadnego usprawiedliwienia. Wybrałaś miejsce egzekucji, a kiedy ona rzuciła z siebie ostatnie tchnienie, siedziałaś tu, osiemdziesiąt kilometrów od niej. Powiedziałaś im, dokąd jedziemy, i pozwoliłaś im ją zabić. Czy nie tak było, Simone?

Jej oczy na chwilę odplynęły do tyłu, głowa opadła, a łkanie wydzierало się z piersi, jakby ktoś po nie sięgał i wrywał je stamtąd. Cofnąłem się, bo teraz była tylko wrakiem. Łkanie przybierało na sile, przerywane spazmatycznym łowieniem powietrza, wydzierало się boleśnie z falującej gwałtownie piersi. Skuliła się w pozycji embrionalnej i tłukła pięściami w brzeg kanapy; co pewien

czas szlochły już zdawały się cichnąć, zrywały się na nowo, jeszcze głośniejsze, jakby każdy oddech przeszywał ją ciężkim ostrzem.

Angie dotknęła mojego łokcia, ale odtrąciłem jej dłoń. Wielkiemu detektywowi Patrickowi Kenzie udało się doprowadzić do hysterii nieźrównoważoną kobietę. Co za gość. Na bis mógłbym jeszcze po powrocie do domu poturbować zakonnicę.

Simone przewróciła się na bok z zamkniętymi oczami. Pół twarzy miała nadal ukryte w poduszce.

– Pracowałeś dla nich. Mówiłam Jennie, że jest głupia, że ci wierzy, tobie i tym nadzianym białym politykom. Oni wszyscy zawsze mieli czarnuchów gdzieś i zawsze będą mieli. Myślałam, że jak tylko dostaniesz od niej to, co chcesz, to ją...

– Zabijesz.

Złożyła głowę na wyciągniętej ręce. Z jej gardła wyrzywały się zdławione dźwięki.

– Zadzwoiłam do niego, bo nie przypuszczałam, że ktoś...

– Do kogo zadzwoniłaś? – spytała Angie. – Do Socii? Zadzwoiłaś do Socii?

Najpierw kilka razy pokręciła głową, potem przytaknęła.

– On... powiedział, że się tym zajmie, że wleje jej trochę oleju do tej głupiej głowy. Nic więcej. Nie przypuszczałam, że ktoś mógłby zrobić coś takiego... swojej żonie.

- Swojej żonie?

Podniosła na mnie wzrok.

– I tak by nigdy nie wygrała. Z nimi wszystkimi? Ona? Nie mogła...

Usiadłem na podłodze przy kanapie i podniosłem fotografię.

– Czy to jest Socia?

Ledwie spojrzała, ale skinęła głową, po czym znów ukryła ją w poduszce.

– Gdzie jest reszta, Simone? – spytała Angie. – W sejfie bankowym?

Simone potrząsnęła głową.

– No to gdzie? – ponagliłem.

– Nie powiedziała mi. Powiedziała tylko „w bezpiecznym miejscu”. Powiedziała, że schowała w sejfie tylko jedno zdjęcie, żeby skierować ich na fałszywy trop, gdyby ją śledzili.

– Co jeszcze miała, Simone? Wiesz?

– Jenna mówiła tylko, że to są „straszne rzeczy”. To wszystko. Kiedy ją pytałam, co to takiego, od razu zamykała buzię na kłódkę i robiła się zła. Cokolwiek to było, strasznie ją ruszało, zawsze kiedy o tym wspominała. – Podniosła głowę i spojrzała gdzieś za mnie, jakby ktoś tam stał. – Jenna? – szepnęła i znowu zaczęła płakać.

Wstrząsały nią gwałtowne dreszcze. Niewiele życia w niej zostało. Ja dokonałem części dzieła zniszczenia, a reszty dopełni sama w tych dniach i latach, które ma przed sobą. Pozbyłem się więc gniewu, pozwoliłem mu spłynąć z mojego serca i ciała, aż to, co widziałem przed sobą na kanapie, stało się dla mnie tylko drżącym strzępem istoty ludzkiej. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej ramienia.

– Nie dotykaj mnie, skurwielu! – wrzasnęła.

Cofnąłem rękę.

– Wynoś się w cholereę z mojego mieszkania i z mojego domu, biały, razem z tą swoją dziwką.

Na dźwięk słowa „dziwka” Angie zrobiła krok naprzód,

ale zaraz się zatrzymała, na sekundę zamknęła oczy, otworzyła. Spojrzała na mnie i skinęła głową.

Wszystko już zostało powiedziane, więc wyszliśmy.

Byliśmy w połowie drogi do Bostonu, podczas której unikaliśmy jakiegokolwiek wzmianki o Simone Angielinie i scenie w jej mieszkaniu, gdy Angie gwałtownie wyprostowała się na siedzeniu i wydała z siebie wściekle warczenie, a w każdym razie coś bardzo zbliżonego. Palcem wskazującym dźgnęła przycisk magnetofonu tak mocno, że *Exile on Main Street* śmignęło obok mnie jak rakietka. Odbiło się od oparcia i spadło na podłogę. W dodatku w samym środku *Shine a Light*. Świętokradztwo.

– Podnieś to – powiedziałem.

Usłyszała i rzuciła kasetę na siedzenie obok mojego biodra.

– Nie masz niczego z Nowej Fali? – spytała.

Nowa Fala to jak rozumiem te różne zespoły, których ona słucha. Mają różne nazwy – jak Depeche Mode, The Smiths – ale dla mnie wszystkie grają tak samo; jak banda chudych białych angielskich wypierdków na psychotropach. Stonesi, kiedy zaczynali, też byli bandą chudych białych angielskich wypierdków, ale nigdy nie grali tak, jakby byli na psychotropach. Nawet jeśli byli.

Angie przeglądała moje kasety.

– Spróbuj tego Lou Reeda – poradziłem. – To bardziej w twoim stylu.

Po pięciu minutach słuchania *New York* powiedziała:

– Niezłe. Kupiłeś to przez pomyłkę czy jak?

Tuż po przekroczeniu granicy miasta zatrzymałem się przed supermarketem i Angie poszła po papierosy. Wróciła z dwoma egzemplarzami popołudniówki „News” i jeden podała mnie.

Tak przekonałem się, że jako przedstawiciel już drugiego pokolenia rodu Kenzie osiągnąłem pewnego rodzaju nieśmiertelność prasową. Będę tam już na zawsze, zastygły w czasie, czarnobiały, z datą trzydziestego czerwca, dostępny dla każdego, kto zechce rzucić okiem na mikrofilm. Tamta chwila, najintymniejsza, jaka może być, gdy tkwię w przysiadzie naprzeciw Błękitnej Czapeczki, za plecami mam ciało Jenny, w uszach mi dzwoni, a mój mózg szuka drogi powrotu do czaszki, nie będzie już nigdy moją własnością. Została przeżuta na drugie śniadanie i wypluta przez setki tysięcy ludzi, którym byłem zupełnie obcy. Być może najmocniejsza, najintensywniejsza chwila mojego życia stała się przedmiotem roztrząsań i domysłów wszystkich, od ómy barowej z kiepskiej dzielnicy po maklerów w windzie jakiegoś wieżowca w centrum. Tak właśnie funkcjonuje globalna wioska. Ani trochę mi się to nie podobało.

Ale w końcu dowiedziałem się, jak się nazywa Błękitna Czapeczka. Curtis Moore. W stanie krytycznym został przyjęty do szpitala miejskiego. Podobno lekarze podejmowali desperackie wysiłki, żeby ocalić jego stopę. Miał osiemnaście lat i był znanym członkiem Raven Saints, gangu, który wyrósł z Raven Boulevard Projects w Roxbury, i chętnie nosił czapki bejsbolowe i inne akcesoria drużynowe New Orleans Saints. Na trzeciej stronie znalazła się fotografia jego matki ze ślicznie oprawionym zdjęciem Curtisa w wieku dziesięciu lat. Przytoczono następujące jej wypowiedzi: „Curtis nigdy nie zadawał się z żadnym gangiem. Nigdy nie zrobił nic złego”. Domagała się śledztwa i utrzymywała, że cała sprawa ma „tło rasowe”. Udało jej się oczywiście porównać ją ze sprawą Charlesa Stuarta, którego żona

została zamordowana, a on zeznał, że sprawcą był nieznany czarny mężczyzna. Prokurator okręgowy i generalnie wszyscy uwierzyli w jego wersję. Aresztowano czarnego mężczyznę, który pewnie poszedłby do piachu, gdyby suma podjęta przez Stuarta z polisy ubezpieczeniowej żony nie wzbudziła zainteresowania paru osób. Na koniec skok Chucka Stuarta z mostu do rzeki Mystic potwierdził to, co dla wielu ludzi było oczywiste już od samego początku. Postrzelenie Curtisa Moore'a miało ze sprawą Stuarta tyle wspólnego, co Howard Beach z Miami Beach, ale stojąc na parkingu przed supermarketem, niewiele mogłem na to poradzić.

Angie prychnęła głośno. Byłem pewien, że czyta ten sam artykuł.

– Niech zgadnę – powiedziałem. – Doszłaś do tego kawałka o „tł rasowym”?

Skinęła głową.

– Ten twój tupet! Żeby wcisnąć biednemu chłopcu do ręki uzi i jeszcze zmusić go do pociągnięcia za spust.

– Sam nie wiem, co mnie czasem napada.

– Powinieneś być z nim porozmawiać, Patrick. Powiedzieć mu, że rozumiesz trudne warunki życiowe, które zmusiły go do sięgnięcia po broń.

– No widzisz, jaki ze mnie matoł.

Rzuciłem gazetę na tylne siedzenie, siadłem za kierownicą i ruszyliśmy do miasta. Mimo słabego światła Angie ciągle zerknęła na gazetę. Oddychała ciężko i nozdrza jej chodziły. W końcu zmięła ją i cisnęła na podłogę.

– Jak oni mogą patrzeć na siebie w lustrze?

– Kto?

– Ludzie, którzy... wstawiają takie kity. „Tło rasowe”. No nie! „Curtis nigdy nie zadawał się z żadnym gangiem”.

– Spojrzała w dół, na gazetę, i zwróciła się do fotografii matki Curtisa. – Chyba nie siedział do trzeciej nad ranem na zbiórkach harcerskich, szanowna pani?

Poklepałem ją po ramieniu.

– Uspokój się.

– Szlag mnie trafia.

– Ona jest matką. Powie wszystko, żeby tylko chronić swoje dziecko. Nie można jej winić.

– Ach tak? Więc jeśli chce tylko chronić swoje dziecko, to po co wyjeżdża z rasą? I co jeszcze? Może Al Sharpton*[* Czarny polityk Partii Demokratycznej z Nowego Jorku. Przegrał z Johnem Kerryem walkę o nominację prezydencką. Znany głównie z krasomówstwa i radykalnych poglądów, szczególnie w kwestii rasowej] i nocne czuwanie w intencji stopy Curtisa. Śmierć Jenny też przypiszą białym?

Coraz bardziej się rozkręcała. Biała furia. Jakoś ostatnio częściej się z tym stykam. O wiele częściej. Samemu od czasu do czasu zdarzało mi się mówić coś w tym stylu. Najwięcej się tego słyszy wśród białej biedoty i robotników. Na przykład kiedy odmóżdzeni socjolodzy nazywają incydenty takie jak bestialska napaść w Central Park „niekontrolowanym odruchem” i bronią postępu bandy bydłaków, używając argumentu, że jest to reakcja na lata ucisku czarnego człowieka przez białego człowieka. A jeśli im wskażesz, że owe przemiłe, dobrze wychowane stworzenia – przypadkowo o czarnym kolorze skóry – zapewne bez trudu zapanowałyby nad odruchami, gdyby wiedziały, że tej dziewczyny, która wtedy wyszła pobiegać w parku, ma kto bronić – nazwą cię rasistą. Słyszysz się to zawsze, gdy media wspomną coś o kolorze skóry. Słyszysz się, gdy w towarzystwie białych mających zapewne dobre

intencje rozgorzeje dyskusja i ktoś powie „Nie jestem rasistą, ale...”. Słyszy się, gdy sędziowie, którzy siłą wprowadzają w życie zakaz segregacji w szkołach publicznych, swoje dzieci posyłają do prywatnych albo kiedy ostatnio sędzia okręgowy oświadczył, że nie znajduje żadnych dowodów świadczących, iż gangi uliczne są bardziej niebezpieczne od związków zawodowych.

Najwięcej się tego słyszy, gdy politycy mieszkający w takich miejscach jak Hyannis Port, Beacon Hill czy Wellesley podejmują decyzje, które ważą na życiu ludzi z Dorchester, Roxbury i Jamaica Plain, a potem się wycofują i twierdzą, że nie ma żadnej wojny.

Jest wojna. Toczy się na boiskach, ale nie klubów sportowych. Na betonie, nie na trawnikach. Przy użyciu metalowych rurek i butelek, a ostatnio automatycznej broni palnej. Ale dopóki nie wedrze się przez grube dębowe drzwi, za którymi politycy zmagają się z edukacją przedszkolną, obstrukcjonistami parlamentarnymi i obiadekami z podwójnym martini, dla nich nie zaistnieje.

Południowe Los Angeles mogłoby sobie płonąć i dziesięć lat, a większość ludzi nawet nie poczułaby dymu, gdyby płomień nie objęły Rodeo Drive.

Chciałem to jakoś rozwiązać. Teraz. Przewalkować to wszystko, tu, w tym samochodzie, z Angie, żeby nasze pozycje w tej wojnie zostały precyzyjnie określone, żebyśmy ustalili, jakie są nasze poglądy na każdy z tych tematów, żebyśmy mogli z zadowoleniem spojrzeć w głąb własnej duszy. Ale często mam takie porywy i zawsze kończą się na niczym. Wszystko wraca do mnie jak bumerang, bez żadnych rozwiązań.

– Tak to już jest, no nie? Co można na to poradzić? – powiedziałem i zatrzymałem się przy krawężniku przed jej

domem.

Spojrzała na pierwszą stronę gazety, na ciało Jenny.

– Mogę powiedzieć Philowi, że będziemy pracować do późna. – Nic mi nie jest.

– Nieprawda. - Zaśmiałem się półgębkiem.

– Istotnie, nieprawda. Ale nie możesz być ze mną w moich snach, i tam mnie bronić. A z resztą jakoś sobie radzę.

Wysiadła już z samochodu, ale nachyliła się i pocałowała mnie w policzek.

– Trzymaj się ciepło, Poślizg.

Patrzyłem za nią, jak wchodzi na schodki, grzebie w torebce, wyciąga klucze, otwiera drzwi. Nim weszła, w salonie zapaliło się światło i zasłony lekko się rozchyliły. Pomachałem Philowi; natychmiast znowu szczelnie się zwały.

Angie zniknęła we wnętrzu swojego domu i wyłączyła światło na korytarzu. Odjechałem.

W dzwonnicy paliło się światło. Zatrzymałem się pod kościołem i przeszedłem kawałek, żeby skorzystać z bocznego wejścia, mając niemiłą świadomość, że mój pistolet spoczywa w depozycie policyjnym. Gdy wszedłem, na podłodze pod drzwiami zobaczyłem kartkę, na której było napisane: „Nie strzelaj. Dwóch czarnych w jeden dzień popsuje ci opinię”.

Richie.

Siedział za moim biurkiem. Nogi trzymał na blacie, w dłoni szklaneczkę. Z mojego magnetofonu śpiewał Peter Gabriel, na biurku stała butelka glenlivet.

– Czy to moja butelka? – spytałem. Przyjrzał jej się.

– Na to wygląda, synu.

– No cóż, to nie krępuj się.

– Dziękuję. – Nalał sobie jeszcze jednego. – Przydałby się lód.

Znalazłem w szufladzie drugą szklanke, nalałem sobie podwójną porcję. Podniosłem gazetę.

– Widziałeś?

– Nie czytam tej szmaty – odparł. Potem dodał: – Tak, widziałem.

Richie nie jest z tych hollywoodzkich czarnych o skórze jak kawa z mlekiem i pięknych oczach. Jest naprawdę czarny, czarny jak plama ropy naftowej i nie da się go nazwać przystojnym. Jest trochę za gruby, zawsze nie dość starannie ogolony, a ubrania kupuje mu żona. I zdaje się, że lubi eksperymentować. Dziś na przykład Richie miał na sobie beżowe bawełniane spodnie, jasnoniebieską koszulę i do tego krawat, który wyglądał, jakby eksplodowało na nim pole maku, a ktoś jeszcze podlał płomień ponczem rumowym.

– Sherilynn była na zakupach? – spytałem. Spojrzał na krawat i westchnął.

– Sherilynn była na zakupach.

– Gdzie? W Miami?

Podniósł krawat do oczu, żeby przyjrzeć mu się dokładniej. – Rzeczywiście, można by tak pomyśleć. – Pociągnął szkockiej. – Gdzie twoja współniczka?

– Z mężem.

Kiwnął głową i równocześnie dokończyliśmy:

– Skurwielem.

– Kiedy ona wreszcie wpakuje temu chłoptasiowi kulkę? – spytał Richie.

– Cały czas trzymam za to kciuki.

– W każdym razie zadzwoń do mnie, jak to wreszcie zrobi. Specjalnie na tę okazję trzymam w domu butelkę

moeta.

– Za ten wielki dzień – uniosłem szklaneczkę i Richie stuknął ją swoją. – Zdrowie. Powiedz mi coś o Curtisie Moorze.

– O Kulasku? Bo tak go ostatnio nazywają. Łza się w oku kręci, co? – wyciągnął się na krześle.

– Tragiczna sprawa – powiedziałem.

– Fatalna. Ale szczerze mówiąc, nie bierz tego zbyt lekko. Przyjaciele Curtisa mogą cię szukać, a to wyjątkowo bestialskie skurwysyny.

– Ilu może być tych Raven Saints?

– Jeśli mierzyć według standardów Los Angeles, to nie aż tak wielu. Ale tu nie Los Angeles. Powiedziałbym, że jest ich siedemdziesięciu pięciu ścisłej elity i może z sześćdziesięciu satelitów.

– Więc chcesz mi powiedzieć, że mam na karku stu trzydziestu pięciu czarnych, na których powinienem uważać?

Odstawił szklanekę na biurko.

– Tylko nie rób z tego „kwestii czarnych”, Kenzie.

– Przyjaciele mówią mi Patrick.

– Nie jestem twoim przyjacielem, kiedy słyszę z twoich ust taką gadkę.

Byłem zły i zmęczony i chciałem się na kimś wyżyć. Kłębili się we mnie emocje i miałem wrażenie, że nagie zakończenia nerwowe zaraz przebiją mi skórę. Owładnął mną upór.

– Jeśli opowiesz mi o gangu białych, którzy latają po mieście uzbrojeni w uzi, to białych też zaczną się bać, Richie. Ale póki co...

Richie walnął pięścią w biurko.

– A to kurewstwo zwane mafią? Co ty na to? – Wstał

od biurka. Żyły na szyi miał nabrzmiałe, wydatne, pewnie tak samo jak ja. – A Westies w Nowym Jorku? Mili chłopcy, Irlandczycy jak i ty, specjaliści od morderstw, tortur i zabaw w kowbojów. Jakiego są koloru? Masz czelność tu siedzieć i mówić mi, że morderstwo wynaleźli moi bracia? Myślisz, że możesz mi wcisnąć każde gówno, Kenzie?

Nasze podniesione ochryple głosy wypełniały mały pokoik, ześlizgiwały się po nędznych ścianach i wracały do nas echem. Staralem się mówić spokojnie, ale mój ton nie brzmiał tak, jak chciałem: był szorstki, jakby obcy.

– Richie, kiedy na Howard Beach samochód potrąca chłopaka, którego gania banda niedorozwiniętych gnojków rodem z Hitlerjugend...

– Co ty możesz powiedzieć o Howard Beach!

– ...to się traktuje jak narodową tragedię. I słusznie. Ale – podjąłem – kiedy biały chłopak w Fenway OSIEMNAŚCIE RAZY dostaje nożem od czarnych chłopaków, wszyscy nabierają wody w usta. Nikt nie mówi o „tłie rasowym”. Następnego dnia sprawa znika z pierwszych stron gazet i zostaje zakwalifikowana jako zabójstwo. Nie „akt nienawiści rasowej”. Może mi powiesz, Richie, co to, kurwa, jest?

Wpatrywał się we mnie z dłonią podniesioną do góry i wyciągniętą przed siebie, po czym powoli cofnął ją, zaczął masować sobie kark, potem oparł dłoń na biurku, jakby nie wiedział, co ma z nią zrobić. Kilka razy zaczynał mówić. I urywał. W końcu odezwał się cicho, niemal sycząc.

– Ta trójka czarnych chłopaków, która zabiła białego, jak myślisz, ciężki dostaną wyrok?

Tu mnie miał.

– No? – ponaglił. – Śmiało. Mów prawdę.

– Oczywiście. Chyba że będą mieli dobrego adwokata, że będą...

– Nie. Bez adwokatów. Bez pieprzonych sztuczek prawnych. Jeśli dojdzie do procesu i staną przed sądem, czy zostaną skazani? Dostaną dwadzieścia lat, dożywocie czy może jeszcze więcej?

– No tak – przyznałem. – Pewnie dostaną.

– A jeśli jacyś biali zabiją czarnego i jeśli, założmy, nie zostanie to uznane za akt nienawiści rasowej, jeśli nie zostanie okrzyknięte tragedią, co wtedy?

Pokiwałem głową.

– Co wtedy?

– Jest większe prawdopodobieństwo, że się wykpią.

– Otóż to – powiedział i opadł na krzesło.

– Ale, Richie, to jest logika przekraczająca możliwości intelektualne przeciętnego człowieka z ulicy, doskonale o tym wiesz. Jeśli jakiś prosty chłopak z południowego Bostonu zobaczy, że śmierć czarnego to akt nienawiści rasowej, a identyczna śmierć białego – pospolite zabójstwo, powie: „Hej, to nie w porządku. To hipokryzja. Przykładanie podwójnej miarki”. Potem słyszy o Tawanie Brawley,*[* Czarna nastolatka, która w roku 1987 fałszywie oskarżyła sześciu białych wysokich przedstawicieli prawa o porwanie, gwałt i inne akty znęcania się na tle rasowym. Wszyscy oskarżeni zostali uniewinnieni przez wielką ławę przysięgłych.] wreszcie traci robotę z powodu akcji wyrównywania szans, to jest wkurwiony jak cholera. Dziwisz mu się?

Podrapał się po głowie i westchnął.

– Ach, niech to szlag, Patrick. Nie wiem. – Wyprostował się. – No dobrze, nie. Nie dziwię mu się. Ale

jakie jest wyjście?

Nalałem sobie jeszcze.

– Na pewno nie Louis Farrakhan.*[* Czarny, radykalny działacz muzułmański o skrajnie wrogiej postawie wobec białych.]

– I nie David Duke*[* Biały radykalny działacz chrześcijański o skrajnie wrogiej postawie wobec czarnych.] – odbił piłeczkę. – To znaczy co – mamy zlikwidować akcję wyrównywania szans, skończyć ze stypendiami dla mniejszości narodowych, piętnowaniem aktów nienawiści rasowej?

Wyciągnąłem do niego butelkę, a on podstawił szklaneczkę.

– Nie – odparłem, nalewając mu drinka – ale... – Cofnąłem się. – Cholera, nie mam pojęcia.

Uśmiechnął się blado, oparł wygodnie na krześle i wyjrzał przez okno. Kasetą Petera Gabriela skończyła się. Z ulicy od czasu do czasu dobiegał szum toczących się po asfalcie kół. Powiew powietrza był teraz nieco chłodniejszy i doznałem uczucia, że atmosfera w pokoju zelżała. Przynajmniej trochę.

– A wiesz, jak to się robi w Ameryce? – spytał Richie, wciąż wyglądając przez okno, z łokciem na zewnątrz, szklaneczką zatrzymaną w połowie drogi do ust.

Czułem teraz wyraźnie, jak gniew wypełniający pokój zaczyna się powoli zlewać w jedno z falą szkockiej w mojej krwi i rozplýwać w przyboju alkoholu.

– Nie, Rich. Jak to się robi w Ameryce?

– Znajduje się winnego – odparł i napił się. – Tak właśnie. Pracujesz na budowie i młot pneumatyczny spada ci na nogę? Pozywasz firmę. I masz nogę za dziesięć tysięcy dolarów. Jesteś biały i nie możesz znaleźć pracy?

To przez akcję wyrównywania szans. Tak samo nie masz roboty, ale jesteś czarny? To przez białych. Albo Koreańczyków. Albo przez Japońców; na nich wszyscy wszystko zwalają. Cały ten pierdolony kraj jest pełen wrednych, nieszczęśliwych, pogubionych i wkurwionych popaprańców i żaden z nich nie ma dość rozumu, żeby uczciwie stawić czoło sytuacji. I tylko gadają, że dawniej świat był prostszy – przed AIDS, koką, gangami, środkami masowego przekazu, satelitami, samolotami i globalnym ociepleniem – tak jakby można było do niego po prostu wrócić. Nie mogą zrozumieć, czemu ich życie jest takie pojebane, więc szukają kogoś, na kogo można zwalić winę. Czarnuchy, Żydzi, biali, Chinole, Arabi, Ruski, zwolennicy aborcji, przeciwnicy aborcji – i kto tam jeszcze.

Nic nie odpowiedziałem. Trudno dyskutować z prawdą.

Głośno postawił nogi na podłodze i wstał. Zaczął chodzić po pokoju, trochę niepewnie, jakby za każdym krokiem spodziewał się natrafić na opór.

– Biali oskarżają takich jak ja, bo twierdzą, że doszedłem tam, gdzie doszedłem, dzięki parytetowi. To nic, że połowa z nich nie umie nawet czytać. I tak uważają, że to im się należy moja posada. Pieprzeni politycy siedzą w swoich skórzanych fotelach z widokiem na rzekę Charles i pilnują, żeby ich ciemni jak tabaka w rogu wyborcy wierzyli, że mają prawo być na mnie wściekli, bo odejmują ich dzieciom chleb od ust. Czarni – moi bracia – mówią, że ja już nie jestem czarny, bo mieszkam na białej ulicy i w białej dzielnicy. Że wkradam się do klasy średniej. Wkradam się. Tak jakby czarny mógł mieszkać tylko w jakiejś norze na Humboldt Street, wśród ludzi, którzy pieniądze z zasiłków wydają na kokę. Wkradam się – powtórzył. – Kurwa. Hetero nienawidzą homo, homo

szykują się do „kontrofensywy”, cokolwiek to znaczy. Lesbijki nienawidzą facetów, faceci nienawidzą kobiet, czarni nienawidzą białych, biali nienawidzą czarnych i... każdy szuka sobie jakiegoś kozła ofiarnego. Po co patrzeć w lustro, na siebie we własnej popierdolonej osobie, skoro na świecie jest tylu ludzi, od których we własnym przeświadczeniu jesteś lepszy? – Spojrzał na mnie. – Rozumiesz, co mówię, czy to tylko pijackie brednie?

Wzruszyłem ramionami.

– Ludzie potrzebują kogoś, kogo mieliby za co nienawidzić.

– Ludzie są po prostu cholernie głupi.

– I cholernie wściekli.

Znowu usiadł.

– Niech to wszystko szlag trafi.

– No więc co możemy w tej sytuacji zrobić, Richie?

– Na zakończenie kolejnego dnia wypłakać się w szklanę szkockiej.

W pokoju na chwilę zapadła cisza. W milczeniu nalaliśmy sobie po jeszcze jednym drinku i piliśmy trochę wolniej. Po jakichś pięciu minutach Richie spytał:

– Jak się czujesz po tym wszystkim, co się dzisiaj stało? Nic ci nie jest?

Wszyscy mnie o to pytali.

– Nie, nic.

– Nic?

– Nic. Chyba. – Spojrzałem na niego i sam nie wiem czemu pożałowałem, że jej nie znał. – Jenna była przyzwoitą facetką – powiedziałem. – Była dobrym człowiekiem. Chciała tylko ten jeden jedyny raz w życiu nie pozwolić się zmieść pod dywan.

Popatrzył mi w oczy i nachylił się do mnie

z wyciągniętą szklaneczką.

– Zrobisz wszystko, żeby dowieść prawdy, no nie, Patrick?

Ja też się nachyliłem i stuknąłem się z nim.

– Czarno na białym – potwierdziłem i podniosłem dłoń.

– Bez urazy.

Richie wyszedł trochę po północy, a ja zabrałem butelkę na spacer przez ulicę, do mojego mieszkania. Zignorowałem migające czerwone światelko automatycznej sekretarki i włączyłem telewizor. Opadłem na skórzaną kanapę i oglądałem talk-show Lettermana, popijając prosto z butelki. Robiłem, co mogłem, żeby nie mieć przed oczami śmiertelno tańca Jenny za każdym razem, gdy powieki zjeżdżały mi do połowy masztu. Zwykle nie nadużywam mocnych trunków, ale tym razem glenlivet wchodziło mi gładko jak cholera. Chciałem zapaść się w pustkę, bez żadnych snów.

Richie powiedział, że nazwisko Socia wydaje mu się znajome, ale nie potrafił go z niczym skojarzyć. Podsumowałem, co wiem. Curtis Moore był członkiem Raven Saints. Zabił Jenne najprawdopodobniej na czyjeś polecenie, a tym kimś był zapewne Socia. Socia był mężem Jenny albo byłym mężem. Socia pozostawał w na tyle zażyłych stosunkach z senatorem Brianem Paulsonem, że pozwali do wspólnych fotografii. Paulson przy naszym pierwszym spotkaniu walnął przede mną ręką w stół. „To nie jest temat do żartów” – powiedział. Rzeczywiście. Jenna nie żyje. Ponad setka ulicznych wojowników, którzy nie boją się śmierci, ma ze mną do pogadania. To nie jest temat do żartów. Jutro jestem umówiony na lunch z Mulkernem i jego drużyną. Jestem pijany. Może to tylko moje wrażenie, ale ten Letterman zaczyna się robić czerstwy. Jenna nie żyje. Curtis Moore nie ma stopy. Jestem pijany. W ciemnym kącie za telewizorem czai się duch w strażackim mundurze. Coraz trudniej było mi się skupić na telewizji. Chyba przydałoby się dostroić wizję.

Butelka była pusta.

Bohater wbił mi w głowę swój strażacki topór i natychmiast usiadłem sztywno wyprostowany. Ekran telewizora pokrywał śnieg. Skoncentrowałem rozmazany wzrok na zegarku: czwarta piętnaście. Tuż za moim mostkiem zapłonął żywy ogień. Dały też znać o sobie wszystkie nerwy czaszkowe obnażone przez cios topora. Wstałem i ledwo zdążyłem do łazienki, zanim wyrzygałem glenlivet. Spuściłem wodę i położyłem się na chłodnej posadzce. W łazience śmierdziało szkocką, strachem i śmiercią. Zwymiotowałem już drugi raz w ciągu trzech dni. Może to początki bulimii?

Podźwignąłem się w końcu i przez następne pół godziny myłem zęby. Wszedłem pod prysznic, puściłem wodę. Wyszedłem, zdjąłem ubranie i wróciłem. Gdy skończyłem, już prawie świtało. Jeszcze trzy tabletki paracetamolu i zwałem się na łóżko z nadzieją, że w moich rzygowinach znalazło się wszystko to, przez co bałem się zasnąć.

Przez następne trzy godziny wiele razy zasypiałem, budziłem się i znów zasypiałem, i na szczęście nikt mnie nie odwiedził. Ani Jenna, ani Bohater, ani stopa Curtisa Moore'a.

Zdarzają się w życiu chwile wytchnienia.

– Nienawidzę tego – powiedziała Angie. – Nienawidzę.
– W dodatku wyglądasz jak ósme dziecko stróża – dorzuciłem.

Posłała mi to swoje spojrzenie i podjęła wściekłą walkę z rąbkiem spódnicy.

Angie nosi spódnice chyba nie częściej, niż gotuje, ale

za to zawsze z dobrym skutkiem. I mimo całego tego jazgotu nie sądzę, żeby było to dla niej tak bolesne, jak udaje. Jej strój był tak przemyślany, że rezultat mógł być tylko olśniewający. Włożyła ciemnoczerwoną bluzkę bez ramiączek z jedwabnej krepy i czarną zamszową spódnicę. Długie włosy miała zaczesane do tyłu i podpięte nad lewym uchem, a z prawej strony puszczone luźno, nieco spadające na oko. Gdy spojrzała na mnie spod długich rzęs, poczułem ból. Jej spódnica była tak obcisła, jakby została namalowana, i Angie, wierząc się męczeńsko na tylnym siedzeniu taksówki, nieustannie próbowała ją obciągnąć. Reasumując, widok nie był szczególnie przykry.

Ja miałem na sobie szary dwurzędowy garnitur w dyskretnej jodełkę. Marynarka obejmowała moje biodra nieco za ciasno jak na wielkomiejski szyk, ale dla mężczyzn moda jest łaskawsza – wystarczyło ją rozpiąć.

– No dobrze, wyglądasz fajnie.

– Wiem, że wyglądam fajnie – odparła pochmurnie. – Ale chciałabym spotkać tego faceta, który zaprojektował tę spódnicę, bo wiem, że to był facet, i wsadzić mu ją w dupę. Założę się, że cienko by śpiewał.

Taksówka zatrzymała się na rogu naprzeciwko Trinity Church.

Odźwierny otworzył nam drzwi ze swoim „Witamy w hotelu Copley Plaza” i weszliśmy. Copley jest pod wieloma względami podobny do Ritza: oba stały na swoich miejscach na długo przed moim urodzeniem i będą tam stać długo po mojej śmierci. A jeśli personel Copleya wydaje się odrobinę mniej entuzjastyczny niż w Ritzu, to zapewne dlatego, że nie ma się znowu czym aż tak entuzjasmować. Copley wciąż stara się odbić od swojego statusu najbardziej zaniedbanego hotelu w Bostonie. Trzeba jeszcze wiele

czasu, by remont, który pochłonął wiele milionów dolarów, zatarł w ludzkiej świadomości niedawne wspomnienie ciemnych korytarzy i śmiertelnie posępnej atmosfery. Zaczęli od baru i to im się naprawdę udało. Zamiast George'a Reevesa i Bogeya zawsze spodziewam się zobaczyć przy stoliku Burta Lancastera w roli J.J. Hunseckera, otoczonego wielbicielami, i Tony'ego Curtisa u jego stóp. Po drodze powiedziałem to Angie.

– Burt Lancaster? W czym? – *Sweet Smell of Success*.

– A co to takiego?

– Profanka – rzuciłem.

Jim Vurnan tym razem nie wstał na mój widok. Obaj ze Sterlingiem Mulkernem siedzieli w dębowym cieniu, osłonięci przed marnością zewnętrznego świata ciemnobrązowymi żaluzjami. Przez listewki w oknach zerknęły wprawdzie do środka fragmenty hotelu Westin, ale jeśli ktoś specjalnie się za nimi nie rozgląda, może ich w ogóle nie zauważyć. I to chyba dobrze, bo w tym mieście jedyny hotel brzydszy niż Westin to Lafayette, a jedyny hotel brzydszy niż Lafayette nie został jeszcze zbudowany. Zauważyli nas dopiero, gdy podchodziliśmy do ich boksu. Jim zaczął się podnosić, ale powstrzymałem go ruchem ręki, więc tylko przesunął się, żeby zrobić mi miejsce. Gdybyż tak psy i żony były równie układne i lojalne jak członkowie parlamentu!

– Znasz Angie, Jim. Panie senatorze, to moja współpracowniczka, Angiela Gennaro.

Angie wyciągnęła rękę.

– Miło mi pana poznać, panie senatorze.

Mulkern ujął jej dłoń, ucałował palce i nie wypuszczając ze swojej ręki, przesunął się na siedzeniu.

– Cała przyjemność po mojej stronie, szanowna pani. –

Bawidamek. Angie usiadła obok niego. Dopiero wtedy puścił jej rękę. Spojrzał na mnie spod uniesionych brwi. – Wspólniczka? – Zachichotał.

Jim także zachichotał.

Pomyślałem, że zasłużył sobie na lekki uśmieszek. Usiadłem obok Jima.

– A gdzie senator Paulson? – spytałem.

Mulkern uśmiechał się do Angie.

– Niestety, dziś nie mógł ani na chwilę oderwać się od biurka.

– W sobotę?

Mulkern upił łyk ze swojej szklanki.

– Proszę mi powiedzieć – zwrócił się do Angie – gdzie to Pat panią ukrywa?

Angie zaprezentowała mu wszystkie zęby w olśniewającym uśmiechu.

– W szufladzie.

– Och, czyżby? – powiedział Mulkern. Znowu się napił. – Ona mi się podoba, Pat. Podoba mi się.

– Jak większości mężczyzn, panie senatorze.

Przyszedł kelner, przyjął zamówienie i oddalił się bezszelestnie po grubym dywanie. Mulkern mówił o lunchu, ale na stoliku nie dostrzegłem nic prócz szklanek. Może oferowali tu dietę płynną.

Jim dotknął mojego ramienia.

– Miałeś wczoraj ciężki dzień.

Sterling Mulkern podniósł poranną „Tribune”. – Jesteś teraz bohaterem jak twój ojciec, chłopcze. – Postukał w gazetę. – Widziałeś to?

– Czytam tylko komiksy – odparłem.

– Tak, no cóż... masz doskonałą prasę, naprawdę doskonałą. To dobre dla firmy.

– Ale nie dla Jenny Angieline. Mulkern wzruszył ramionami. – Kto mieczem wojuje...

– Ona była sprzątaczką – powiedziałem. – Jedynym przypominającym miecz przedmiotem, z jakim kiedykolwiek miała do czynienia, był nóż do otwierania kopert.

Zareagował takim samym wzruszeniem ramion i widać było, że nie jest skłonny zmienić zdania. Ludzie tacy jak Mulkern mają zwyczaj kreowania własnej rzeczywistości, do której potem wpuszczają resztę świata.

– Zastanawialiśmy się z Patrickiem – zagadnęła Angie – czy śmierć pani Angieline oznacza, że nasza praca jest zakończona.

– W żadnym razie, moja droga – odrzekł. – W żadnym razie. Zatrudniłem Pata, a także panią, w celu odszukania pewnych dokumentów. Jeśli nie przynieśliście ich tu dzisiaj ze sobą, to znaczy, że nadal dla mnie pracujecie.

Angie uśmiechnęła się.

– Patrick i ja pracujemy dla siebie, panie senatorze.

Jim spojrział na mnie, a potem wychylił resztę swojego drinka. Twarz Mulkerna na chwilę zastygła, potem uniósł brwi, wyraźnie rozbawiony.

– Za co właściwie wypisałem czek wystawiony na waszą agencję?

Angie nigdy nie traciła kontenansu.

– To było honorarium za możliwość korzystania z naszej wiedzy fachowej, panie senatorze. – Podniosła wzrok na zbliżającego się kelnera. – Ach, nasze drinki. Dziękuję.

Chętnie bym ją ucałował.

– Czy to jest także twój pogląd, Pat?

– W dużej mierze – odparłem, pociągając piwo.

– Aha, jeszcze jedno, Pat – dodał Mulkern, opierając się głębiej na siedzeniu, najwyraźniej szykując się do czegoś – czy kiedy jesteście razem, od mówienia jest zawsze ona? I, jak przypuszczam, od wszystkich innych obowiązków?

– Ona niespecjalnie lubi, gdy się o niej mówi w trzeciej osobie w jej obecności, panie senatorze – odezwała się Angie.

– Ile pan już dziś wypił, panie senatorze? – spytałem.

– Panowie, proszę. – Jim podniósł rękę.

Gdyby to był saloon na Dzikim Zachodzie, wokół nas zrobiłoby się już zupełnie pusto, a w ciszy słychać byłoby tylko tarcie drewna o drewno – głośnie szuranie odsuwanych krzeseł. Ale to był elegancki lokal w Bostonie, sobota po południu i Mulkern nie wyglądał na faceta, który by sobie dobrze radził z coltem. Za duży brzuch. Z drugiej strony w Bostonie rewolwer na ogół nie może się równać z podpisem złożonym w odpowiednim miejscu lub ze starannie wybraną potwarzą rzuconą celnie w odpowiedniej chwili.

Czarne oczy Mulkerna wpatrywały się we mnie spod ciężkich powiek. Był to wzrok węża, którego spokój został naruszony w jego własnym leżu, agresywnego pijaka rwącego się do bitki.

– Patricku Kenzie – powiedział i nachylił się ku mnie nad stolikiem. Opary burbona w jego oddechu mogłyby wzniecić pożar na stacji benzynowej. – Patricku Kenzie – powtórzył. – Teraz słuchaj uważnie. Ani mi się śni tolerować takie maniery u syna jednego z moich pachołków. Twój ojciec, mój drogi chłopcze, był tresowanym pieskiem, który tańczył, jak mu zagrałem. A ty nie masz w tym mieście żadnej innej szansy, tylko iść

w jego ślady. Ponieważ przybliżył się jeszcze bardziej i nagle pochwycił mnie za nadgarstek – jeśli pozwolisz sobie na brak szacunku wobec mnie, chłoptasiu, twój interes będzie miał mniejsze wzięcie niż mityng AA w Dzień Świętego Patryka. Jedno moje słowo, a będziesz skończony. A co do tej twojej przyjaciółeczki, to będzie miała większe zmartwienia niż podzielowane przez swojego pasożyta mężusia oczka.

Angie wyglądała, jakby była gotowa odgryźć mi głowę, ale ja położyłem wolną rękę na jej kolanie.

Potem cofnąłem ją, sięgnąłem do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjąłem ksero fotografii. Trzymałem ją z dala od Mulkerna i Vurnana, uśmiechając się nieznacznie, chyba raczej chłodno, i nie odrywając wzroku od senatora. Odchyliłem się lekko do tyłu, aby usunąć się z zasięgu rażenia jego cuchnącego oddechu i odpowiedziałem:

– Mój ojciec był jednym z pana pacholków, senatorze. Nie kwestionuję. Ale dla mnie, żywy czy martwy, może iść się gonić. Nienawidziłem skurwysyna, więc niech pan nie marnuje destylatu w wydychanym powietrzu na apele do moich sentymentów. Moja rodzina to Angie. Nie on. I nie pan. – Błyskawicznym ruchem wykręciłem nadgarstek i uwolniłem rękę. Zanim zdążył cofnąć swoją, ja zacisnąłem ją w mocnym uścisku. – I jeszcze jedno, panie senatorze. Jeśli jeszcze raz zagrozi pan podstawom mojego bytu, to – rzuciłem fotokopię na stolik – rozpiardolę panu życie jak granatem.

Jeśli nawet zauważył fotokopię, to nie dał po sobie nic poznać. Jego oczy wciąż utkwione były we mnie, tylko teraz mniejsze; po prostu punkciki skoncentrowanej nienawiści.

Spojrzałem na Angie i puściłem rękę Mulkerna.

– To tyle – powiedziałem i wstałem. Poklepałem Jima po ramieniu. – Miło było cię zobaczyć, jak zresztą zawsze, Jim.

– Cześć, Jim – dodała Angie.

I opuściliśmy stolik.

Gdybyśmy doszli do drzwi, najpóźniej od jesieni byłbym na zasiłku. Gdybyśmy doszli do drzwi, oznaczałoby to, że za naszą fotografią nie stoi nic prócz poczucia winy z powodu nieodpowiednich znajomości i że w rzeczywistości nie mają nic do ukrycia. Musiałbym się przenieść do Montany albo do Kansas, albo do Iowy, krótko mówiąc, do jednego z miejsc tak nudnych, że nikt tam sobie nie zadaje trudu, żeby zdobywać jakieś polityczne wpływy. Gdybyśmy doszli do drzwi, bylibyśmy w tym mieście skończeni.

– Pat, chłopcze.

Byliśmy niecałe trzy metry od wyjścia: moja wiara w człowieka została ocalona.

Angie ścisnęła mnie za rękę i odwróciliśmy się z minami, jakbyśmy już nie bardzo mieli czas.

– Proszę, chodźcie tu i usiądźcie – powiedział Jim.

Mulkern wyciągnął prawicę.

– O tej porze dnia robię się krzynekę głodny. Mam wtedy skłonność do żartów, które nie do wszystkich trafiają.

Przyjąłem ją.

– Tak to już jakoś jest.

Teraz wyciągnął rękę do Angie.

– Czy zechce pani przyjąć przeprosiny niesfornego staruszka?

– To już zapomniane, panie senatorze.

– Proszę mi mówić Sterling. – Uśmiechnął się ciepło

i poklepał ją po grzbiecie dłoni. Całym sobą zdawał się głosić zapewnienia o swojej szczerości.

Gdybym się w nocy porządnie nie wyrzygał, chyba byłibyśmy wszyscy w niebezpieczeństwie.

Jim postukał palcem w fotokopię i spojrzał na mnie.

– Skąd to masz?

– Jenna Angielina.

– To jest kopia.

– Tak jest, Jim.

– A oryginał? – spytał Mulkern.

– Jest u mnie.

– Pat – podjął Mulkern, uśmiechem utrzymując głos w ryzach – zatrudniliśmy cię w celu odzyskania dokumentów, nie ich fotokopii.

– Oryginał zachowam do czasu, gdy znajdę resztę.

– Dlaczego? – spytał Jim. Wskazałem pierwszą stronę gazety.

– Sprawa zrobiła się śmierdząca. Nie lubię śmierdzących spraw. Angie, czy ty lubisz śmierdzące sprawy?

– Nie lubię śmierdzących spraw – odparła Angie.

Spojrzałem na Vurnana i Mulkerna.

– Nie lubimy śmierdzących spraw. Zachowanie oryginału to nasz sposób na uchronienie się od smrodu, dopóki się nie przekonamy, co jest jego źródłem.

– Pat, chłopcze, czy możemy ci jakoś pomóc?

– Jasne. Powiedźcie mi o Paulsonie i Socii.

– Ze strony Briana to był niemądry brak dbałości o dyskrecję.

– Bardzo niemądry? – spytała Angie.

– Dla przeciętnego człowieka może nie aż tak bardzo. Ale dla osoby na świeczniku skrajnie niemądry. – Skinął na

Jima.

Jim splótł dłonie i złożył je na stoliku.

– Sześć lat temu senator Paulson pozwolił sobie na wieczór... nielegalnych przyjemności w towarzystwie jednej z prostytutek zatrudnianych przez pana Socie. W obecnych okolicznościach trudno ten epizod lekceważyć, ale ogólnie biorąc, rzecz raczej nie wykroczyła poza wino i kobiety.

– Z których żadna nie była panią Paulson – uzupełniła Angie.

Mulkern potrząsnął głową.

– To bez znaczenia. Ona jest żoną polityka i wie, czego się od niej w takiej sytuacji oczekuje. Nie, problem powstałby jedynie, gdyby jakaś dokumentacja dotycząca tego incydentu kiedykolwiek dostała się do wiadomości publicznej. Głos Briana, jakkolwiek cichy, ma obecnie ogromny wydźwięk w dyskusji nad ustawą o terroryzmie ulicznym. Informacja o jakichkolwiek jego powiązaniach z... ludźmi w rodzaju pana Socii mogłaby nam bardzo zaszkodzić.

Miałem ochotę zapytać, jak cichy głos może mieć ogromny wydźwięk, ale obawiałem się, że zdradzę w ten sposób brak wyczucia politycznego. Zamiast tego spytałem więc:

– Jak Socia ma na imię?

– Marion – powiedział Jim. Mulkern rzucił mu ukośne spojrzenie.

– Marion – powtórzyłem. – A skąd się w tej sprawie wzięła Jenna? Jak weszła w posiadanie tych fotografii?

Jim, zanim odpowiedział, popatrzył na Mulkerna. Telepatia polityków.

– Według naszych przypuszczeń Socia przysłał

Brianowi fotografie, próbując w ten sposób wyrzucić na niego jakiś nacisk. Brian, jak można sobie wyobrazić, mocno się wtedy upił. Zasnął w fotelu, ze zdjęciami na biurku. Jenna przyszła posprzątać i zapewne...

– Chwila – przerwała Angie. – Chcecie powiedzieć, że widok fotek Paulsona z dziwką wzbudził w niej taką odrazę moralną, że je zabrała? Wiedząc, że jeśli to zrobi, jej życie nie będzie warte złamanego grosza?

Ton jej głosu mówił, że wierzyła w to jeszcze mniej niż ja.

Jim wzruszył ramionami.

– Z takimi nigdy nic nie wiadomo – powiedział Mulkern. – W takim razie dlaczego Socia kazał ją zabić? Nie wydaje mi się, żeby upublicznienie zdjęć Paulsona z jakąś dziwką mogło akurat jemu specjalnie zaszkodzić.

Znałem odpowiedź Mulkerna, zanim ją wyartykułował, i sam się sobie dziwiłem, że w ogóle zadałem to pytanie.

– Z takimi nigdy nic nie wiadomo – powtórzył.

Reszta dnia to już było małe piwo.

Wróciliśmy do biura. Zacząłem flirtować z Angie, a ona kazała mi się odchrzanić, telefon milczał i jakoś nikt nie zajrzał do naszej dzwonnicy. Zamówiliśmy pizzę, wypiliśmy kilka browarów i ciągle myślałem o tym, jak wyglądała, kiedy wierciła się w tej spódnicy na tylnym siedzeniu taksówki. Ona przyglądała mi się od czasu do czasu, zgadywała, o czym myślę, i nazywała mnie zbokiem. Co prawda raz akurat moje myśli krążyły wokół zupełnie niewinnego tematu mojego telefonicznego planu taryfowego, ale było tyle innych razy, których nie zauważyła, że rachunek, można powiedzieć, został wyrównany.

Angie zawsze miała coś w rodzaju obsesyjnego przywiązania do okna przy swoim biurku. Pół dnia spędza, wyglądając przez nie, przygryzając dolną wargę albo postukując ołówkiem o zęby, zanurzona we własnym świecie. Ale dzisiaj zachowywała się, jakby tam za oknem wyświetlano widoczny tylko dla niej film. Większość jej odpowiedzi na moje uwagi zaczynała się od „Co?” i miałem uczucie, że jest wręcz na innej półkuli. Uznałem, że ma to zapewne jakiś związek ze Skurwielem, więc dałem jej spokój.

Mój pistolet wciąż jeszcze spoczywał w komisariacie. Nie miałem zamiaru pętać się po mieście, gdzie czekają na mnie saints, uzbrojony tylko we fiuta i optymistyczne nastawienie. Potrzebowałem jakiegoś gnata, ale kompletnie dziewiczego – nasze prawo jest bardzo zasadnicze w kwestii niezarejestrowanej broni palnej. Angie też musiała coś mieć, na wypadek gdybyśmy wpadli razem,

więc odszukałem Bubbę Rogowskiego i zamówiłem u niego dwie czyste sztuki. Nie ma problemu, powiedział, będę je miał na piątą. Jakbym zamówił pizzę.

Potem zadzwoniłem do Devina Amronklina. Devin należy do utworzonej przez burmistrza nowej grupy specjalnej zwalczającej przestępczość zorganizowaną. Jest niski i masywny. Próba wyrządzenia mu fizycznej krzywdy może go co najwyżej rozzłościć. Ma na ciele blizny długości słupków kilometrowych, ale to naprawdę super gość i fajnie jest mieć go u boku, o ile akurat nie jesteś na koktajlu w Beacon Hill.

– Chętnie bym pogadał – powiedział – ale mam kurewsko dużo roboty. Przyjdź jutro na pogrzeb. Bez względu na to, co ci powiedział ten palant Ferry, za Curtisa Kulaska zarobiłeś ładnych kilka punktów.

Rozłączyłem się i poczułem, jak w mojej piersi rozlewa się fala ciepła, taka, jaką daje mocny trunek w zimną noc, zanim jeszcze poczuje się gorzkość. Mając za sobą Devina i Bubbę, byłem bezpieczny jak kondom na zlocie eunuchów. Ale po chwili uprzytomniłem sobie, jak zawsze to sobie w końcu uprzytamniam, że jeśli ktoś chce cię zabić, naprawdę chce cię zabić, to nic prócz kaprysu losu nie może cię ocalić. Nie Bóg, nie armia, a już na pewno nie ty sam. Mogłem tylko żywić nadzieję, że moi wrogowie są głupi albo mają niesłychanie krótką pamięć. Tylko to mogło stanąć między mną a grobem.

Spojrzałem na Angie.

– No i co, boska?

– Co?

– Spytałem „no i co, boska”.

Stuk, stuk, stuk, odezwał się ołówek. Angie skrzyżowała nogi na parapecie i lekko skrzyła krzesło

w moją stronę.

– Hej – powiedziała. – Co?

– Skończ z tym. Dobrze?

– Z czym?

Zwróciła się do mnie głową, spojrzała mi w oczy.

– Z tą „boską”. Skończ z tym. Chociaż teraz.

– O rany, mamuśka... – powiedziałem.

Krzesło obróciło się o trzysta sześćdziesiąt stopni. Zdjęła nogi z parapetu i zwróciła się do mnie twarzą w twarz.

– I z tym też, psiakrew. Z tym „o rany, mamuśka”, jakbyś był jakimś niewiniątkiem. Nie jesteś niewiniątkiem.

– Znowu na chwilę wyjrzała przez okno, a potem przeniosła wzrok na mnie. – Czasem też potrafisz być niezłym skurwielem, wiesz, Patrick?

Odstawiłem piwo na brzeg biurka.

– Co cię napadło?

– Ano, coś napadło. Jasne? Nie jest mi łatwo... nie jest mi... przychodzę tu codziennie z mojego pierdolonego... domu i chcę tylko... Boże! I muszę... i muszę znosić to, że nazywasz mnie „boską” i przystawiasz się do mnie, jakby to już był dla ciebie jakiś cholerny odruch, i to, że patrzysz na mnie w taki sposób, i... i po prostu chcę... żeby to się skończyło. – Gwałtownie potarła sobie twarz i z głuchym jękiem przeciągnęła dłońmi po włosach.

– Angie...

– Nie chcę słyszeć żadnego „Angie”, Patrick. Przestań. – Kopnęła dolną szufladę swojego biurka. – Między takimi facetami jak ten tłusty kutafon Sterling Mulkern, Phil i ty już sama nie wiem...

Miałem wrażenie, że w gardle utkwiała mi gula wielkości pudła, ale udało mi się wykrztusić:

– Czego nie wiesz?

– Niczego! – Ukryła twarz w dłoniach i za chwilę znowu ją podniosła. – W ogóle nic już nie wiem. – Wstała tak gwałtownie, że krzesło wykonało pełny obrót wokół własnej osi, i ruszyła do drzwi. – I rzygać mi się chce od tych zasranych pytań.

Wyszła.

Stukot jej obcasów odbijał się od schodów jak kule rykoszetujące w górę i wracające do mnie przez drzwi. Czulem tępy ból w oczodołach, jakbym tam miał tarkę.

Stukot obcasów umilkł. Wyjrzałem przez okno, ale na dworze jej nie było. Obdrapany beżowy dach jej samochodu pobłyskiwał słabo w świetle latarni ulicznej.

Przeskakując po trzy schodki naraz, pognałem wąską klatką schodową ostro skręcającą przede mną w czarną przepaść. Stała może półtora metra za ostatnim stopniem oparta o konfesjonał. Z ust sterczał jej zapalony papieros. Gdy wyłaniałem się zza zakrętu, właśnie chowała do torebki zapalniczkę.

Stanąłem jak wryty i czekałem.

– No co? – spytała.

– Właśnie, co?

– Cóż za inteligentna dyskusja. Na pewno zdołamy ustalić, kto ma rację.

– Proszę cię, Angie, odpuść sobie. Spadło to na mnie jak grom z jasnego nieba. – Wziąłem głęboki wdech pod baczny wzrokiem jej nieprzeniknionych oczu, wzrokiem, który mówił, że rękawica została rzucona i żebym lepiej szybko się zorientował, co chcę z tym zrobić. – Wiem, co jest nie w porządku z Mulkernem, Philem, ze mną. Tak się składa, że masz wokół siebie masę popierdolonych facetów...

– ...chłopców – poprawiła.

– Zgoda. Masę popierdolonych chłopców. Ale CO SIĘ STAŁO, Angie?

Wzruszyła ramionami, strzepnęła popiół na marmur.

– Powinnam się za to smażyć w piekle.

Czekałem.

– Wszystko, Patrick. Wszystko. Kiedy pomyślałam, że wczoraj omal nie zginąłeś, zaczęłam myśleć także o wielu innych rzeczach. I zobaczyłam... Jezu Chryste, to ma być moje życie? Phil? Dorchester? – Dłonią omiotła wnętrze kościoła. – To? Przychodzę do pracy, opędzam się od ciebie, ty masz zabawę, ja wracam do domu, raz czy dwa w miesiącu dostaję wycisk, idę do łóżka z tym skurwysynem nieraz jeszcze tej samej nocy i... to już wszystko? To jestem ja?

– Nie jest powiedziane, że musi tak być.

– Och, świetnie, Patrick, w takim razie zostanę neurochirurgiem.

– Mógłbym...

– Nie. – Upuściła papierosa na marmurową posadzkę i rozgniotła nogą. – Dla ciebie to gra. „Ciekawe, jaka jest w łóżku”. Jak już wiesz, idziesz dalej. A mnie chodzi o moje życie. To nie gra.

Skinąłem głową.

Uśmiechnęła się z odcieniem żalu i w tej odrobinie światła, która przeświecała przez zielone szkło witrażowe po mojej prawej stronie, zobaczyłem, że ma mokre oczy.

– Pamiętasz, jak to było kiedyś? – spytała.

Znowu pokiwałem głową. Mówiła o dawnych czasach, gdy nie było jeszcze żadnych ograniczeń. Czasach, kiedy ten lokal był miejscem nieco podejrzanym, nieco melancholijnie romantycznym, a nie zwykłą codziennością.

– Kto by pomyślał, no nie? – westchnęła. – W sumie to dosyć śmieszne.

– Nie – powiedziałem.

Bubba nie zjawił się tego wieczoru w moim biurze. Typowe.

Przyszedł do mnie do domu następnego dnia rano, kiedy wybierałem ubranie na pogrzeb Jenny. Usiadł na moim łóżku i patrzył, jak męcę się z krawatem.

– Wyglądasz w tym krawacie jak ciota – powiedział.

– A co, nie wiedziałeś? – Posłałem mu pocałunek. Bubba odsunął się o pół metra.

– Kurwa, tylko bez takich żartów, Kenzie.

Przez chwilę miałem pokusę podrażnić się z nim, przekonać się, na ile mogę sobie pozwolić. Ale drażnienie się z Bubbą to dobry sposób, by się przekonać, czy się umie latać, więc zająłem się z powrotem moim krawatem.

Bubba to w obecnych czasach zupełny anachronizm. Nienawidzi wszystkiego i wszystkich oprócz Angie i mnie, ale w przeciwieństwie do większości ludzi o podobnych skłonnościach nie traci czasu na rozmyślanie o tym. Nie pisze listów do redakcji ani maili do prezydenta, nie organizuje grup ani marszów przeciwko, nie uważa też swojej nienawiści za nic innego niż jeden z absolutnie naturalnych aspektów rzeczywistości, coś tak zwyczajnego jak oddychanie czy miarka do alkoholu. Ma tyle samoświadomości co gaźnik, a inni obchodzą go jeszcze mniej – chyba że wejdą mu w drogę. Bubba to sto dziewięćdziesiąt dwa centymetry, sto kilogramów żywej adrenaliny i czystej agresji. I zastrzeliliby każdego, kto by na mnie krzywo spojrział.

Wolę nie zastanawiać się nad tą lojalnością zbyt głęboko, a Bubbie to nie przeszkadza. Co do Angie, cóż, Bubba zagroził kiedyś, że powyrywa Philowi wszystkie

członki i przytwierdzi je z powrotem – tyłem do przodu – ale mu to wyperswadowaliśmy. Obiecaliśmy mu jednak, a prawdę powiedziawszy, przysięgliśmy na Boga, że kiedyś zajmiemy się tą sprawą, a przedtem zadzwonimy po niego. Ugiął się. Co prawda wyzwiał nas od złamasów i pojebów i obrzucił wszelkimi obelgami, jakie człowiek jest w stanie wymyślić, ale przynajmniej nie wisi nad nami wyrok za spisek przestępczy w celu dokonania morderstwa pierwszego stopnia.

Świat według Bubby jest prosty – jeśli coś cię wkurza, zlikwiduj to. Przy użyciu wszelkich potrzebnych środków.

Sięgnął pod połą dzinsowego trencza i rzucił na moje łóżko dwa pistolety.

– Przepraszam za spóźnienie.

– Nic nie szkodzi.

– Mam też rakiety, które mogłyby ci się przydać. Zbadałem prawidłowość węzła na krawacie, starając się oddychać miarowo.

– Rakiety?

– Jasne. Kilka stingerów od razu zrobiłoby porządek z tymi kolesiami.

– Ale, Bubba – zacząłem bardzo ostrożnie. – Czy przy okazji nie poszłoby, no wiesz, jeszcze z pół dzielnicy?

Zastanowił się.

– O co ci chodzi? – Splótł dłonie za głową i oparł się o ścianę. – To co, chcesz czy nie?

– Może później. Skinął głową.

– Dobra.

Sięgnął pod płaszcz. Spodziewałem się, że wyciągnie karabin przeciwpancerny albo obosieczny miecz. Ale on rzucił na łóżko jeszcze cztery granaty.

– Na wszelki wypadek – powiedział.

– Tak – odparłem tonem pełnym zrozumienia. – To się chyba rzeczywiście może przydać.

– Żebyś, kurwa, wiedział. – Wstał. – Wisisz mi tylko za pistolety, dobra?

Pochwyciłem jego spojrzenie w lustrze i przytaknąłem.

– Mogę ci zapłacić po południu, jeśli ci się spieszy.

– Nie. Wiem, gdzie mieszkasz. – Uśmiechnął się. Słynny uśmiech Bubby, który jeszcze przez wiele miesięcy sni się człowiekowi po nocach. – Gdybyś czegoś potrzebował, dzwoń w dzień czy w nocy. – Przystanął w progu. – Zrobimy niedługo jakieś piwo?

– Och – odparłem. – Koniecznie.

– Załatwione. – Pomachał mi ręką i wyszedł.

Czułem się – jak zwykle po wyjściu Bubby – jakbym tylko cudem ocalał przed eksplozją.

Skończyłem wiązać krawat i podszedłem do łóżka. Między granatami leżały dwa pistolety: smith kalibru trzydzieści osiem i niklowany dziewięćmilimetrowy brauning. Włożyłem marynarkę i wsunąłem brauning do kabury. Trzydziestkęósemkę wrzuciłem do kieszeni. Przyjrzałem się swojemu odbiciu. Opuchlizna z twarzy już zeszła i wargi też się goiły. Krwiak wokół oka zrobił się żółty, a zadrapania na twarzy zaczynały różowieć. Może nie przypominałem jeszcze księcia z bajki, ale też nie mógłbym już wystartować w konkursie na Człowieka Słonia. Mogłem pokazać się publicznie bez obawy, że ludzie będą mnie wytykali palcami i chichotali. A jeśli nawet, to byłem porządnie wyekwipowany; gdy ktoś zacznie się śmiać, po prostu go zastrzele.

Przyjrzałem się granatom. Nie miałem pojęcia, co z nimi zrobić. Odczuwałem coś w rodzaju obawy, że gdy wyjdę z domu, sturlają się z łóżka i wysadzą budynek

w powietrzu. Pozbierałem je ostrożnie i włożyłem do lodówki. Ten, kto zechce się włamać po moje piwo, od razu zrozumie, że ze mną nie ma żartów.

*

Kiedy podjechałem, Angie siedziała na schodkach. Miała na sobie białą bluzkę i czarne spodnie zwężane ku dołowi. Wyglądała oczywiście jak księżniczka z bajki, ale zachowałem tę refleksję dla siebie.

Wsiadła. Dłuższą chwilę jechaliśmy w milczeniu. Specjalnie włączyłem taśmę Screaminga Jaya Hawkinsa, ale nawet nie mrugnęła okiem, choć kazać jej słuchać jego muzyki to sprawić jej mniej więcej taką samą frajdę, jak gdyby nazwać laską. Palila papierosa i podziwiała widoki Dorchester, jakby się tu świeżo przeprowadziła.

Kaseta skończyła się, gdy dotarliśmy do Mattapan.

– Ten Screaming Jay jest taki świetny, że chętnie posłucham go jeszcze raz. Cholera, właściwie mógłbym wyrwać wyłącznik i słuchać go w nieskończoność.

Była zajęta odgryzaniem odstającej skórki przy paznokciu.

Wyłączyłem Screaminga Jaya i zastąpiłem go U2. Ta taśma zwykle porusza Angie z posad, tak że zaczyna kołysać się do taktu. Ale dziś mógłby to równie dobrze być Tom Jones; siedziała nieruchomo, jakby ktoś wsypał jej litu do kawy.

Byliśmy już na Jamaica Plain Parkway i chłopcy z Dublina zaczęli *Sunday Boody Sunday*, gdy Angie przemówiła.

– Próbuje uporządkować pewne sprawy. Potrzebuję trochę czasu.

– W porządku.

Poprawiła się na siedzeniu, założyła sobie za uszy rozwiane wiatrem włosy.

– Po prostu daj sobie na jakiś czas spokój z „boską”, zaproszeniami pod prysznic i tak dalej.

– Niełatwo pozbyć się starych nawyków.

– Ja nie jestem nawykiem.

– Racja. – Pokiwałem głową. – Może chcesz zrobić sobie przerwę?

– W żadnym razie. – Założyła nogę na nogę. – Uwielbiam tę robotę. Muszę tylko uporządkować różne sprawy i potrzebuję od ciebie pomocy, Patrick, a nie podrywu.

Wyciągnąłem do niej rękę.

– Masz ją jak w banku. – O mały włos nie dodałem „boska”, ale Bogu dzięki powstrzymałem się. Mama Kenzie może wychowała przygłupa, ale nie samobójcę.

Przyjęła moją dłoń i uścisnęła.

– Bubba się znalazł?

– Mhm. Przyniósł ci prezent.

Sięgnąłem do kieszeni i podałem jej trzydziestkęosemkę. Zważyła ją w dłoni.

– Bywa czasem naprawdę uczuciowy.

– Oferował mi stingery na wypadek, gdybyśmy planowali w najbliższym czasie jakiś przewrót.

– Słyszałam, że w Kostaryce są fajne plaże.

– No to Kostaryka. Znasz hiszpański?

– Myślałam, że ty znasz.

– Oblałem go dwa razy. To nie to samo.

– Ale znasz łącinę.

– Dobra, to zrobimy przewrót w starożytnym Rzymie. Po naszej lewej stronie wyłonił się cmentarz.

– Chryste Panie! – powiedziała Angie.

Spojrzałem, zjeżdżając z głównej drogi. Spodziewaliśmy się pogrzebu, jaki zazwyczaj miewają sprzątaczkę – oczko wyżej niż bezdomni. – Tymczasem tu roilo się od samochodów. Kupa zwykłych mocno sfatygowanych miejskich fur, czarne bmw, srebrny mercedes, maserati, kilka rx 7, a wreszcie szwadron wozów policyjnych. Miejsce pochówku było obstawione kordonem.

– Jesteś pewien, że to tutaj? – spytała Angie.

Wzruszyłem ramionami i kompletnie ogłupiały zaparkowałem na brzegu trawnika. Wysiedliśmy i ruszyliśmy na przelaj, przystając kilka razy, gdy obcas Angie zapadał się w miękką ziemię.

Baryton pastora wzywał naszego Pana, by przyjął duszę swej córki, Jenny Angieline, do swego Królestwa Niebieskiego z miłością, jaką ojciec darzy swe duchowe dzieci. Głowę miał opuszczoną i wzrok skupiony na trumnie ustawionej na mosiężnych prowadnicach nad prostokątem głębokiej czerni. Był jedyną osobą, która na nią patrzyła. Wszyscy inni patrzyli na siebie nawzajem.

Grupie po południowej stronie trumny przewodził Marion *Soda*. Był wyższy, niż się wydawał na zdjęciu, i miał krótsze włosy, mocno skręcone wokół dziwnie dużej głowy. Był też szczuplejszy – chudością płynącą z nadmiaru adrenaliny. Jego smukłe dłonie, opuszczone po bokach, nieustannie drgały, jakby chwytały za cyngiel. Miał na sobie czarny garnitur, białą koszulę i czarny krawat – wszystko proste, ale z drogiego materiału, chyba jedwabne.

Chłopcy stojący za nim byli ubrani dokładnie tak samo, choć garnitury traciły na jakości wprost proporcjonalnie do

odległości ich użytkowników od Socii. Było ich co najmniej czterdziestu, wszyscy wyprężeni jak struna; karny oddział za swoim przywódcą. Rzucająca się w oczy aura spartańskiej dyscypliny. Żaden poza Socia nie wyglądał na wiele więcej niż siedemnaście lat, a niektórzy wyglądali nawet, jakby nie mieli jeszcze za sobą pierwszej erekcji. Wszyscy wpatrywali się poza grób, w ślad za wzrokiem Socii. Ich oczy były nieruchome, wyprane z młodości, emocji, treści, puste, czujne i skupione.

Obiekt ich uwagi stał po drugiej stronie grobu, dokładnie naprzeciwko Socii. Czarny chłopak tego samego wzrostu, ale o wiele mocniej zbudowany, odznaczający się tą zdrową tężyzną, którą mężczyzna osiąga tylko do dwudziestego piątego roku życia. Miał na sobie czarny trenz i ciemnogramatową koszulę zapiętą pod szyję. Był bez krawata. Spodnie z kantem, grafitowe w jasnobłękitny rzucik. W lewym uchu miał złoty kolczyk, włosy na czubku głowy dość długie, opadające na czoło, a boki wystrzyżone tuż przy skórze, z wygolonymi symetrycznie kilkoma paskami. Z tyłu były równie krótkie i też z jakimś wygolonym wzorem. Z tej odległości nie mogłem powiedzieć, ale wyglądało to na kontur Afryki. Choć niebo nie było bardziej zachmurzone niż świeżo wydmuchana szklanka, w dłoni trzymał czarny parasol. Za nim stała druga armia: trzydziestu, wszyscy młodzi, w strojach na wpół formalnych, ale wszyscy bez krawatów.

Pierwszym białym, jakiego zobaczyliśmy, był Devin Amronklin. Stał dobre piętnaście metrów za drugą grupą. Rozmawiał z trzema innymi śledczymi. Oczy całej czwórki nieustannie wędrowały tam i z powrotem – między oboma gangami i glinami na drodze.

Oprócz nich wszystkich u stóp trumny dostrzegłem

jeszcze kilka niemłodych kobiet, dwóch mężczyzn w uniformach personelu sprzątającego parlament i Simone. Gdyśmy ją zauważyli, patrzyła prosto na nas i przez dobrą minutę nie odrywała wzroku, po czym przeniosła go na potężne wiązy otaczające teren cmentarza. Nic w jej spojrzeniu nie wskazywało na to, że po ceremonii podejdzie do mnie z zaproszeniem na herbatę i oczyszczającą dyskusję o problemach rasowych.

Angie ujęła mnie za rękę i podeszliśmy do Devina. Powitał nas krótkim skinieniem głowy, ale się nie odezwał.

Pastor skończył mowę i pochylił głowę po raz ostatni. Nikt nie poszedł w jego ślad. W ciszy, jaka tu panowała, było coś nienaturalnego, złowrogo fałszywego i ciężkiego. Najpierw przeciął ją gołąb, szary i tłusty, szybko bijąc niedużymi skrzydłami. Potem rześkie poranne powietrze rozerwał mechaniczny warkot, gdy trumna zaczęła pogrążyć się w czarnym prostokacie.

Obie grupy poruszyły się jednocześnie, zafalowały ku przodowi leciutko, jak młode drzewka pod pierwszym podmuchem burzy. Devin oparł rękę na biodrze i trzymał ją tuż, tuż przy pistolecie, trzej jego towarzysze podobnie. Powietrze na cmentarzu kotłowało się, jakby tworząc wir i zapadając się w jego wnętrze. Przepływał przez nas prąd elektryczny i czułem się, jakbym ścisnął w zębach folię aluminiową. Gdzieś w czarnej dziurze mechanizm zazgrzytał, ale trumna kontynuowała drogę w dół. Gdyby w tych kilku chwilach najbardziej wyostrzonego znieruchomienia, jakiego kiedykolwiek doświadczyłem, ktoś kichnął, to myślę, że resztę dnia wypełniłoby uprzętanie ciał z trawnika.

Naraz chłopak w trenczu zrobił krok w stronę grobu. Socia był o jedną milisekundę za nim, ale aby to sobie

skompensować, zrobił dwa kroki. Trench podjął wyzwanie i obaj równocześnie pomaszrowali nad brzeg mogiły w identycznej postawie, z majestatycznie wyprostowanymi nieruchomymi głowami.

– Spokój. Zachować spokój, wszyscy – wyszeptał rozkazująco Devin.

Trench pochylił się, przykucnął sztywno i ze stosu kwiatów u swoich stóp podniósł jedną białą lilię. Socia zrobił to samo. Spoglądając na siebie, obaj jednocześnie wyciągnęli ręce nad grobem. Białe lilie nawet nie zadrżały. Trwali tak z wyprostowanymi rękami i żaden nie wypuszczał kwiatu z dłoni. Tylko oni wiedzieli, jaki jest punkt końcowy tego sprawdzianu. Nie zauważyłem, kto pierwszy rozprostował palce, ale nagle obie lilie wpadły do grobu, jakby w tej samej sekundzie się poddały.

Obaj cofnęli się o dwa kroki.

Teraz przyszła kolej na żołnierzy. Każdy z nich aż po najniższego w hierarchii powtarzał gest Socii albo Trencha, zależnie od przynależności. Jeden po drugim w rekordowym tempie podnosili lilie i upuszczali je w ciemność, zaledwie znajdując jedną cenną chwilkę, by spojrzeć sobie w oczy i pokazać, jak bardzo się nie boją. Za moimi plecami policjanci znowu zaczęli oddychać.

Socia przesunął się do stóp grobu i stał tam ze złożonymi rękami, patrząc w nieokreśloną przestrzeń. Trench stał u szczytu. Nie odrywał dłoni od parasola, a oczu od Socii.

– Możemy teraz rozmawiać? – spytałem Devina. – Jasne – wzruszył ramionami.

- Devin, co się tu, do cholery, dzieje? – spytała Angie. Devin skrzywił się w uśmiechu tylko odrobinę chłodniejszym od czarnej dziury, w którą wszyscy wrzucali

lilie.

– To, co się tu dzieje – powiedział – to początek najbardziej krwawej fiesty w dziejach tego miasta. Pożar na Coconut Grove będzie przy niej wyglądał jak wycieczka do wesołego miasteczka.

Poczułem, że u podstawy kręgosłupa ulokowała mi się bryła lodu wielkości piłki bejsbolowej, a zza ucha spłynęła mi strużka chłodnego potu. Odwróciłem głowę, ominąłem wzrokiem grób i napotkałem spojrzenie Socii. Stał bez ruchu, w milczeniu, i patrzył prosto przeze mnie, jakby mnie tam w ogóle nie było.

– Nie wydaje mi się szczególnie przyjaźnie nastawiony – zauważyłem.

– Amputowałeś stopę jego ulubionemu oficerowi. Powiedziałbym, że jest wściekły jak jasna cholera – odparł Devin.

– Na tyle, żeby mnie zabić?

Chociaż nie było to proste, nadal wytrzymałem posępne spojrzenie mówiące, że praktycznie już nie istnieję.

– Och, bez wątpienia – potwierdził. Cały Devin. Serce na dłoni.

– Co powinienem zrobić?

– Sugerowałbym zakupienie biletu do TAngieru. I tak cię tam dopadnie, ale przynajmniej będziesz mógł powiedzieć, że zwiedziłeś świat. – Czubkiem buta rył gęstą, krótko przystrzyżoną trawę przed sobą. – Co prawda po mieście chodzą słuchy, że chce z tobą najpierw porozmawiać. Chyba myśli, że masz coś, co on chciałby mieć. – Podniósł nogę i ręką otrzepał but z trawy. – Jak sądzisz, Patrick, co to może być?

Wzruszyłem ramionami. Tamte oczy wciąż się we mnie

wpatrywały. Więcej empatii można by się dopatrzeć w zamarzniętym stawie.

– Jest w błędzie – powiedziałem.

– Nie będę się spierał. Ale dobrze strzela. Słyszałem, że lubi często pociągać za cyngiel, zadawać swoim ofiarom dużo powierzchownych ran. No wiesz, nie spieszy się. Strzela w łeb dopiero jakieś pół godziny po tym, jak zaczynają o to błagać. Ludzki gość ten nasz Socia. – Zaplótł przed sobą ręce i zaczął strzelać palcami. – No więc jak, Patrick, dlaczego on myśli, że masz coś, co on chciałby mieć?

Angie uściśnęła mnie za rękę, a drugą wsunęła mi pod ramię. Ogarnęło mnie ciepłe, odrobinę słodko-gorzkie uczucie.

– Kim jest ten koleś z parasolem?

– Sądziłem, że jesteście detektywami – odparł Devin.

Teraz odwrócił się także Trencz. Jego wzrok, wędrując za wzrokiem Socii, natrafił na mnie. Czuję się jak płotka w basenie pełnym rekinów.

– Nie, Devin, jeszcze studiujemy. No to powiedz nam, kim jest ten koleś z parasolem.

Znowu strzelił palcami i westchnął swobodnie i beztrąsko, jakby właśnie leżał w hamaku i pił piwo.

– To syn Jenny.

– Syn Jenny? – powtórzyłem.

– Czyżbym niewyraźnie mówił? Syn Jenny. Przywódca Aniel Avengers.

Aniel Avenue biegnie przez serce czarnego Dorchester. Nie jest to miejsce, w którym człowiek zatrzymuje się nawet na czerwonych światłach. Nawet w biały dzień.

– On też ma na mnie chrapkę?

– Nic mi o tym nie wiadomo.
– Czy Socia jest jego ojcem? – spytała Angie.
Devin popatrzył na nich, potem na nas. Pokiwał głową.
– Ale wydaje mi się, że to chyba matka dała mu na imię
Roland.

– Wściekły dzieciak z tego naszego Rolanda – mówił Devin. Upiłem łyk kawy.

– Nie wygląda mi na dzieciaka.

Devin połknął kawał pączka, sięgnął po swoją kawę. – Ma szesnaście lat.

– Szesnaście? – zdumiała się Angie.

– Skończył szesnaście – uzupełnił Devin. – Miesiąć temu.

Wyobraziłem go sobie tak, jak go widziałem na małym pagórku nad grobem matki; wysokie, muskularne ciało, sposób bycia młodego generała, parasol w rękę. Wyglądał, jakby dobrze znał swoje miejsce w świecie – na czele, z totumfackimi za plecami.

Kiedy ja miałem szesnaście lat, znałem co najwyżej moje miejsce w kolejce do szkolnej stołówki.

– Jakim cudem szesnastoletni chłopak rządzi taką siatką jak Avengersi?

– No właśnie – odparł Devin, wzruszając ramionami. – Ale to bystry chłopak, ten Roland. No i ma jaja jak koła ciężarówki. To się liczy, jeśli ktoś chce dowodzić gangiem.

– A Socia? – spytała Angie.

– Powiem wam coś o Rolandzie i jego tatusiu, Marionie. Według powszechnej opinii jedyną w tym mieście siłą natury, która może być bardziej niszczycielska niż Roland, jest jego tata. Przesiedziałem z Marionem siedem godzin w zimnym pokoju przesłuchań i wierzcie mi: facet ma przepaść w miejscu, gdzie powinno być serce.

– A teraz on i Roland zamierzają wziąć się za łby?

– Na to wygląda. Nie są wzorem rodzinnej miłości, to pewne. Daję wam słowo, w tym, że Roland chodzi

i oddycha, nie ma żadnej zasługi jego staruszka. Socia jest pozbawiony normalnych ojcowskich instynktów. Avengersi byli kiedyś dla saintsów czymś w rodzaju bratniej organizacji. Ale jakieś trzy miesiące temu Roland to wszystko zmienił, oderwał się od gangu papy. Socia próbował go załatwić przynajmniej cztery razy, a dzieciak jakoś uparcie nie chce umrzeć. W ostatnich miesiącach na Mattapan i w Bury pojawiło się sporo ciał, ale żadne nie należało do Rolanda.

– Ale prędzej czy później... – powiedziała Angie. Devin skinął głową.

– Ktoś będzie musiał przegrać. Roland nienawidzi swojego starego z dziwną zaciekłością. Nikt nie wie za co właściwie. Chociaż teraz, kiedy Jenna nie żyje, nie potrzeba mu lepszej motywacji, no nie?

– Byli blisko? – spytałem.

Devin wzruszył ramionami, przyglądając się swoim wielkim łapskom na stoliku.

– Nie wiem. Kiedy siedział w poprawczaku w Wildwood, często go odwiedzała. Niektórzy mówią, że on też wpadał do niej od czasu do czasu, zostawiał jej trochę kasy. Ale naprawdę trudno powiedzieć; Roland ma w sobie tyle samo miłości co jego ojciec.

– Ekstra – powiedziałem. – Dwie maszyny pozbawione uczuć.

– Och, mają w sobie mnóstwo uczuć – odparł Devin. – Tylko że wyłącznie nienawistnych. – Pochwycił spojrzenie kelnerki. – Jeszcze kawę.

Siedzieliśmy w Dunkin Donuts na Morton Street. Za oknem, na zewnątrz kilku facetów podawało sobie butelkę w brązowej papierowej torbie, niesieni strumieniem alkoholu, przepływali z niedzieli w poniedziałek. Po

drugiej stronie ulicy grasowała grupka punków. Ich oczy błędziły po okolicy, coraz któryś walił pięścią w pięść drugiego. Byli tak nakręceny nienawiścią i bólem, że mogliby się zapalić od najmniejszej iskry. Nieco dalej młoda dziewczyna z wózkiem dziecięcym zjechała z chodnika i zaczęła przechodzić na drugą stronę ulicy, w nadziei, że jej nie zauważą.

– Fatalna sprawa z tą Jenną – podjął Devin. – To nie fair, że taka kobieta łąduje między takimi dwoma bezlitosnymi mordercami jak Socia i Roland. Kurde, przecież najgorsze, czego się w życiu dopuściła, to parkowanie bez opłaty. A kto w tym mieście tego nie robi? – Zanurzył drugiego pączka w trzeciej kawie. Mówił bezbarwnym głosem, jakby ktoś w kółko naciskał jeden i ten sam klawisz pianina. – Fatalna. – Spojrzał na nas. – Wczoraj otworzyliśmy jej sejf bankowy.

Celowo bez pośpiechu spytałem:

– No i?

– Nic – odparł, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Jedna obligacja rządowa i biżuteria niewarta nawet opłaty za jego wynajęcie.

Z zewnątrz dał się słyszeć stłumiony huk i cała cukiernia zadrżała. Wyrząłem przez okno i zobaczyłem tę samą grupę punków. Jeden z nich wlepił oczy we wnętrze lokalu. Żył na twarzy miał nabrzmiałe jak powrozy, a jego twarz wyglądała jak maska wojownika. Napotkawszy nasz wzrok, jeszcze raz wałnął pięścią w szybę. Kilka osób skuliło się, ale szkło nie pękło. Jego kumple się śmiali, on nie. Czerwone oczy płonęły mu z wściekłości. Znów grzmotnął w szybę, ludzie kulili się coraz bardziej, a potem tamci go odciągnęli. Kiedy dochodzili do rogu ulicy, też już się śmiał. Co za uroczy świat.

– Nikt nie wie, dlaczego Roland jest tak wkurwiony na Socie? – spytałem.

– Czy to ważne? Ty też nie byłeś szczególnie przywiązany do swojego starego, co, Kenzie?

Potrząsałem głową.

Wycelował palec w Angie.

– A ty?

– Z ojcem się dogadywałam. Jeśli był w domu. Co innego z matką.

– Ja nienawidziłem swojego starego – powiedział Devin. – Z każdej godziny mojego życia rodzinnego robił sobotę w knajpie. Zanim dorosłem, dostałem od niego taki wycisk, że poprzysiągłem sobie, że już do końca życia nikomu się nie dam, nawet gdybym miał przez to młodo zginać. Może z Rolandem było tak samo. Jego papiery z poprawczaka to jedna długa kronika walki z autorytetami, począwszy od piątej klasy, kiedy to rozłupał głowę nauczycielowi na zastępstwie. Odgryzł mu też kawałek ucha.

Piąta klasa. Jezu.

– Wykończył też pokazną grupę pracowników socjalnych, że już nie wspomnę o kolejnym nauczycielu – kontynuował Devin. – Kopnął w głowę policjanta, który przyjechał zabrać go do poprawczaka – przez przednią szybę policyjnego wozu. Złamał nos lekarzowi w izbie przyjęć, i to z kulą w okolicy kręgosłupa. Jak się nad tym zastanowić, wszystko, co pobudza go do buntu, jest rodzaju męskiego. Nie uznaje też żadnej władzy uosabianej przez kobiety, ale nie jest wobec nich agresywny, po prostu je ignoruje.

– A Socia?

– Co Socia?

– Kim jest, to znaczy wiem, że stoi na czele saintsów, ale poza tym.

– Marion to gość, który umie złapać okazję. Jeszcze dziesięć lat temu był po prostu drobnym alfonsem. Wyjątkowo podłym drobnym alfonsem, ale kiedy się wystukało na klawiaturze jego nazwisko, komputer się nie zawieszał.

– A potem?

Potem przyszedł crack. Socia wyczuł, co to znaczy, na długo przed tym, zanim to słowo trafiło na okładkę „Newsweeka”. Zabił mrówkę jednego z syndykatów z Jamajki i przejął jego teren. Wszystkim nam się zdawało, że po czymś takim pożyje jeszcze najwyżej tydzień, ale on poleciał do Kingston, pokazał szefowi, jakie ma jaja, rzucił mu wyzwanie i zanim się ktokolwiek obejrzał, wiadomo było, że w tym mieście w sprawie cracku należy się zwracać do Mariona Socii. To było dawno, na samym początku, ale nawet teraz, przy całej tej konkurencji, ciągle jest na szczycie. Ma armię szczeniaków gotowych bez namysłu oddać za niego życie i ma siatkę tak rozbudowaną, że moglibyśmy zgarnąć jednego z największych dostawców, a i tak od Socii dzieliłoby nas jeszcze czterech czy pięciu nie lada zderzaków.

Chwilę milczeliśmy, pijąc kawę.

– Jakim cudem Roland może mieć nadzieję, że pobije Socie? – spytała Angie.

Devin wzruszył ramionami.

– No właśnie. Ja sam mam w puli sto dolców na Socie.

– W puli? – spytałem.

Kiwnął głową.

– No pewnie. Obstawiamy w wydziałowym totku, kto wygra wojnę gangów. Za słabo mi płacą, więc szukam

dotatkowych korzyści, gdzie się da. Roland stoi teraz sześćdziesiąt do jednego.

– Na pogrzebie siły wyglądały na dość wyrównane – powiedziała Angie.

– Pozory mogą mylić. Roland jest twardy, sprytny i ma dobrą paczkę ludzi pracujących dla niego na Angiel Avenue. Ale to jednak nie ojciec. Jeszcze nie. Marion nie zna litości i ma dziewięć żywotów. Nie znajdziesz wśród saintsów ani jednego, który by go nie uważał za Szatana. Spieprzysz najmniejszy drobiazg w jego organizacji i nie żyjesz. Nie ma ucieczki. Nie ma kompromisu. Saints wierzą, że walczą w świętej wojnie.

– A avengersi?

– Och, oni też są oddani. Nie ma wątpliwości. Ale gdy zostaną przyparci do muru, gdy część zginie, wykruszą się. Roland przegra. Jak w banku. Za kilka lat to mogłoby potoczyć się inaczej, ale teraz jest jeszcze trochę za zielony. – Przyjrzał się swojej zimnej kawie i skrzywił się.
– Która godzina?

Angie spojrzała na zegarek.

– Jedenasta.

– Cholera, gdzieś na świecie już jest południe. Potrzebuję alkoholu. – Wstał, rzucił na stolik kilka monet.
– Chodźcie, dzieci.

Ja też wstałem.

– Dokąd?

– Tu za rogiem jest bar. Wypijmy, nim zacznie się wojna.

Bar okazał się mały, zatłoczony, a czarne płytki z PCW na podłodze śmierdziały stęchłym piwem, mokrą sadzą i potem. Był to jeden z częstych w naszym mieście

paradoksów: biały, irlandzki bar w czarnej dzielnicy. Jego klienci przychodzą tu od dziesiątków lat. Barykadują się w tym wnętrzu ze swoim piwem za dolara, jajkami w zalewie i zawsze takimi samymi reakcjami, udając, że na zewnątrz nic się nie zmienia. Piją tu robotnicy budowlani, którzy odkąd dostali legitymacje związkowe, pracują gdzieś tutaj, w promieniu nie większym niż dziesięć kilometrów, bo przecież w Bostonie zawsze się coś buduje; brygadziści z doków, z elektrowni, z Sears i Roebuck. O jedenastej rano poprawiali whisky po obniżonej cenie niemożliwie zimnym piwem i oglądali na wideo mecz Notre Dame – Colorado w finale uczelnianych rozgrywek futbolowych w Miami.

Gdy weszliśmy, przyjrzeni nam się na tyle uważnie, by ocenić kolor skóry, i powrócili do dyskusji. Jeden klęczał na ladzie baru, wskazując na ekran i licząc niektórych graczy.

– Proszę, mają ośmiu tylko w obronie. Ośmiu, kurwa. No i co mi teraz powiecie o Notre Dame?

Barman był starym wyjadaczem o twarzy tylko nieznacznie mniej naznaczonej bliznami niż Devin. Miała ten znudzony, nieprzenikniony wyraz właściwy człowiekowi, który wszystko już oczywiście słyszał i o większości spraw wyrobił sobie zdanie wiele lat temu. Na widok Devina podniósł znużoną brew.

– Czołem, sierżancie, co podać?

– Gównno, gównno, gównno, gównno – powtarzał ktoś przy telewizorze. – Policz ich jeszcze raz.

– Pierdolę. Sam sobie policz.

– Jaka jest istota tego wysoce intelektualnego dyskursu na tamtym końcu baru? – spytał Devin. Barman przetarł przed nami ladę.

– Roy, ten facet na barze, twierdzi, że Notre Dame to lepsza drużyna, bo ma mniej czarnuchów. Liczą ich, żeby rozstrzygnąć spór.

– Hej, Roy! – wrzasnął ktoś inny. – Pierdolony rozgrywający też jest czarny. Widać nie trzeba być białym, żeby być Irlandczykiem.

– Gdybym nie była przyzwyczajona, poczułabym się zażenowana – powiedziała Angie.

– Możemy ich wszystkich wystrzelać, może dostaniemy za to medale? – podsunął Devin.

– Szkoda kul – odparłem.

Barman czekał.

– Och, przepraszam, Tommy – powiedział Devin. – Trzy beczkowe i lufka.

Ktoś, kto nie znałby go tak dobrze, mógłby przypuścić, że zamówił to dla nas wszystkich. Ja nie dałem się zwieść.

– Jedno beczkowe.

– I dla mnie – dodała Angie.

Devin stuknął o nadgarstek świeżą paczką papierosów, po czym zdjął folię. Wyjął jednego, podsunął nam pudełko. Angie wzięła. Ja się oparłem. Jak zwykle cierpiąc katusze.

Na drugim końcu baru Roy, któremu spod przepoconej niebieskiej koszulki wylewało się blade, włochate brzuszysko, pukał paluchem w ekran szybciej, niż gdyby nadawał komunikat alfabetem Morse'a z tonącego statku.

– Jeden czarnuch, dwa, trzy, cztery, pięć... sześć, jeszcze jeden to siedem, osiem, dziewięć. Dziewięciu, jak Boga kocham. To się, kurwa, w pale nie mieści. Czarne lachy z Colorado!

Ktoś się zaśmiał. Ktoś się zawsze znajdzie.

– Jak tym palantom udaje się przeżyć w takiej dzielnicy? – spytałem.

Devin studiował słój z jajkami w zalewie.

– Mam na ten temat swoją teorię.

Tommy postawił przed nim trzy piwa, za nimi lufkę i poszedł po nasze kufle. Lufka zniknęła w gardle Devina, zanim zdążyłem zauważyć, by podnosił szklanekę. Zamknął w dłoni jeden z oszronionych kufli. Wychylił duszkiem połowę jego zawartości i dopiero wtedy przemówił ponownie:

– Zimne. Moja teoria jest taka. Z tego typu osobnikami masz dwie możliwości: albo musisz ich zabić, albo tolerować takich, jacy są, bo nigdy nie zdołasz zmienić ich sposobu myślenia. Przypuszczam, że ludzie z tej dzielnicy są po prostu zbyt zmęczeni życiem, żeby ich pozabijać.

Gładko wykończył resztę pierwszego piwa. Nie wypalił jeszcze nawet połowy papierosa, a dwóch z jego drinków już nie było.

Kiedy próbuję dotrzymać Devinowi kroku w barze, czuję się jak chevette z pękniętą oponą ścigająca porsche.

Tommy postawił po kuflu przed Angie i przede mną i wlał jeszcze jedną lufkę do szklanki Devina.

– Mój ojciec chodził kiedyś do tego baru – odezwała się Angie. Devin wchłonął drugą lufkę zapewne wtedy, gdy akurat zamrugalem.

– A czemu przestał?

– Bo umarł.

Devin skinął głową.

– No tak, to jest jakiś powód. Napoczął drugi kufel.

– Kenzie, a twój stary, strażak bohater, też był w takich miejscach?

– Nie, on pił w Vaughn's na Dot Avenue. To był jedyny bar, do którego chodził. Lubił powtarzać, że „mężczyzna, który nie dochowuje wiary swojemu barowi,

nie jest lepszy od kobiety”.

– Prawdziwy duchowy arystokrata – dorzuciła Angie.

– Nie znalazłem faceta – rzekł Devin. – Ale oczywiście widziałem zdjęcie. Wynieść dwoje dzieciaków z pożaru na dziesiątym piętrze... – Zagwizdał i wypił resztę drugiego piwa. – Coś ci powiem, Kenzie, gdybyś miał choć w połowie takie jaja jak twój stary, to może i mógłbyś to przeżyć.

Na drugim końcu baru buchnął śmiech. Roy celował palcem w ekran, powtarzając: „czarnuch, czarnuch, czarnuch, czarnuch, czarnuch, czarnuch, czarnuch”, i wciąż klęcząc, wykonywał rodzaj pijackiego tańca. Zaraz zaczęła opowiadać kawały o AIDS. Boki zrywać.

Myślałem o tym, co powiedział Devin.

– To wznuszące, że tak się mną przejmujesz.

Skrzywił się, ściągnął brwi i wlał sobie do gardła trzecie piwo. Odstawił kufel, otarł usta serwetką.

– Tommy – machnął ręką jak trener odsyłający zawodnika do szatni. Tommy pojawił się z jeszcze dwoma kufkami i nalał mu kolejną lufkę. Devin podniósł dłoń, wychylił lufkę i Tommy nalał mu jeszcze raz. Devin skinął głową i dopiero wtedy Tommy się oddalił.

Devin obrócił się na stoliku i spojrzał na mnie – Ja się przejmuję? – spytał. Jego chichot zabrzmiał cokolwiek cmentarnie. – Powiem ci, co z tego wynika, że człowiek się przejmuje. Nic. Przejmuję się na przykład, że tego lata w mieście popłynie rzeka krwi. Nie mam jak temu zapobiec. Przejmuję się tymi dzieciakami, których tyle ginie za trampki, czapkę i działkę najgorszej kokainy za pięć dolców. I zgadnij, co z tego wynika. Dalej giną. Przejmuję się, że takie kutafony jak ci tutaj – wycelował palec w drugi koniec baru – mają prawo wydawać na świat

i wychowywać następnych kutafonów tak samo głupich jak oni, ale to ich nie powstrzymuje od mnożenia się jak króliki. – Wychylił lufkę. Zaczynałem podejrzewać, że będę musiał odwiedzić go do domu. Oparł się na barze, prawym łokciem na lewej ręce, głębiej zaciągnął się papierosem. – Mam czterdzieści trzy lata – powiedział i Angie cichutko westchnęła. – Mam czterdzieści trzy lata – powtórzył – pistolet i znaczek, co wieczór odwiedzam tereny gangów i udaję, że coś robię, i choćbym nie wiem jak się przejmował, nie zmieni to faktu, że nic nie robię. Wyważam drzwi w norach, gdzie śmierdzi sprawami, z których na próżno usiłowałibyście coś zrozumieć. Wpadam, ludzie do mnie strzelają, dzieci płaczą, matki wrzeszczą, czasem ktoś trafia do pierdła, czasem ktoś ginie. A potem idę do domu, do mojego pieprzonego mieszkanka, zjadam coś z mikrofalówki i idę spać, bo zaraz muszę wstawać i robić od nowa to samo. Oto moje życie.

Podniosłem brwi i zerknąłem na Angie, a ona leciutko się uśmiechnęła. Oboje pomyśleliśmy o tym, co powiedziała poprzedniej nocy w kaplicy: „To ma być moje życie?”. Wygląda na to, że masa ludzi ostatnio przeprowadza inwentaryzację swojego życia. Sądząc po Devinie i Angie, nie wiem, czy to jest rozsądne.

Ktoś na drugim końcu baru rzucił:

– Ale popatrz, jak ten pieprzony czarnuch biega.

– Pewnie, że umie biegać, idioto – odparł Roy. – Odkąd skończył dwa lata, spierdala przed policją. Pewnie mu się zdaje, że to, co ma pod pachą, to skradzione radio, a nie piłka.

Grupa zaniosła się śmiechem. Dowcipnisie, jak Boga kocham.

Devin przyglądał im się teraz uważnie. Jego

pozbawione wyrazu oczy śledziły ich przez smużkę dymu z papierosa. Zaciągnął się, nie zwracając uwagi na gruby czubek popiołu, który oderwał się i spadł częściowo na ladę, częściowo na jego rękę. Wychylił resztę piwa, nie odrywając wzroku od tamtej grupki, i odniosłem wrażenie, że będziemy świadkami aktu zniszczenia mienia.

Rozgniół do połowy wypalonego papierosa i wstał. Wyciągnąłem rękę i zatrzymałem ją dziesięć centymetrów od jego piersi.

– Devin.

Odepchnął ją jak bramkę w metrze i ruszył na drugi koniec baru.

Angie, wiodąc za nim oczami, obróciła się na stołku.

– Poranek pełen wrażeń – zauważyła.

Devin dotarł do końca baru. Jeden po drugim mężczyźni wyczuli jego obecność i odwrócili się. Stał na lekko rozstawionych nogach mocno osadzonych na podłodze, z rękami luźno zwieszonymi po bokach. Dłońmi wykonywał małe okrężne ruchy.

– Sierżancie, proszę – powiedział Tommy. – Tylko nie w moim barze.

– Chodź no tu, Roy – rzekł Devin bardzo spokojnie.

Roy zlął z baru.

– Ja?

Devin skinął głową.

Roy wyszedł przed kumpli, naciągając koszulkę na brzuch. Gdy tylko ją puszczał, zwijała się znowu jak nieposłuszna roleta.

– Co jest? – spytał.

Ręka Devina wróciła na miejsce, zanim większość z nas zauważyła, że w ogóle jej użył. Głowa Roya odskoczyła do tyłu, a nogi załamały się i nagle leżał na

podłódze z rozwalonym nosem. Krew spływała mu po twarzy ciurkiem niczym ze źródelka.

Devin popatrzył na niego i lekko kopnął go w nogę.

– Roy. – Kopnął go jeszcze raz, mocniej. – Roy, mówię do ciebie.

Roy jęknął i chwycił się za głowę. Dłonie wypełniły mu się krwią.

– Mój kumpel czarnuch prosił, żeby ci to przekazać – rzekł Devin. – Mówił, że będziesz wiedział, o co chodzi.

Wrócił na nasz koniec baru i znów zajął swoje miejsce. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znikła zawartość kolejnego kufła. Zapalił nowego papierosa.

– No i jak myślicie? – spytał. – Czy Roy się przejął?

Wyszliśmy z baru mniej więcej po godzinie. Przyjaciele Roya już go zabrali, przypuszczalnie na oddział doraźnej pomocy szpitala miejskiego. Wlokąc go do drzwi, rzucali Angie i mnie groźne spojrzenia, ale unikali niewzruszonego wzroku Devina, jakby był antychrystem.

Jako zadośćuczynienie za poniesione straty Devin rzucił na bar dodatkową dwudziestkę.

– Ale z pana kutas, sierzancie – powiedział Tommy. – Będzie pan tu przychodził codziennie i wykladał kasę za tych, którzy już tu nie wrócą?

– Dobrze, dobrze, dobrze – wymamrotał Devin i chwiejnym pijackim krokiem powlókł się do drzwi.

Zrównaliśmy się z nim na ulicy.

– Zawiozę cię do domu, Dev – zaproponowałem.

Devin mozolnie posuwał się w kierunku parkingu przy Dunkin Donuts.

– Dzięki, Kenzie, ale muszę poćwiczyć.

– Dlaczego?

– Żebym wiedział, jak sobie radzić, gdyby znowu przyszło mi do głowy pić, kiedy jestem samochodem.

Odwrócił się i ruszył tyłem. Tylko czekałem, aż fiknie.

Dotarł do swojego zardzewiałego camaro i wyjął z kieszeni kluczyki.

– Devin – powiedziałem, robiąc krok ku niemu i wyciągając rękę.

Zacisnął pięść na mojej koszuli tak, że knykcie wpijały mi się w grdykę, i poprowadził mnie parę kroków w tył, a w jego oczach tańczyły upiory.

– Kenzie, Kenzie – powiedział i pchnął mnie na samochód. Drugą ręką poklepał mnie lekko po policzku.

Dłonie miał duże. Jak steki, tylko że z palcami. Kenzie – powtórzył. Wzrok mu stwardniał. Powoli pokręcił głową. – Jadę sam. Rozumiesz? – Puścił mój kołnierzyk i wygładził zagniecenia na koszuli. Posłał mi uśmiech bez prawdziwego uśmiechu. – W porządku z ciebie facet – dodał. Odwrócił się do swojego auta i kiwnął Angie głową. – Uważaj na siebie, Aniołku Charliego. – Otworzył drzwi i wtaszczył się do środka. Po dwóch próbach udało mu się – zapalił silnik, rura wydechowa odbiła się od bariereki ograniczającej wyjazd i samochód toczył się na ulicę. Włączył się do ruchu, zajechał drogę jakiemuś volvo i zniknął za rogiem.

Uniosłem brwi i cichutko zagwizdałem. Angie wzruszyła ramionami.

Pojechaliśmy do centrum i zabraliśmy Potwora z parkingu, na którym postój kosztował mnie niewiele mniej, niż gdybym sfinansował dziecku studia medyczne. Angie siadła za kierownicą i poprowadziła mnie do garażu, gdzie odstawiłem porsche do jego uroczego mieszkanka. Teraz Angie przesunęła się na fotel pasażera, a ja wsiałem i mój złom na kółkach potelepał się w kierunku Cambridge.

Jeszcze raz przejechaliśmy przez centrum, przez miejsce, gdzie Cambridge przechodzi w Tremont, przez miejsce, gdzie w słońcu poranka Jenna osunęła się na ziemię jak szmaciana lalka, przez pozostałości dawnej Combat Zone, umierającej śmiercią powolną, ale nieodwołalną z rąk kwitnącego budownictwa i przemysłu porno-wideo. Po co trzepać konia w nędznym kinie, skoro można trzepać konia w komforcie własnego nędznego domu?

Przejechaliśmy przez południowy Boston – dla wszystkich poza turystami i prezydentami wiadomości

telewizyjnych Southie – mijając monotonne dwupiętrowe domy upakowane ciasno jeden przy drugim jak kolejka do Toi-Toi na koncercie rockowym. Ta dzielnica zawsze mnie zdumiewa. Duża jej część jest biedna, zatłoczona, wiecznie niechlujna. Zabudowa na D Street jest tak fatalna, że coś podobnego można znaleźć chyba tylko w Bronksie: brudna, źle oświetlona, w dodatku roi się tu od agresywnych krótko ostrzyżonych żądnych krwi punków, przemierzających ulicę z kijami bejsbolowymi. W zeszłym roku podczas parady w Dniu Świętego Patryka zabłądził tu irlandzki chłopak z emblematem koniczyny na koszulce. Nadział się na paczkę innych irlandzkich chłopaków, którzy też mieli koniczynę na koszulkach. Jedyne różnica między jego koszulką a ich koszulkami polegała na tym, że u niego przez liść koniczyny biegł zielony napis „Dorchester” a u nich „Southie”. Dzieciaki z D Street rozwiązały kwestię różnicy, zrzucając chłopaka z dachu budynku.

Przejechaliśmy przez Broadway, mijając dzieci w lokówkach spacerujące z dziećmi w wózkach, samochody poparkowane na drugiego, a nawet na trzeciego i wymalowane sprayem napisy „Czarnuchy precz” na murze centrum handlowego. Z czerni brudnych rynsztoków połyskiwało tłuczone szkło, a pod kołami przejeżdżających samochodów trzaskały śmieci. Pomyślałem, że gdybym wysiadł teraz z auta i przeprowadził krótką ankietę wśród dwudziestu przypadkowych przechodniów z jednym pytaniem: dlaczego tak nienawidzą „czarnuchów”, połowa odpowiedziałaby mi zapewne: „Bo nie ma w nich za grosz pieprzonej godności, człowieku”. A przecież tutejszy Broadway jest identyczny jak Dudley w Roxbury, no, może odrobinę lepszy.

Wjechaliśmy do Dorchester, objechaliśmy Columbia

Park i byliśmy z powrotem u siebie. Zahamowałem przed kościołem. Wchodząc po schodach, słyszeliśmy już dzwonek telefonu. Co za dzień. Zdażyłem podnieść słuchawkę za dziesiątym razem.

– Agencja Kenzie-Gennaro.

Angie opadła na swoje krzesło. Po drugiej stronie kabla ktoś powiedział:

– Nie rozłączaj się. Ktoś tu chce z tobą porozmawiać.

Ze słuchawką w ręku obszedłem biurko i usiadłem. Angie rzuciła mi spojrzenie pytające „Kto to?“, a ja wzruszyłem ramionami.

Po drugiej stronie odezwał się inny głos.

– Pan Kenzie?

– Chwileczkę, niech sprawdzę.

– To Patrick Kenzie? – w głosie brzmiała nuta rozdrażnienia człowieka nienawykłego do trwonienia czasu na dowcipnisiów.

– Zależy – odparłem. – A kto mówi?

– Ty jesteś Kenzie – stwierdził głos. – Jak ci się oddycha? Głośno wciągnąłem powietrze, zassałem głęboko i wypuściłem długim wydechem.

– Znacznie lepiej, odkąd rzuciłem palenie, dzięki.

– Aha – głos sączył się powoli jak świeżo toczony syrop klonowy. – No, to nie przyzwyczajaj się do tego za bardzo. Będzie ci tym smutniej, kiedy nie będziesz mógł już tego robić. – Syropowaty głos był gęsty, ale lekki, brzmiała w nim jakby nuta leniwych zmierzchów Południa przebijająca się przez długie lata życia na Północy.

– Zawsze tak gadasz, Socia, czy tylko dziś jesteś taki tajemniczy.

Angie wyprostowała się na krześle i lekko pochyliła do przodu.

– Chodzisz jeszcze po świecie tylko dlatego, Kenzie – rzekł Socia – że mamy sprawy do obgadania. Cholera, mógłbym przysłać kogoś tam do ciebie, żeby przystawił ci łufę do pleców. Potrzebuję, że tak powiem, tylko twoich ust.

Usiadłem prosto i podrapałem się w swędzący kark. – Przyślij, Socia. Przeprowadzę jeszcze kilka amputacji. Będziesz miał armię kalek. Kulaski z Raven.

– Łatwo się mówi, jak się siedzi w biurze, ciepło, miło i bezpiecznie.

– No tak, no tak. Wiesz co, przepraszam cię, Marion, ale mam robotę.

– Siedzisz? – spytał. – Jasne.

– Na tym krześle koło magnetofonu?

Całe moje ciało od środka wypełnił chłód. Tętnicami popłynął pokruszony lód.

– Nie wstawałbym z tego krzesła, chyba że chcesz zobaczyć, jak twoja dupa przelatuje koło głowy prosto za okno – Socia zachichotał. – Miło było cię poznać, Kenzie.

Rozłączył się. Spojrzałem na Angie.

– Nie ruszaj się – powiedziałem, choć problem był nie w tym, czy ona się poruszy.

– Co? – wstała.

Nie było eksplozji, ale i tak byłem cholernie bliski omdlenia. W każdym razie przekonaliśmy się, że nie podłożył bomby również pod jej krzesło, ot tak, dla kawału.

– Socia powiedział, że pod moim krzesłem jest bomba. Zamarła w pół kroku jak figura woskowa. Oto co robi z ludźmi słowo „bomba”. Odetchnęła głęboko.

– Mam zadzwonić po saperów?

Staralem się nie oddychać. Obawiałem się, że tlen w moich płucach wyrwie na kończyny dolne ciśnienie,

które zdetonuje bombę. Po chwili przyszło mi na myśl, że to niedorzeczne, zważywszy na to, że tę bombę niewątpliwie odpala zwolnienie ucisku, a nie ucisk. Teraz znowu bałem się wypuścić powietrze. Tak czy inaczej, nie oddychałem.

– Tak, zadzwoń – powiedziałem. Śmiesznie to brzmiało, gdy próbowałem mówić, wstrzymując oddech, niczym zakatarzony Kaczor Donald. Potem zamknąłem oczy. – Zaczekaj. Najpierw zajrzyj pod krzesło.

To było stare drewniane krzesło, takie, na jakich dawniej siedzieli nauczyciele.

Angie odłożyła słuchawkę. Ukłękła koło krzesła. Trochę to trwało. Nikt nie lubi mieć oczu w pobliżu ładunku wybuchowego. Pochyliła głowę tak, by móc zajrzeć pod spód, i usłyszałem, jak głośno wypuszcza powietrze.

– Nic tu nie widzę.

Znowu zacząłem oddychać, ale zaraz przestałem. Może bomba była ukryta w drewnie?

– Nie wydaje ci się, że ktoś dłubał w drewnie?

– Co? Nie rozumiem, o co ci chodzi.

Zaryzykowałem wypuszczenie powietrza i powtórzyłem pytanie.

Tkwiła tam jeszcze sześć czy siedem godzin – a w każdym razie takie miałem wrażenie – zanim odpowiedziała.

– Nie.

Wysunęła się spod krzesła i usiadła na podłodze.

– Pod krzesłem nie ma bomby, Patrick.

– Super – uśmiechnąłem się. – No?

– Co „no”?

– Nie zamierzasz wstać?

Wyobraziłem sobie, jak moja dupa przelatuje mi nad głową.

– A spieszymy się gdzieś?

– Nie spieszymy się – odparła. – Czemu nie wstajesz? – Może po prostu przyjemnie mi się siedzi.

– Wstań – powiedziała i wstała sama. Wyciągnęła do mnie rękę.

– Zbieram siły.

– Wstań – powtórzyła. – Chodź do mnie, kotku.

Zrobiłem to. Oparłem ręce o poręcz krzesła i zrobiłem to.

Tylko że jakimś cudem dalej siedziałem. Mój mózg się przemieścił, ale ciało było innego zdania. Czy ludzie Socii to aż tacy spece? Czy mogli naszpikować krzesło ładunkiem wybuchowym bez żadnego śladu? Ależ skąd. Słyszałem, że ludzie giną na najrozmaitsze sposoby, ale nigdy nie słyszałem, by ktoś zginął od absolutnie niewykrywalnej bomby ukrytej w cienkim drewnianym krześle. Chyba że dostąpię tego zaszczytu i będę pierwszy.

– Poślizg?

– Tak?

– Kiedy tylko zechcesz.

– Dobra. Poczekaj, wiesz...

Chwyła mnie za rękę i oderwała od krzesła. Poleciałem na nią, oboje grzmotnęliśmy na biurko i nie wylecieliśmy w powietrze.

Zaczęła się śmiać, co było pewnym rodzajem eksplozji, i uświadomiłem sobie, że sama nie była tak do końca pewna. Ale i tak mnie pociągnęła.

– O Jezu! – powiedziała.

Ja też się roześmiałem, a był to śmiech człowieka, który od tygodnia nie spał, człowieka siedzącego na ostrzu

żyłki. Przywarłem do niej, obejmując ją mocno w tali. Jej piersi falowały tuż przy moim sercu. Oboje byliśmy złani potem, ale jej oczy pulsowały; wielkie ciemne źrenice pijane smakiem chwili, która nie była naszą ostatnią.

Pocałowałem ją, a ona odwzajemniła pocałunek. Przez chwilę wszystko wydawało się wyostrzone – dźwięk klaksonu trzy piętra niżej, zapach rześkiego letniego powietrza zmieszany z jeszcze wiosennym kurzem na oknie, słonawy powiew świeżego potu w naszych włosach, lekki ból nieco jeszcze spuchniętych ust, smak jej warg i języka wciąż chłodnawych od jasnego piwa, które piliśmy przed godziną.

A potem zadzwonił telefon.

Oderwała się ode mnie i odstąpiła za biurko. Uśmiechała się, ale z niedowierzaniem i w jej oczach już pojawiło się widmo żalu i lęku. Bóg raczy wiedzieć, jak wyglądały moje.

- Halo – powiedziałem schrypniętym głosem.
- Ciągłe siedzisz?
- Nie, wyglądam przez okno i szukam swojej dupy.
- Mhm. No to pamiętaj, Kenzie, każdy może osiągnąć każdego i każdy może osiągnąć ciebie.
- Co mogę dla ciebie zrobić, Marion?
- Może byś się tak ze mną spotkał, pogadał.
- Jasne, już lecę.
- Boisz się o swoją dupę? – zachichotał.
- Wiesz co, Marion, do października jestem tak zajęty, że nawet szpilki nie wcisnę. Może byś spróbował jeszcze raz koło Wszystkich Świętych?
- Howe Street dwieście pięć – powiedział tylko.
- Nie musiał mówić nic więcej. To był adres Angie.
- Gdzie i kiedy?

Znowu zareagował cichym śmiechem. Rozszyfrował mnie bez pudła i wiedział o tym, i wiedział, że ja wiem.

– Spotkamy się w jakimś zatłoczonym miejscu, żebyś miał złudzenie bezpieczeństwa.

– Cholernie elegancko z twojej strony.

– Downtown Crossing. Za dwie godziny. Przed Barnes and Noble. I przyjdź sam, bo może będę musiał złożyć wizytę pod tym adresem, o którym ci wspomniałem.

– Downtown Crossing – powtórzyłem.

– Za dwie godziny.

– Żebym się czuł bezpiecznie.

Znowu zachichotał. Widocznie miał już taki nawyk.

– Taaa. Żebyś się czuł bezpiecznie.

Odłożył słuchawkę. Ja zrobiłem to samo i spojrzałem na Angie. Powietrze było nadal naładowane wspomnieniem spotkania naszych ust, mojej dłoni w jej włosach, jej napierających na mnie piersi.

Siedziała na swoim krześle i wyglądała przez okno. Nie odwróciła głowy.

– Nie mówię, że to nie było przyjemne, bo było. I nie będę próbowała zwalić winy na ciebie, bo jestem temu tak samo winna. Ale mówię, że to się więcej nie powtórzy.

Trudno byłoby znaleźć w tym oświadczeniu jakąś lukę.

Na Downtown Crossing pojechałem metrem. Wyszedłem na górę po schodach, które nie były myte od prezydentury Nixona, i znalazłem się na Washington Street. Downtown Crossing to dawna dzielnica handlowa, sprzed czasów marketów i galerii, kiedy jeszcze sklepy były sklepami, a nie butikami. Jak większość miasta została przebudowana na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych i kiedy otwarto tu kilka butików, klientela wróciła. Przeważnie młodzi ludzie – znudzeni supermarketami, a może tak wielkomiejscy, tak dbający o wizerunek, że woleliby umrzeć, niż zrobić zakupy na przedmieściach.

Washington Street jest zamknięta dla ruchu samochodowego na długości trzech przecznic, gdzie znajduje się większość sklepów, więc całą jej szerokość zajmują przechodnie – idący na zakupy, wracający z zakupów, a głównie szwendający się bez specjalnego celu. Chodnik przed Filene's zajmował długi rząd ulicznych stoisk i tłumy młodzieży obojga płci, czarnych i białych. Opierali się o wystawy, gapili na dorosłych przechodniów, kilka par całowało się namiętnie z desperacją właściwą tylko tym, którzy jeszcze ze sobą nie sypiają. Po drugiej stronie ulicy przed The Corner – minicentrum handlowym ze sklepami takimi jak Limited i Urban Outfitters i dużą częścią gastronomiczną, gdzie dziennie wybuchają trzy, cztery burdy – grupka czarnej młodzieży zabawiała się przy radiu. Z głośników o średnicy kół samochodowych dudnili Chuck D i Public Enemy. Dzieciaki rozsiadły się wokół i patrzyły, jak ludzie ich omijają. Przyglądałem się wszystkim czarnym twarzom

w tym tłumie, próbując zgadnąć, które należą do ekipy Socii, ale nie umiałem odgadnąć. Sporo czarnych było wśród wchodzących do sklepów lub wychodzących ze sklepów, ale drugie tyle siedziało skupionych w grupach, a niektórzy mieli ten leniwy złowrogi wyraz twarzy ulicznych drapieżników. Było też wielu białych o podobnym wyglądzie, lecz nie oni stanowili obecnie przedmiot mojej troski. Nie wiedziałem o Socii zbyt dużo, ale nie przypuszczałem, by jako pracodawca kierował się zasadą równouprawnienia rasowego.

Od razu zrozumiałem, dlaczego Socia wybrał to miejsce. Trup może tu leżeć twarzą w dół dziesięć minut, zanim ktoś zwróci uwagę, na co nadepnął. Takie tłoczne miejsca są tylko odrobinę bezpieczniejsze niż opuszczone magazyny, a w opuszczonych magazynach człowiek przynajmniej ma jakąś przestrzeń.

Spojrzałem na drugą stronę ulicy. Moje oczy powędrowały za The Corner, skacząc po głowach w tłumie jak po nutach na pięciolinii, i zwoływały na poziomie Barnes and Noble. W tym miejscu tłum się przerzedzał, mniej było młodzieży. Pewnie księgarnie nie są najlepszym miejscem na poderwanie laski. Przyszedłem dziesięć minut przed czasem, ale przypuszczałem, że Socia i jego ekipa przybyli jeszcze dwadzieścia minut przede mną. Nie widziałem go, ale też się tego nie spodziewałem. Miałem przeczucie, że nagle objawi się tuż przy mnie, w postaci lufy między łopatkami.

A jednak nie między łopatkami. Między lewym biodrem a łukiem żebrowym. Była to wielka czterdziestkapiątka, a niemiłe wrażenie pogłębiał jeszcze tłumik u wylotu. I to nie Socia go trzymał. To był młody chłopak, może szesnasto-, może siedemnastoletni. Trudno

było powiedzieć, ponieważ twarz przysłaniała mu czarna skórzana czapka naciągnięta głęboko na ciemne okulary w czerwonych oprawkach. Z ust wystawał mu lizak, który przesuwiał językiem z jednego kącika w drugi. Uśmiechał się, jakby właśnie stracił dziewictwo.

– Założę się, że czujesz się teraz, kurwa, kompletnym debilem, nie?

– W porównaniu z kim? – spytałem.

Angie wysunęła się z tłumu z pistoletem wycelowanym w krocze Lizaka. Na głowie miała kremowy kapelusz z wywijanym rondem, zakrywający jej długie czarne włosy upięte w węzeł. Jej okulary słoneczne były większe niż Lizaka. Lufą trąciła go w jaja.

– Cześć – powiedziała.

Uśmiech Lizaka nieco zbladł, więc zastąpiłem go swoim.

– Dobrze się bawisz?

Tłum nadal przepływał wokół nas w tempie ruchomych schodów, nie zwracając na nas uwagi. Typowa wielkowiejska krótkowzroczność.

– No to jaki będzie następny ruch? – spytała Angie.

– To zależy – odparł Socia.

Stał za nią i sądząc po nagłym stężeniu jej całego ciała, towarzyszył mu jeszcze jeden pistolet.

– To już zaczyna być śmieszne – powiedziałem.

Cała nasza czwórka stała wśród tysięcy innych ludzi połączona w jedno kawałkami metalu. Ktoś z przechodniów potracił moje ramię. Mogłem tylko mieć cholerną nadzieję, że nikt nie ma podpiłowanego spustu.

Socia przypatrywał mi się z łagodnym wyrazem zniszczonej twarzy.

– Jak ktoś zacznie strzelać, tylko ja stąd wyjdę. Co ty

na to?

Prawie miał rację – on zastrzelił Angie, Angie zastrzeliła Lizaka, a Lizak z całą pewnością zastrzelił mnie. Prawie.

– Wiesz, Marion, zważywszy na to, że jest tu i tak tłok jak na zjeździe użytkowników japońskich aparatów fotograficznych, nie sądzę, żeby jedno ciało więcej zrobiło jakąś różnicę. Spójrz na Barnes and Noble.

Powoli odwrócił głowę, spojrział na drugą stronę ulicy, nie zauważył nic alarmującego.

– No i?

– Dach, Marion. Patrz na dach.

Nie mógł stąd zobaczyć niczego prócz celownika i lufy karabinu Bubby. Ale to był duży celownik. Z takim celownikiem można spudłować jedynie w razie nagłego zaćmienia słońca. Nawet wtedy trzeba by mieć prawdziwego pecha.

– Siedzimy w tym razem, Marion – powiedziałem. – Jeśli dam znak, ty polecisz pierwszy.

– I zabiorę ze sobą twoją dziewczynę. Możesz być pewien. Wzruszyłem ramionami.

– Ona nie jest moją dziewczyną.

– Aha, i gówno cię obchodzi. Powiedz to komuś, kto...

– Słuchaj, Marion, rozumiem, że nie jesteś do tego przyzwyczajony, ale mamy tu klasyczną sytuację bez wyjścia i nie za dużo czasu, żeby się nad tym zastanawiać. – Spojrzałem na Lizaka. Nie widziałem jego oczu, ale po jego czole torowała sobie drogę sztafeta kropli potu. Nie jest łatwo tak długo trzymać pistolet bez ruchu. Przeniosłem wzrok z powrotem na Socję. – Ten facet na dachu miewa czasem zupełnie samodzielne pomysły. Weźcie pod uwagę, że on jest w stanie pociągnąć za spust bardzo szybko, dwukrotnie – jeszcze raz zerknąłem na

Lizaka – i załatwić was obu, zanim któryś z was zdąży odpowiedzieć. Może zechcieć zrobić to z własnej inicjatywy, zanim dam mu jakiś znak. Zanim w ogóle coś zrobię. Zdarzało mu się już... pójść za podszeptem głosu wewnętrznego. Nie jest do końca zrównoważony. Słuchasz mnie, Marion?

Socia był w swoim miejscu – gdzie tacy ludzie jak on ukrywają lęk i wszelkie emocje. Rozejrzał się wokół bardzo powoli, omiatając wzrokiem całą Washington Street, ale ani razu nie spoglądając na dach. Nie spieszył się. Potem popatrzył na mnie.

– Powiedzmy, że schowam pistolet do kieszeni, jaką mam gwarancję?

– Żadnej. Jak chcesz gwarancji, to idź do Searsa. Ja mogę ci tylko zagwarantować, że zginiesz, jeśli tego nie zrobisz. – Jeszcze raz popatrzyłem na Lizaka. – Kurna, mam coraz większą ochotę załatwić tego dzieciaka jego własnym pistoletem.

– Pewnie, już to widzę – rzucił w odpowiedzi Lizak, ale głos miał schrypnięty. Oddech, którego wciąż jeszcze nie wziął, tkwił przyczajony gdzieś tuż nad przetykiem.

Socia jeszcze raz zlustrował ulicę i wzruszył ramionami. Jego ręka wysunęła się zza pleców Angie. Trzymał pistolet tak, żebym go widział: dziewięćmilimetrowy bren, po czym zrobił krok do tyłu i włożył go do kieszeni.

– Odlóż to, Lizak – powiedział.

Chłopak rzeczywiście miał przydomek Lizak. Patrick Kenzie, detektyw jasnowidz. Górna warga Lizaka podjechała w górę, w stronę nosa; oddychał ciężko. Koniecznie chciał mi pokazać, jaki jest twardy. Pistolet ciągle tkwił w moim boku, ale ze spuszczonej kurki.

Głupek z tego małego. Był wyraźnie gotowy za wszelką cenę dowieść swojej męskości, nie dlatego, że się nie bał, tylko dlatego, że się bał. Tak to zazwyczaj działa. Ale zanadto skupił się na mojej twarzy. Lekko poruszyłem biodrem: drobny ruch, ale wystarczył, by nagle pistolet wycelował w niebo. Chwyciłem dłoń, która go trzymała, i trzasnąłem czołem w nasadę jego nosa, tak że okulary się rozpadły. Jego własną ręką wsadziłem mu pistolet w brzuch. Odwiodłem kurek.

– Chcesz umrzeć?

– Puść chłopaka, Kenzie – powiedział Socia.

– Jeśli mam umrzeć, to umrę – oświadczył Lizak i oparł się mocno o moją rękę. Z nosa płynęła mu gęsta strużka krwi. Nie wyglądał na szczególnie rozradowanego tą perspektywą, ale i nie jakby się chciał uchylić.

– Dobrze. Bo to się właśnie stanie, jeśli jeszcze raz wyciągniesz na mnie broń, Lizak.

Na powrót spuściłem kurek, zablokowałem broń, a potem wyrwałem chłopakowi pistolet ze spoconej dłoni i wsadziłem do kieszeni. Uniosłem rękę i karabin Bubby zniknął.

Lizak oddychał ciężko i nie spuszczał ze mnie oczu. Zabrałem mu o wiele więcej niż tylko broń. Zabrałem mu dumę, jedyną wartość na tym cholernym świecie, do której przywiązywał wagę. Nie miałem wątpliwości, że jeśli zdarzy się następna okazja, to mnie zabije. Zdobywałem sobie coraz większą popularność.

– Znikaj, Lizak – rozkazał Socia. – I powiedz innym, żeby też się wycofali. Dołączę do was później.

Lizak rzucił mi ostatnie spojrzenie i włączył się w ludzki strumień wijący się ulicą w kierunku Jordan Marsh. Nie zamierzał nigdzie iść. Tego mogłem być

pewien. On i cała reszta, kimkolwiek i gdziekolwiek byli, zostaną tu w tym tłumie, pełniąc straż przy swoim królu. Socia był o wiele za sprytny, żeby pozbawić się ochrony.

– Chodźcie, pójdziemy sobie usiąść...

– Usiądźmy tu, gdzie jesteście – przerwałem.

– Miałem na myśli lepsze miejsce.

– Ale nie masz wyboru, Socia – Angie skłoniła głowę ku Barnes and Noble.

Minęliśmy Filene's i usiedliśmy na kamiennej ławce na małym wybetonowanym placu. Celownik na dachu znowu się pokazał, zwrócony w naszą stronę. Socia też go widział.

– No więc, Marion, powiedz mi, dlaczego nie miałbym załatwić cię tu i teraz.

Uśmiechnął się.

– Pieprzysz. I bez tego masz na pieńku z moimi ludźmi. Dla tych chłopaków jestem bogiem. Chcesz być, kurwa, celem świętej wojny, to śmiało.

Nie cierpię, gdy ludzie mają rację.

– Dobra. No to powiedz, dlaczego pozwalasz mi żyć.

– Taki już ze mnie czasem równiacha.

– Marion.

– Swoją drogą – podjął – mógłbym cię zabić na przykład za to, że cały czas mówisz do mnie „Marion”.

Usiadł głębiej na ławce, założył nogę na nogę, splecionymi dłońmi objął kolano. Spokojny obywatel zażywający świeżego powietrza.

– Czego od nas chcesz, Socia? – spytała Angie.

– Hej, maleńka, ty nie należysz do sprawy. Może jak już będzie po wszystkim, pozwolimy ci dalej sobie żyć. – Wycelował palec we mnie. – Ale ten tutaj, on wsadza nos gdzie nie trzeba, postrzelił jednego z moich najlepszych

ludzi, przypierdala się do rzeczy, które go nie powinny obchodzić.

– Powszechna skarga w ustach żonatych mężczyzn w naszej dzielnicy – zauważyła. Ta Angie. Gejzer dowcipu.

– Lubisz se pożartować – powiedział Socia. Spojrzał na mnie. – Ale ty wiesz, że to nie żarty, co? To końcówka twojego życia, Kenzie, i właśnie nadchodzi.

Chciałem odpowiedzieć coś zabawnego, ale nic mi nie przychodziło do głowy. Nic choć trochę zabawnego. Za to z pewnością nadchodził mój kres.

Socia się uśmiechnął.

– Mhm, wiesz. Żyjesz jeszcze tylko dlatego, że Jenna coś ci dała i jeszcze coś ci powiedziała. No więc, gdzie to jest?

– W bezpiecznym miejscu.

– W bezpiecznym miejscu – powtórzył, obracając każde słowo na języku, z leciutko nosową modulacją. Jego parodia mowy białych. – No dobrze, to może byś mi powiedział, gdzie jest to bezpieczne miejsce?

– Nie wiem. Jenna mi nie powiedziała.

– Pierdolisz – odparł i nachylił się do mnie.

– Nie będę wypruwał z siebie flaków, żeby cię przekonać, Marion. Mówię ci to tylko po to, żebyś – kiedy już rozwalisz moje mieszkanie i biuro i nic nie znajdziesz – nie czuł się zanadto rozczarowany.

– A może wezmę paru przyjaciół i rozwalimy ciebie?

– Twoja wola. Ale weź naprawdę dobrych.

– Tak? Myślisz, że ty jesteś taki dobry, Kenzie?

– Owszem – kiwnąłem głową. – W tym jestem dobry. Angie też, może nawet jeszcze lepsza. A ten gość na dachu, on jest lepszy niż my oboje.

– I niespecjalnie przepada za czarnoskórymi – dodała

Angie.

– I co, tacy jesteście z siebie dumni? Doborowa trójka z Ku-Klux-Klanu zatrzyma czarnych przed swoim progiem.

– Daj spokój, Socia, przecież tu nie chodzi o kolor. Jesteś kurewskim bandytą. Jesteś gruszką do lewatywy, która wykorzystuje dzieciaki, żeby odwalaly za niego brudną robotę. Czarny czy biały, to nic nie zmienia. Jeśli się uprzesz, żeby mnie powstrzymać, może ci się uda i zginę. Ale nie powstrzymasz jego – Socia spojrzał na dach. – On załatwi i ciebie, i twój gang, a razem z wami jeszcze pewnie połowę Bury. Ma mniej więcej tak samo wrażliwe sumienie jak ty i jeszcze mniej dbałości o swój wizerunek medialny.

Socia się roześmiał.

– Chcesz mnie przestraszyć?

– Ciebie się nie da przestraszyć, Marion. Takich jak ty nie można przestraszyć. Ale można zabić. I jeśli ja zginę, ty też. Prosty fakt.

Oparł się na ławce. Tłumy ludzi mijały nas ciągle jednostajnym strumieniem. Celownik Bubby ani razu nie drgnął. Socia pochylał głowę.

– Dobra, Kenzie. Darujemy ci tę rundę. Ale tak czy inaczej zapłacisz za Curtisa.

Wzruszyłem ramionami. Nad oczami czułem tępy ucisk.

– Masz dwadzieścia cztery godziny na znalezienie tego, czego obaj szukamy. Jeśli znajde to pierwszy albo ty znajdziesz, ale mi od razu nie oddasz, twoje życie będzie warte mniej niż pierdnięcie.

– Twoje też.

Wstał.

– Masa ludzi próbowała mnie zabić przez te wszystkie lata, biały chłopaczku. Nikt jeszcze nie wymyślił dobrego sposobu. Tak to już jakoś jest.

Odszedł z tłumem przechodniów. Wielki celownik na dachu odprowadzał go centymetr za centymetrem.

Spotkaliśmy się z Bubbą przed parkingiem przy Bromfield Street, gdzie Angie zostawiła Potwora. Zobaczyliśmy go z daleka, jak żuł kłęb gumy wielkości kurczaka i wydmuchiwał balony o takiej średnicy, że spychały przechodniów na krawężnik. Powitał nas lakonicznym „Hej” i zaczął nadmuchiwać następny balon. Ukryty skarbiec słów z tego naszego Bubby.

– Hej – odparła Angie głębokim barytonem, naśladowując jego głos. Objęła go w pasie i uściskała. – Mój Boże, Bubba, masz pod płaszczem rosyjski karabin maszynowy czy tylko cieszysz się, że mnie widzisz?

Bubba pokraśniał, a jego puciołowata twarz rozbłysła na chwilę jak twarzyczka niewinnego niczym cherubinek ucznia. Ucznia, który podkłada w toalecie nitroglicerynę, ale jednak.

– Zabierz ją ode mnie, Kenzie – powiedział.

Angie zadarła głowę i pieszczotliwie ugryzła go w ucho.

– Jesteś mężczyzną, jakiego mi trzeba, Bubba.

Zachichotał. Ten psychopatyczny potwór z zespołem uogólnionej wrogości zachichotał i delikatnie ją odepchnął. Wyglądał przy tym jak Tchórzliwy Lew i tylko czekałem, aż żałośnie zaryczy. Ale zamiast tego powiedział: „Odpuść sobie, łajzo jedna”, i zerknął sprawdzić, czy jej nie uraził.

Pochwyciła wyraz udreki na jego twarzy i teraz ona chichotała, dłonią zakrywając usta.

Ach, ten Bubba. Nasz słodki socjopata. Ruszyliśmy w stronę podjazdu.

– Bubba, będziesz mógł jeszcze trochę popilnować nas, zwykłych śmiertelników? – spytałem.

– Jasne, chłopie. Proszę bardzo. Przez cały czas.

Żartobliwie wałnął mnie w ramię. Wszelkie czucie w ręce natychmiast mnie opuściło i nim powróciło, minęło może dziesięć minut, może więcej. A co by to było, gdyby Bubba wałnął mnie ze złością. Spotkało mnie to parę lat temu – jedyny raz, gdy byłem na tyle głupi, żeby się z nim sprzeczać – i echo tego ciosu przestało mi dudnić w głowie dopiero po tygodniu.

Doszliśmy do samochodu i wsiedliśmy. Gdy opuszczaliśmy parking, Bubba spytał:

– To co, wysyłamy tych koleśków z powrotem do Afryki, czy jak?

– Słuchaj, Bubba... – zaczęła Angie.

Ja jednak wiedziałem, że trzeba mieć źle w głowie, żeby próbować oświecać Bubbę w kwestii rasowej.

– Nie sądzę, żeby to było konieczne – uciałem.

– Kurwa – powiedział i opadł na fotel.

Biedny Bubba. Tak się szykował, a tu nie ma kogo zastrzelić.

Zostawiliśmy Bubbę na boisku w pobliżu jego domu. Patrzyliśmy, jak idzie po betonowych schodach, a potem wlecze się między drabinkami, kopiąc leżące mu na drodze butelki po piwie. Głowę miał tak wciągniętą w ramiona, że barki niemal sięgały uszu. Kopnął kolejną butelkę, która odbiła się od stołu piknikowego i roztrzaskała o płot. Kilku punków, zgromadzonych wokół stołu, odwróciło głowy. Nikt nie chciał niechcący spotkać się ze wzrokiem Bubby. Ale on ich i tak nie zauważył. Szedł dalej, aż do końca boiska, znalazł tam wyszarpaną dziurę w płocie i przelaził przez nią. Przedarł się przez chwasty i zniknął za rogiem opuszczonej fabryki, w której mieszkał.

Ma tam goły materac rzucony na podłogę na środku

drugiego piętra, kilka kartonów jacka danielsa i sprzęt grający, który odtwarza wyłącznie jego kolekcję nagrań Aerosmith. Na pierwszym piętrze trzyma swój arsenał i dwa pitbulle o imionach Belker i Sierżant Esterhaus. Podwórko patroluje rottweiler Steve. Na wypadek gdyby to wszystko z Bubbą na czele nie odstraszyło przechodniów ani urzędników, niemal cała pozostała przestrzeń jest zaminowana. Tylko Bubba wie, gdzie można bezpiecznie stanąć. Jakiś samobójca próbował kiedyś dobrać się do zapasiku narkotyków Bubby, zmuszając go pod groźbą pistoletu, by go zaprowadził do kryjówki. Szczątki tego gościa znajdowano przynajmniej raz w miesiącu w przeróżnych częściach miasta jeszcze dobry rok później.

– Gdyby Bubba urodził się w innych czasach, powiedzmy w epoce brązu, byłby królem życia – zauważyła Angie.

Spojrzałem na samotną dziurę w płocie.

– Mógłby wtedy przynajmniej spotkać kogoś o podobnej uczuciowości.

Jadąc do biura, zaczęliśmy po omacku spekulować na temat ewentualnych kryjówek, które Jenna mogła wykorzystać.

– Pokój nad barem?

Pokręciłem głową.

– Gdyby miała to coś tam, nie zostawiłaby tego, kiedyśmy po nią przyjechali. Ten lokal nie wyglądał na bardzo dobrze zabezpieczony przed włamaniem.

– Racja. Gdzie jeszcze?

– Nie w sejfie. Devin by nas w tej sprawie nie okłamał. U Simone?

Teraz ona pokręciła głową.

– Byłeś pierwszą osobą, której cokolwiek pokazała,

zgadza się?

– Sądzę, że wychodzimy z tego założenia, tak.

– To znaczy, że byłeś też pierwszym człowiekiem, któremu zaufała. Pewnie wiedziała, że pojęcie Simone o Socii jest zbyt naiwne. I śmiem twierdzić, że miała rację.

– A gdyby to coś było w jej mieszkaniu w Mattapan, oni już by to mieli i całej sprawy po prostu by nie było.

– No to co nam zostaje?

Następne dziesięć minut upłynęło nam na nieznajdowaniu odpowiedzi na to pytanie.

– Kurwa! – podsumowała Angie te dziesięć minut.

– Celna uwaga. Ale nie przybliżyła nas do rozwiązania.

Zapaliła papierosa, położyła nogi na desce rozdzielczej i gapiła się w sufit. Był z niej lepszy Sam Spade, niż kiedykolwiek mógłby być ze mnie.

– Co wiemy na temat Jenny?

– Że nie żyje. Skinęła głową.

– Ale poza tym.

– Wiemy, że była żoną Socii. Legalną czy nie, ale żoną.

– I miała z nim dziecko. Rolanda.

– I ma trzy siostry w Alabamie.

Usiadła wyprostowana na fotelu, a jej nogi z hukiem spadły z deski rozdzielczej.

– Alabama – powiedziała. – Wysłała to coś do Alabamy. Zacząłem się nad tym zastanawiać. Czy Jenna dobrze знаła swoje siostry? Czy mogła im zaufać? Czy mogła zaufać poczcie? To była jej jedyna szansa, by stać się komuś potrzebna, zaważać o „sprawiedliwość”. Zrobić innym to, co oni przez całe życie robili jej. Czy zaryzykowałyby to wszystko, wysyłając główną rękojmię swojej zemsty w podróż?

– Nie sądzą – powiedziałem.

– Czemu nie? – spytała Angie ostro. To był jej pomysł i nie miała zamiaru tak łatwo się z nim rozstać.

Przedstawiłem jej swoje rozumowanie.

– Może – jej ton stracił nieco na pewności. – Ale nie skreślamy tego definitywnie.

– Jasne. – To nie był zły pomysł i nawet moglibyśmy sprawdzić ten trop, ale jakoś nie całkiem pasował do sytuacji.

W dużej mierze tak to właśnie wygląda. Siedzimy w biurze, przerzucamy się pomysłami i czekamy na boską interwencję. Gdy nie nadchodzi, sprawdzamy każdą ewentualność i zazwyczaj – nie zawsze, ale zazwyczaj – kończy się na tym, że potykamy się o coś, co powinno być dla nas oczywiste od samego początku.

– I wiemy, że kilka lat temu miała kłopoty ze spłatą zadłużenia.

– Owszem. No i co? – spytała Angie.

– To jest burza mózgów. Nie obiecywałem, że będę sypać perłami mądrości.

Zmarszczyła czoło.

– Nie była notowana, prawda?

– Tylko za parkowanie bez opłaty.

Angie pstryknęła papierosem za okno.

Pomyślałem o piwach w moim mieszkaniu. Słyszałem, jak mnie wzywają, spragnione towarzystwa.

– No dobrze, skoro nazbierała tyle mandatów... Popatrzyliśmy po sobie i wypowiedzieliśmy to jednocześnie.

– Gdzie jest samochód?

Zadzwoniliśmy do George'a Higby z rejestru pojazdów mechanicznych. Dopiero za piętnastym razem zamiast krótkiego przerywanego sygnału usłyszeliśmy nagrany głos, który poinformował, że wszystkie linie są zajęte. Rozmowa zostanie połączona w kolejności zgłoszenia i proszę się nie rozłączać. Tak czy owak do końca miesiąca nie miałem jakichś szczególnych planów, więc położyłem sobie słuchawkę w zagłębieniu między szyją a barkiem i czekałem.

Po mniej więcej piętnastu minutach ciszę przerwał dzwonek telefonu po drugiej stronie – jeden, drugi, trzeci, czwarty, piąty, szósty. Potem odezwał się głos: „Rejestr pojazdów mechanicznych”.

– Proszę z George'em Higby z rejestracji samochodów – powiedziałem.

Głos mnie nie usłyszał. Mówił dalej.

– Połączyli się państwo z rejestrem pojazdów mechanicznych. Pracujemy od poniedziałku do piątku w godzinach dziewięta – siedemnasta. W celu uzyskania dodatkowych informacji proszę wybrać tonowo jedynekę. – W tej samej chwili, gdy buczący dźwięk tuż przy moim uchu wygasł, uprzytomniłem sobie, że jest niedziela. Gdybym nacisnął jedynekę, połączyłbym się z innym komputerem, który z rozkoszą połączyłby mnie z innym komputerem i do chwili, kiedy wkurwiłbym się na tyle, żeby cisnąć telefon za okno, wszystkie komputery rejestru miałyby zabawę, że boki zrywać.

Uwielbiam tę pieprzoną nowoczesną technikę.

Odłożyłem słuchawkę.

– Dziś jest niedziela – powiedziałem.

Angie popatrzyła na mnie.

– Istotnie, jest. Jeśli jeszcze podasz mi datę, zostaniesz moim idolem.

– Czy mamy gdzieś domowy numer George’a?

– Możliwe. Mam poszukać?

– To by było fantastycznie z twojej strony.

Podjechała na krzesło do komputera i wprowadziła hasło. Odczekała chwilę, a potem jej palce zaczęły śpiewać na klawiaturze tak szybko, że komputer z trudem wytrzymał tempo. Dobrze mu tak. Pewnie gdy ma wolne, zadaje się z komputerami rejestru.

– Mam – powiedziała Angie.

– No to daj mi, maleńka.

Nic z tego, ale podała mi numer.

George Higby to jedna z tych nieszczęsnych duszyczek, które idą przez życie z nadzieją, że wszyscy będą tak samo milutcy jak oni. Ponieważ sam co rano wstaje z łóżka ożywiony pragnieniem, by uczynić ten świat lepszym, odrobinę łatwiejszym do życia miejscem – nie rozumie, że naprawdę istnieją ludzie, którzy wstają z pragnieniem, by zadać innym ból. Nawet gdy jego córka uciekła z dwa razy starszym gitarzystą, który zostawił ją na głodzie w motelu w Reno, nawet gdy związała się z wyjątkowo nieciekawymi typami, skutkiem czego wylądowała, zarabiając na życie swoim szesnastoletnim ciałem, na bocznych uliczkach Vegas, nawet gdy musieliśmy oboje z Angie polecieć tam, by uwolnić ją od tych nieciekawych typów przy pomocy policji stanu Nevada, nawet gdy ta słodziutka żrenica jego oka całą winę za burdel, którego narobiła, zrzuciła na niego, nawet po tym wszystkim George ciągle wita świat nerwowym uśmiechem

człowieka, który nie umie być inny, jak tylko szczerzy i przyzwoity i modli się, by choć jeden jedyny raz ten świat mu to wynagrodził. Z takiego surowca jak George zbudowane są fundamenty większości wielkich religii.

Podniósł słuchawkę za pierwszym dzwonkiem. Zawsze tak robi.

– George Higby, słucham – powiedział i niemal oczekiwałem, że zaraz doda „Bądźmy przyjaciółmi”.

– Cześć, George, mówi Patrick Kenzie.

– Patrick! – zawołał George i muszę przyznać, że entuzjazm w jego głosie wzbudził we mnie nagłą radość, iż ja to ja. Czuję się tak, jakbym został zesłany na ziemię w tym jednym celu: żeby drugiego lipca zadzwonić do George’a i wprowadzić go w radosny nastrój. – Co słychać?

– Wszystko dobrze, George. A co u ciebie?

– Bardzo dobrze, Patrick. Bardzo dobrze. Nie mogę narzekać.

Ten typ nigdy nie może narzekać.

– George – powiedziałem – niestety, nie dzwonię do ciebie z przyczyn czysto towarzyskich. – Z wcale nie miałym poczuciem winy uprzytomniłem sobie, że jeszcze nigdy nie zadzwoniłem do George’a „z przyczyn czysto towarzyskich” i pewnie nigdy tego nie zrobię.

– Nic nie szkodzi, Patrick – jego głos na chwilę opadł o oktawę. – Wiem, jaki jesteś zajęty. W czym mogę pomóc?

– A jak tam Cindy? – spytałem.

– Wiesz, jaka jest dzisiejsza młodzież. Ojciec nie jest dla niej w tym momencie najważniejszą sprawą w życiu. Kiedyś to się oczywiście zmieni.

– Oczywiście.

– Trzeba im pozwolić dorosnąć.

- Jasne.
- I wtedy wróca.
- Wróca – potwierdziłem. – Na pewno wróca.
- Ale dość o mnie. Czytałem o tobie w gazetach. Nic ci nie jest?
- Wszystko w porządku, George. Media rozdmuchały to ponad miarę.
- To im się zdarza. Ale z drugiej strony co byśmy bez nich robili?
- Dzwonię do ciebie, George, bo potrzebuję pewnego numeru rejestracyjnego, a nie mogę z tym czekać do jutra.
- Nie możesz się dowiedzieć przez policję?
- Nie. Nie mogę iść z tym do nich już teraz. Na razie muszę to rozegrać sam.
- Dobrze, Patrick – powiedział z namysłem. – Dobrze – powtórzył nieco raźniej. – Tak, to się da zrobić. Daj mi dziesięć minut na wejście do komputera. Może być? Możesz tyle zaczekać?
- To ty mi wyświadczasz przysługę, George. Zaczekam tyle, ile będzie trzeba.
- Podałem mu nazwisko, adres i numer prawa jazdy Jenny.
- W porządku. Najwyżej piętnaście minut. Oddzwonię.
- Masz mój numer?
- Oczywiście – odparł, jakbyśmy wszyscy przechowywali numery telefoniczne ludzi, z którymi spotkaliśmy się dwa razy dwa lata temu.
- Dziękuję ci, George – powiedziałem i rozłączyłem się, zanim zdążył powiedzieć: „To ja ci dziękuję”.
- Czekaliśmy. Angie rzuciła gąbkową piłkę do kosza zawieszzonego nad magnetofonem, a ja za każdym razem jej odrzucałem. Ma dobry rzut, ale za mało wykorzystuje

tablicę. Odchyliła się na krześle i rzuciła wysoko. Zanim jeszcze piłka śmignęła przez obręcz, spytała.

– Wtajemniczymy Devina?

Odrzuciłem piłkę.

– Nie.

– A właściwie dlaczego nie? – rzuciła jeszcze raz i spudłowała.

– Bo nie. Rzucaj częściej w tablicę.

Podrzuciła piłkę tak, że odbiła się od sufitu.

– To nie jest standardowa procedura – obwieściła śpiewnym głosem.

– Standardowa procedura? Cóż to, jesteśmy nagle w wojsku?

– Nie – odparła. Piłka wyskoczyła jej pomiędzy palców, odbiła się od nogi i spadła na podłogę. Obróciła się na krześle. – Jesteśmy detektywami, mamy niezłe stosunki z policją i zastanawia mnie, dlaczego narażamy je na szwank, zatajając dowody w śledztwie w sprawie zabójstwa pierwszego stopnia.

– Jakie dowody? – Wychyliłem się z mojego krzesła i podniosłem piłkę.

– Zdjęcie Socii i Paulsona.

– Nie dowodzi niczego.

– To już oni rozstrzygną. Tak czy inaczej, jest to ostatnia rzecz, jaką ofiara zabójstwa dała ci przed śmiercią. To już wystarczy, żeby była dla nich interesująca.

– No i co?

– No i to, że to powinno być podwójne śledztwo. Powinniśmy im powiedzieć, że szukamy samochodu Jenny. Powinniśmy zwrócić się do nich z pytaniem o numer rejestracyjny, nie kazać biednemu George'owi włamywać się do komputera w rejestrze.

– A jeśli wcześniej niż my natrafiają na dowody, których odzyskanie zlecił nam nasz klient?

– Wtedy, gdy zrobią swoje, przekażą je nam.

– Tak po prostu?

– Tak po prostu.

– A gdyby to było coś obciążającego? Gdyby się okazało, że w najlepszym interesie naszego klienta policja nie powinna się z nimi zapoznać, co wtedy? Ile będzie wart nasz biznes? Gdyby Mulkern do szukania tych „dokumentów” chciał zaangażować policję, toby to zrobił. Ale wynajął nas. Nie jesteśmy stróżami prawa, Angie, jesteśmy prywatnymi detektywami.

– Co ty powiesz, Sherlocku. Ale...

– Ale co? Co cię, do cholery napadło? Gadasz jak nowicjuszka.

– Nie jestem żadną pieprzoną nowicjuszką, Poślizg. Uważam tylko, że swojej współpracownicy powinieneś przedstawiać swoje motywacje uczciwie.

– Moje motywacje. I jakie są te moje motywacje, Angie?

– Nie chcesz, żeby policja maczała w tym palce nie z obawy o to, co oni z tym zrobią. Obawiasz się o to, czego nie zrobią. Boisz się, że to coś naprawdę strasznego, tak strasznego, jak mówiła Jenna, i że zadzwoni ktoś z Senatu i dowody znikną.

Ugniatąłem piłkę w dłoni.

– Sugerujesz, że moje motywacje są sprzeczne z interesem naszego klienta?

– Żebyś, cholera, wiedział, że sugeruję. Jeśli te „dokumenty” to coś tak okropnego, jak mówiła Jenna, jeśli obciążają Paulsona albo Mulkerna, co z nimi zrobimy? No?

– Zobaczymy.

– Gównem zobaczymy. Gównem. Powinniśmy byli

zakończyć tę sprawę pół godziny po znalezieniu Jenny w Wickham. Ale ty chciałeś to rozegrać inaczej, jak cholerny pracownik socjalny. Jesteśmy prywatnymi detektywami. Nie zapomniałeś czasem? Nie moralistami. Nasza praca polega na dostarczaniu ludziom, którzy nas zatrudniają, tego, do czego odszukania zostaliśmy zatrudnieni. Jeśli nawet oni to zatuszują, jeśli przekupią policję, rozumiesz. Bo to już nie nasza sprawa. Robimy, co do nas należy, i za to nam płacą. A jeśli...

– Zaczekaj...

– ...ty nie chcesz tego robić, jeśli ty chcesz z tego zrobić jakąś osobistą krucjatę, żeby przez Mulkerna rozliczyć się ze swoim ojcem, to możemy się pożegnać i z tym biznesem, i z naszą spółką.

Usiadłem prosto, z twarzą tuż przed jej twarzą.

– Mój ojciec? Mój pieprzony ojciec? Co on ma z tym wspólnego?

– Ma dużo. On jest Mulkernem, on jest Paulsonem, on jest każdym politykiem, który jedną ręką ścisną ci dłoń, a drugą wsadza nóż w plecy. On jest...

– Zostaw mojego ojca w spokoju, Angie.

– On nie żyje! – wrzasnęła. – Nie żyje. I z przykrością muszę cię poinformować, że rak płuc załatwił go, zanim ty zdążyłeś to zrobić.

Przysunąłem się jeszcze bliżej.

– Odkąd to jesteś moim psychoanalitykiem, Angie?

Moja twarz była coraz cieplejsza, krew tętniła mi w rękach, łaskotała w koniuszki palców.

– Nie jestem twoim pierdolonym psychoanalitykiem i może byś się, kurwa, cofnął.

Nie poruszyłem się. Mój awaryjny wyłącznik gniewu trafił szlag. Patrzyłem jej prosto w oczy. Strzelały na

wszystkie strony błyskawicami gniewu.

– Nie, Angie, to ty się, kurwa, cofnij razem ze swoim kącikiem porad psychologicznych i swoimi wrażeniami na temat mojego ojca. To może wtedy nie zabiorę się za analizowanie twojego związku z małżonkiem roku, który tak dobrze cię traktuje.

Zadzwoił telefon.

Żadne z nas nie drgnęło. Żadne z nas nie spojrzało w jego stronę. Żadne nie zmięкло ani się nie cofnęło.

Kolejne dwa dzwonki.

– Patrick.

– Co?

Jeszcze jeden dzwonek.

– To pewnie George.

Udało mi się odrobinę rozluźnić szczęki. Odwróciłem się i podniosłem słuchawkę.

– Patrick Kenzie.

– Cześć, Patrick, tu George.

– Georgie – wycisnąłem ze swoich strun głosowych ton fałszywego entuzjazmu.

– Masz ołówek?

– Detektywi zawsze mają ołówek.

– Ha, ha. Naturalnie. Samochód Jenny Angieline to Chevy Malibu z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego dziewiątego roku. Jasnoniebieski. Numer rejestracyjny DRW cztery siedem dziewięć. Mam tu nadal obowiązującą decyzję o założeniu blokady wydaną trzeciego czerwca.

Poczułem narastający gdzieś od żołądka prąd. Przez otwarte zastawki do serca runęła fala krwi.

– Decyzję o założeniu blokady?

– Tak – potwierdził George. – Wygląda na to, że pani Angieline nie bardzo lubi płacić za parkowanie.

Blokada na koło. Żółta, nie do ruszenia blokada na koło. Niebieskie malibu, na którym Jerome z przyjaciółmi siedzieli, gdy przyjechałem do Jenny. Zaparkowany przed domem. Z całą pewnością w najbliższym czasie nigdzie się nie wybierze.

– George, jesteś wielki. Przysięgam na Boga.

– Pomogłem?

– Nawet nie wiesz, jak bardzo pomogłeś.

– Hej, a może skoczylibyśmy kiedyś razem na piwo?

Zerknąłem na Angie. Wpatrywała się w coś, co znajdowało się na jej kolanach. Włosy zakrywały jej twarz, ale gniew wisiał w pokoju, trujący jak spaliny.

– Naprawdę chętnie, George. Zadzwoń do mnie pod koniec przyszłego tygodnia. Do tego czasu powinienem już się z tym uporać.

Albo zginać.

– Załatwione – ucieszył się. – Załatwione.

– Trzymaj się, George.

Rozłączyłem się i jeszcze raz spojrzałem na moją współpracowniczkę. Znowu robiła to coś z ołówkiem i zębem. Jej wzrok był pusty i bezosobowy. Głos też.

– Niepotrzebnie się z tym wyrwałam.

– Niekoniecznie. Może po prostu nie jestem jeszcze gotów na zapuszczanie się w te zakamarki mojej psychiki.

– Może nigdy nie będziesz.

– Może. A co z tobą?

– I Skurwielem, jak jesteś uprzejmy go nazywać?

– Tak, właśnie z tym gościem.

– Wszystko w swoim czasie – powiedziała. – Wszystko w swoim czasie.

– Co robimy ze sprawą?

Wzruszyła ramionami.

– Wiesz, co bym chciała zrobić. Ale to nie ja musiałam patrzeć na śmierć Jenny, więc rób to po swojemu. Pamiętaj tylko, że jedną sprawę będziesz mi winien.

Kiwnąłem głową. Wyciągnąłem rękę.

– Jesteśmy kumplami?

Uśmiechnęła się krzywo i przyklepała.

– A kiedy nie byliśmy?

– Jakies pięć minut temu.

– Ach, rzeczywiście – zaśmiała się.

Zaparkowaliśmy na szczycie wzgórza, z którego widać było dom Jenny, a przed nim niebieskie malibu. Żółte urządzenie blokujące było widoczne mimo zbliżającego się zmierzchu. Bostończycy nie płacą za parkowanie i łamią przepisy drogowe z zaciekłością, jakiej mogłaby im zazdrościć większość profesjonalnych drużyn sportowych. Mają też zwyczaj nie przejmować się karami, dopóki nie zagrozi im odebranie prawa jazdy. Po pewnym czasie władze miasta zorientowały się w tej praktyce, a przy okazji przyjrzały się swoim topniejącym funduszom, zastanowiły, skąd mogą czerpać środki niezbędne, by móc spokojnie lokować swoje dzieci na uczelniach, a tyłki w modnych kurortach, i wprowadziły blokady. Zatrzaskuje się taki interes na kole i samochód nie ruszy się z miejsca, dopóki wszystkie kary nie zostaną zapłacone w całości. Próba samodzielnego usunięcia blokady to poważne wykroczenie, karalne więzieniem i/lub wysoką grzywną. Jest to oczywiście znacznie mniej skuteczny środek zniechęcający niż fakt, że zdjąć to cholerstwo jest tak samo trudno jak w dawnych czasach pas cnoty. Pewien mój znajomy dokonał tego kiedyś przy użyciu młotka z noskiem kulistym i dłuta, ale chyba akurat jego

egzemplarz musiał mieć jakiś defekt techniczny, bo nigdy więcej nie udało mu się tego wyczynu powtórzyć. Cholernie go to przybiło: byłby przecież urządzony na całe życie – usuwacz blokad do wynajęcia. Zarabiałby więcej niż Michael Jackson.

Ukrycie czegoś w tym samochodzie miałyby swój perwersyjny sens. Jasne, że w Bostonie samochód pozostawiony bez dozoru na czas dłuższy niż cztery czy pięć minut zwykle zostaje pozbawiony radia i głośników, a najczęściej także całej reszty. Ale rynek na piętnastoletnie chevrolety nie jest już tym, czym był dawniej, i żaden szanujący się złodziej samochodów nie traciłby cennego czasu na pieprzenie się z blokadą. Więc o ile nie schowała tego czegoś w schowku na radio, były duże szanse, że ciągle tam jest. Jeśli w ogóle coś tam schowała. Wielkie jeśli.

Siedzieliśmy, obserwując samochód i czekając, aż zapadnie zmrok. Słońce już się schowało, ale niebo zachowało jeszcze ciepłą barwę; po beżowym tle biegły pomarańczowe smużki. Gdzieś przed albo za nami – na drzewie, na dachu, w krzakach, stopiony w jedno z naturalnym środowiskiem miasta – czyhał w ukryciu Bubba, obserwując okolicę oczami niewzruszonymi i wypranymi z uczuć.

Nie mogliśmy słuchać muzyki, ponieważ Potwór nie ma radia. Szlag mnie trafiał. Bóg raczy wiedzieć, w jaki sposób ludzie zachowywali zdrowie psychiczne przed rockandrollem. Zastanawiałem się nad tym, co Angie powiedziała o moich motywach, o moim ojcu, o przrzucaniu nieodreagowanego gniewu na Mulkerna i jego kompanów, gniewu na los, który porachował się z moim ojcem, zanim ja miałem jakąkolwiek szansę. Jeśli

się myliła, przekonamy się o tym, gdy w końcu położymy łapę na dowodach i wymienię je na kolejny podpisany czek z uwzględnieniem premii. Jeśli miała rację, też się przekonamy. Tak czy inaczej nie było to dla mnie przyjemne.

Jak się nad tym zastanowić, to w ogóle ostatnio działa się zbyt wiele rzeczy wymagających odrobiny introspekcji. Bardzo lubię prowadzić śledztwa – pod warunkiem że nie dotyczą mnie; nigdy nie robiłem z tego tajemnicy. Ale nagle zdarzyły się te wszystkie gwałtowne konflikty z ludźmi, którzy jakoś ważyli na moim życiu – z Richiem, Mulkernem, z Angie. Nagle zostałem zmuszony do określenia swojego stanowiska w kwestii rasizmu, polityki i Bohatera. Trzy najbardziej dla mnie nienawistne tematy. Jeszcze trochę introspekcji, a skończy się na tym, że zapuszczę długą siwą brodę, włożę białą szatę i popijając cykute, będę czytał *Krytona*. Może przeprowadzę się do Tybetu i będę się wspinał z dalajlamą albo ruszę do Paryża, zacznę się ubierać wyłącznie na czarno, wyhoduję hiszpańską bródkę i będę cały czas gadał o jazzie.

A może zrobię to co zawsze: poczekam, co z tego będzie. Fatalista do szpiku kości.

– No jak? – spytała Angie.

Niebo nabrało barwy atramentu. Na przestrzeni wielu kilometrów nie było ani jednej czynnej latarni.

– Czas na małe włamanie – powiedziałem.

Gdy schodziliśmy ze wzgórza, na stokach nie było żywego ducha, ale w wilgotny niedzielny wieczór nie mogło to trwać długo. Nie był to ten typ dzielnicy, której mieszkańcy wyjeżdżają na weekend. Musieliśmy dostać się do auta, znaleźć to, czego szukamy, i szybko się wynosić. Ludzie, którzy nie mają za wiele, często chronią to, co

mają, metodami obciążonymi wysoką śmiertelnością. Czy za spust pociąga Bobby Royce, czy drobna staruszka, skutek bywa bardzo podobny.

Gdy podeszliśmy do samochodu, Angie wyciągnęła z kieszeni kurtki listwę do awaryjnego otwierania samochodów, w mgnieniu oka wsunęła ją za szybę i odblokowała drzwi. Nie miałem pojęcia, jak wyglądało gospodarstwo domowe Jenny – widziałem je tylko po wizycie kogoś, kto przewalił się przez nie jak front burzowy – ale samochód utrzymywała w stanie idealnym. Angie zajęła się tyłem. Sięgnęła pod siedzenia i za oparcia, zajrzała pod pokrowce, obejrzała dywaniki w poszukiwaniu podejrzanых dziurek.

Ja robiłem mniej więcej to samo z przodu. Wyciągnąłem popielniczkę, stwierdziłem, że jest wypełniona po brzegi niedopałkami marlboro, zamknąłem. Wyciągnąłem ze schowka różne rzeczy takie jak gwarancje, kwity od mechaników i instrukcja obsługi pojazdu, ale spakowałem wszystko do reklamówki, którą miałem ze sobą. Łatwiej będzie przejrzeć to, gdy już się stąd zabierzemy. Sięgnąłem pod deskę rozdzielczą, obmacałem wszystko, nie znalazłem maleńkiej przyklejonej taśmą paczuszki. Sprawdziłem, czy na drzwiach nie ma jakichś rys albo pęknięć. Nada. Wziąłem śrubokręt i zabrałem się za tapicerkę od strony pasażera; może Jenna oglądała *Francuskiego łącznika*. Nie. Chyba nie oglądała.

Angie robiła to samo po stronie kierowcy. Gdy skończyła, nie krzyknęła „Eureka!”, więc domyśliłem się, że znalazła tyle samo co ja. Metodycznie i systematycznie zmierzaliśmy donikąd, gdy nagle ktoś się odezwał:

– Proszę, jak się ładnie bawimy.

Wyprostowałem się z dłonią na pistolecie i zobaczyłem dziewczynę, która poprzednim razem, gdy tu byłem, siedziała na schodkach. Obok niej stał Jerome. Trzymali się za ręce.

– Poznałeś już Rolanda? – spytał Jerome.

– Jeszcze nie miałem przyjemności.

Jerome patrzył na Angie, nie gapił się, po prostu patrzył z lekkim zaciekawieniem.

– To co, kurwa, robisz w samochodzie jego matki?

– Pracuję.

Jego dziewczyna zapaliła papierosa. Zaciągnęła się, wydmuchała dym w moją stronę. Na białym filtrze został gruby czerwony rąbek szminki.

– To ten facet był z Jenną, kiedy dała się załatwić Curtisowi.

– Cholera, Sheila, przecież wiem – powiedział Jerome. Patrzył teraz na mnie. – Jesteś detektywem, no nie?

Ja patrzyłem na papierosa Sheili. Coś mi w nim nie pasowało, ale nie wiedziałem co.

– Tak, Jerome. Mam odznakę i tak dalej.

– Lepsze to niż praca – powiedział Jerome.

Sheila znowu zaciągnęła się papierosem i zostawiła kolejne czerwone kółeczko tuż nad pierwszym.

Angie też zapaliła. Cóż za rakogenne miasto. Popatrzyłem na Sheilę, potem na Angie.

– Angie? – Tak?

– Czy Jenna używała szminki?

Jerome przypatrywał nam się z uniesionymi brwiami, rękami skrzyżowanymi na piersiach. Angie myślała. Powoli wypuszczała smużkę dymu ze swojego papierosa.

– Tak. Rzeczywiście. Delikatnej, blad różowej, ale używała.

Otworzyłem popielniczkę.

– Pamiętasz, jakie papierosy paliła?

Chyba lighty. A może vantage. Na pewno coś z białym filtrem. – Ale niedawno zaczęła na nowo – przypomniałem sobie, jak Jenna mówiła, że nie paliła dziesięć lat i dopiero wydarzenia ostatnich kilku tygodni sprawiły, że wróciła do papierosów.

Niedopałki w popielniczce miały beżowe filtry i nie nosiły śladów szminki. Wyrwałem popielniczkę, wystawiłem nogi na zewnątrz samochodu.

– Jerome, odsuń się, proszę, na chwilę.

– Tak jest, jasne, co pan rozkaże.

– Powiedziałem „proszę”, Jerome.

Jerome i Sheila zrobili dwa kroki do tyłu. Wywaliłem całą zawartość popielniczki na chodnik.

– Hej, stary, tu mieszkają ludzie – zauważył Jerome.

W kupce popiołu błysnął metal. Rozgrzebałem niedopałki i podniosłem klucz.

– Mamy to, po co przyszliśmy – powiedziałem.

– Super – Angie wysiadła z samochodu.

– Gratulacje – powiedział Jerome. – A teraz posprzątaj ten syf, stary.

Przytrzymałem popielniczkę przy krawężniku i zmiotłem do niej wszystko z powrotem. Położyłem ją na siedzeniu i wysiadłem.

– Fajny z siebie chłopak, Jerome.

– O, dzięki. Świadomość, że biały pan jest ze mnie zadowolony, daje mi poczucie spełnienia.

Uśmiechnąłem się i ruszyliśmy z powrotem na szczyt wzgórza.

To był klucz od schowka bagażowego, numer 506.

Schówek mógł się znajdować na Logan Airport, Greyhound Station na Park Square albo Amtrak Terminal na South Station. Albo na dowolnym dworcu autobusowym w Springfield, Lowell, New Hampshire, Connecticut, Maine, po prostu Bóg wie gdzie.

– No i co teraz? – spytała Angie. – Sprawdzamy wszystkie? – Nie mamy wyjścia.

– To kupa roboty.

– Ale ma swój plus.

– Mianowicie?

– Pomyśl o nadgodzinach, które będziemy sobie mogli policzyć.

Trzasnęła mnie, ale nie tak mocno, jak się spodziewałem.

Postanowiliśmy zacząć od rana. W całym stanie znajduje się sporo schowków bagażowych. Potrzebowaliśmy maksymalnej energii, a teraz jechaliśmy już praktycznie na samych oparach. Angie poszła do domu, Bubba też. Ja spałem w biurze, ponieważ trudniej się tu zakraść niż do mojego mieszkania. W pustym kościele kroki rozbrzmiewałyby jak strzały armatnie.

W czasie gdy spałem, w moim karku usadowił się supeł wielkości muszelki, a mięśnie nóg, podkulonych na kozetce pod ścianą, kompletnie mi zeszywniały.

Poza tym w czasie gdy spałem, wybuchła wojna.

Jako pierwszy na tym froncie poległ Curtis Moore. Wkrótce po północy w dyżurce pielęgniarek w szpitalu więziennym wybuchł pożar. Dwaj policjanci pełniący wartę przy łóżku Curtisa przeszli się tam, żeby zobaczyć, co się dzieje. Nie był to żaden wielki pożar – po prostu ktoś wsadził szmatę zamoczoną w spirytusie do kosza na śmieci i wrzucił zapaloną zapalniczkę. Gliny i pielęgniarki wzięły gaśnicę, stłumili ogień i potem już nie musieli się zbyt długo zastanawiać nad możliwymi motywami. Gdy wpadli z powrotem do pokoju, Curtis w miejscu gardła miał dziurę wielkości dłoni, a na czole wycięte inicjały: J.A.

Po nim blask krótkotrwałej sławy opromienił trzech innych członków Raven Saints. Wracając do domu po meczu na Fenway Park i małej rozróbie w metrze jako ostatniej konkurencji dnia, wysiedli na Ruggles Station, gdzie odbyli jednostronny dialog z ak-47 wycelowanym z samochodu. Jeden z nich, szesnastolatek nazwiskiem Gerald Mullins, dostał w udo i brzuch, ale nie zginął. Udawał nieboszczyka, dopóki samochód nie odjechał,

a potem zaczął pełznąć w kierunku Columbus Avenue. Był w połowie drogi między stacją metra a rogiem ulicy, gdy tamci wrócili i przeszli go serią od ucha po kostkę.

Socia w towarzystwie dwóch żołnierzy idących niecałe pół metra za nim opuszczał bar na South Huntington, gdy zza półciężarówki wyszedł James Tyrone, piętnastoletni członek Angiel Avengers, z czterdziestkapiątką wycelowaną w nos Socii. Nacisnął spust, ale pistolet się zaciął i kiedy goryle Socii przestali strzelać, leżał na środku South Huntington, przemalowując żółtą linię podziału jezdni na ciemnoczerwoną.

Trzej avengersi padli w Franklin Park. Potem dwaj saints siedzący na tarasie w Intervale. Po tym cyklu ataku i odwetu nastąpił kolejny. Do wschodu słońca bilans najgorszej nocy w historii gangów bostońskich wynosił dwudziestu sześciu rannych, dwunastu zabitych.

Mój telefon zaczął dzwonić o ósmej. Porwałem słuchawkę gdzieś chyba za czwartym dzwonkiem. – Co jest?

– Słyszałeś? – spytał Devin.

– Nie – odparłem i miałem zamiar spać dalej.

– Ulubiony bostoński duet ojciec i syn właśnie wyruszył na wojnę.

Głowa mi opadła i zwisła z kozetki.

– O, nie.

– O tak. – Zdał mi raport.

– Dwunastu zabitych? Chryste.

Może w Nowym Jorku to norma, ale jak na nas to była astronomiczna liczba.

– Jak dotąd. Pewnie jeszcze następnych pięciu czy sześciu nie będzie obchodzić Święta Niepodległości, życie

jest piękne, czyż nie?

– Dlaczego dzwonicz z tym do mnie o tej porze, Dev?

– Bo chcę, żebyś był tu u mnie za godzinę. – Ja? Dlaczego?

– Bo jesteś ostatnim człowiekiem, który rozmawiał z Jenną Angieline, a tak się złożyło, że ktoś wyciął jej inicjały na głowie Curtisa Moore’a. Bo wczoraj spotkałeś się z Socją i nie powiedziałaś mi. Bo na mieście mówi się, że masz coś, za co i Socja, i Roland gotowi są zabić, i jestem zmęczony czekaniem, aż powiesz mi z dobrego serca, co to jest. Bo chociaż kłamstwo jest twoją drugą naturą, w pokoju przesłuchań kłamię się trudniej. Więc zbieraj dupę w troki i zabierz ze sobą swoją współpraczkę.

– Wezmę też chyba Cheswicka Hartmana.

– Śmiało, Patrick. To mnie tak uraduje, że wniosę przeciwko tobie oskarżenie o utrudnianie śledztwa i zamknę cię na noc w pudle. Zanim Cheswick cię wydobędzie, wszystkie te skurwysyny, których wczoraj aresztowaliśmy, saintsi i avengersi, zdążą nawiązać intymną znajomość z twoją dupą.

– Będę za godzinę.

– Za pięćdziesiąt minut – poprawił. – Twój czas zaczął się liczyć od chwili, gdy odebrałeś telefon. – Odłożył słuchawkę.

Zadzwoń do Angie i powiedz jej, że będę gotów za dwadzieścia minut.

Nie zadzwoniłem do Cheswicka.

Zadzwoń do Richiego do domu, ale wyszedł już do pracy. Odszukałem go tam.

– Co wiesz? – spytał.

– To samo, co wy, chłopaki.

– Pierdolisz. Twoje nazwisko przewija się w tym cały

czas, Patrick. I coś kurewsko dziwnego dzieje się w Senacie.

Akurat wciągałem koszulę, ale zastygłem zmrożony, z ręką wyciągniętą i sztywną jak w gipsie.

– Co takiego kurewsko dziwnego?

– Ustawa o terroryzmie ulicznym.

– Co z ustawą?

– Dzisiaj miała wejść pod obrady. Rano. Żeby wszyscy zdążyli przed korkami, gdy będą wyjeżdżać na Czwartego Lipca.

– I?

– I nikogo nie ma. Senat jest pusty. W nocy w walkach gangów ginie dwanaście dzieciaków, a rano, kiedy ma się odbyć dyskusja i głosowanie nad ustawą, która miała na celu opanowanie tego burdelu, nagle nikogo to nie interesuje.

– Muszę lecieć – powiedziałem.

Gdybym wysłał swój telefon pocztą lotniczą na Rhode Island, jeszcze słyszałbym jego głos.

– Powiedz mi, kurwa, co wiesz.

– Nada. Muszę pędzić.

– Koniec z przysługami, Patrick. Raz na zawsze.

– Uwielbiam, kiedy mnie besztasz. – Odłożyłem słuchawkę.

Czekałem przed kościołem, gdy Angie zajechała tym brązowym czymś, co nazywa samochodem. W weekendy i święta Phil go nie potrzebuje: robi sobie zapas budweisera, rozwala się w bujanym fotelu i ogląda telewizję jak leci. Kto by potrzebował samochodu, skoro rozbitkowie jeszcze nie wydostali się z wyspy? Angie chętnie prowadzi, kiedy tylko ma okazję, bo wtedy może

słuchać swoich kaset; poza tym twierdzi, że kiedy siedzę za kierownicą Potwora, prowadzę beznadziejnie, bo nie obchodzi mnie, co się z nim stanie. To nie jest do końca prawda: gdyby coś się z nim stało, na pewno obesłoby mnie to na tyle, by wygekwawać pieniądze z towarzystwa ubezpieczeniowego.

Droga na Berkeley Street zajęła nam mniej niż dziesięć minut. Miasto było puste. Ci, którzy wybrali się na Cape Cod, wyjechali w czwartek lub piątek. Ci, którzy wybierali się na jutrzejszy koncert i pokaz fajerwerków na Esplanade, nie wylegli jeszcze z domów. Kto żyw, wziął dzień wolny. Podczas naszej przejażdżki widzieliśmy coś, co dane jest zobaczyć tylko nielicznym bostończykom – puste miejsca parkingowe. Za każdym razem prosiłem Angie, żeby na chwilę zaparkowała, tylko po to, żeby zobaczyć, jak to jest.

Górne Berkeley, obok Komendy Głównej Policji, wyglądało inaczej. Budynek otaczały zapory. Muskularny strażnik gestem kazał nam jechać dalej. Zobaczyliśmy furgonetki z antenami satelitarnymi na dachach, kable ścielące się po ulicy jak zapasione pytony, białe wozy telewizyjne zaparkowane na chodniku i czarne sedany wyższych szarż policyjnych poparkowane na trzeciego.

Skręciliśmy w St James i zaparkowaliśmy bez większego trudu. Pieszko wróciliśmy do tylnego wejścia do budynku. Przed drzwiami stał w postawie wojskowej młody czarny gliniarz z rękami skrzyżowanymi za plecami, na lekko rozstawionych nogach. Zlustrował nas czujnym wzrokiem.

– Prasa wchodzi od frontu.

– Nie jesteś z prasy. – Wylegitymowaliśmy się. – Jesteśmy umówieni z inspektorem Amronklinem.

Gliniarz kiwnął głową.

– Tymi schodami. Piąte piętro, korytarzem w prawo. Tam już go znajdziecie.

Był tam rzeczywiście. Na końcu długiego korytarza, siedział na stole ze swoim partnerem, Oscarem Lee. Oscar jest wielki, czarny i tak samo ostry jak Devin. Gada trochę mniej, ale pije tyle samo. Pracują w zespole od tak dawna i są tak zgrani, że nawet sprawy rozwodowe mieli tego samego dnia. Każdy już kiedyś przyjął w swoje ciało kulkę przeznaczoną dla tego drugiego. Zapuszczanie się w choćby najbardziej powierzchowną warstwę ich wzajemnego stosunku byłoby kopaniem plastikową łyżeczką w żelbetonie. Zauważyli nas równocześnie i gdy zmierzaliśmy ku nim korytarzem, przypatrywali nam się zmęczonymi oczami. Obaj wyglądali parszywie, wykończeni, na granicy wytrzymałości nerwowej, wyraźnie gotowi rozdeptać każdego, kto nie da im tego, czego zażądata. Obaj mieli plamy z krwi na koszulach i kubki z kawą w dłoniach.

Weszliśmy do ich pokoju.

– Hej – powiedziałem.

Jednocześnie skinęli głowami. Bardziej podobni do siebie mogliby być tylko, gdyby byli zrośnięci biodrami.

– Siadajcie – rzekł Oscar.

Na środku pokoju stał porysowany stolik karciany, a na nim magnetofon i telefon. Zajęliśmy miejsca przy ścianie, Devin siadł po mojej prawej stronie, a Oscar po lewej stronie Angie, obok magnetofonu. Devin zapalił papierosa, a Oscar włączył magnetofon. Rozległ się głos: „Nagranie zarejestrowane szóstego sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Kod kreskowy pięćdziesiąt siedem pięćdziesiąt sześć siedemset dziewięćdziesiąt osiem. Depozyt Komendy Głównej Policji

w Bostonie, posterunek numer dziewięć, Berkeley Street sto pięćdziesiąt cztery”.

– Podkreć trochę głośniej – powiedział Devin.

Oscar usłuchał. Przez piętnaście czy dwadzieścia sekund nie było słycać nic, a potem rozległ się głuchy łoskot i brzęk metalu o metal, jakby podczas uroczystej kolacji na dziesięć osób wszyscy jednocześnie otarli widelce o noże. Gdzieś w tle kapąca woda. Naraz ktoś się odezwał:

– Tnij go jeszcze raz.

Devin popatrzył na mnie.

Ten głos brzmiał jak głos Socii.

– Gdzie? – spytał inny głos.

– Co mnie to, kurwa, obchodzi? – odpowiedział Socia.

– Wykaż trochę inicjatywy. Kolano to dosyć wrażliwe miejsce.

Przez chwilę słycać było tylko kapanie wody, a potem krzyk, długi, głośny i przenikliwy.

Socia się roześmiał.

– Teraz pójdzie oko, więc może byś mi powiedział i będziesz to miał za sobą.

– Miej to za sobą. I tak masz przejebane, Anton – doradził ten inny głos.

– I tak masz przejebane, Anton. Wiesz o tym. Głuchy, spazmatyczny dźwięk. Łkanie. – To oko za bardzo łzawi. Wyjmij je. Wyprostowałem się na swoim krześle.

– Co? – spytał ten drugi głos.

– Niewyraźnie mówię? Wyjmij je – Socia.

Rozległ się cichy, nieprzyjemny dźwięk, jakby plaśnięcie buta, który wdepnął w coś miękkiego.

A potem ten wrzask. Nienaturalnie wysoki, mieszanina potwornego bólu, niedowierzania i zgrozy.

– Leży przed tobą na podłodze, Anton. Nazwisko, kurwa. Kto cię skaptował?

Wrzask nie cichł. Rozbrzmiewał w powietrzu czysto, mocno i jednostajnie.

– Kto cię skaptował? Przestań wrzeszczeć. – Ostry odgłos uderzenia ciała o ciało. Wrzask wzniósł się o nutę wyżej.

– Kto cię, kurwa, skaptował?

Wrzask stał się teraz wyzywający. Skowyt wściekłości.

– Kto cię, ku... Nie, kurwa. Wywał drugie. Nie, nie tym. Weź łyżkę, człowieku.

Rozległ się odgłos cichych kroków nieco zakłóconych piskami – najwyraźniej oddalały się od magnetofonu.

Skowyt przeszedł w jęk. Skomlenie.

– Kto cię skaptował, Anton? – spytał Socia łagodnym szeptem. – To się niedługo skończy, jak tylko mi powiesz.

Piskliwy głos wyskomlał coś niezrozumiałego.

– Obiecuję. Zaraz się skończy, tylko mi powiedz. Umrzesz szybko i bez bólu.

Rozpaczliwy szloch, zachłystywanie się, urywany oddech, jednostajne łkanie. Przez ponad minutę.

– No już. Powiedz mi.

Spomiędzy szlochów dało się słyszeć:

– Nie. Nie, ja...

– Daj mi tę pierdoloną łyżkę.

– Devin! Glina! Devin! – Słowa zabrzmiały, jakby zostały wydarte z wyszarpanej w ciele dziury.

Devin wyciągnął rękę i wyłączył magnetofon. Uprzytomniłem sobie, że siedzę sztywno, na samym brzeżku krzesła z kręgosłupem wygiętym w łuk. Zerknąłem na Angie. Twarz miała zbielełą, pięści zaciśnięte na poręczach krzesła.

Oscar znużonym wzrokiem spoglądał w sufit.

– Anton Meriweather, lat szesnaście. Dogadaliśmy się z nim w grudniu. Został naszym informatorem. Był żołnierzem saintsów. Aha, oczywiście nie żyje.

– Macie tę taśmę – powiedziałem. – Dlaczego Socia jeszcze jest na wolności?

– Widziałeś kiedyś, żeby sąd przysięgłych wypowiedział się na podstawie nagrania magnetofonowego? – spytał Devin. – Co to, nie wiesz, ilu ludzi, których głos brzmi zupełnie tak samo jak ten z taśmy, znajdzie mu obrońca? Słyszałeś, żeby ktoś wymienił Socie z nazwiska?

Pokręciłem głową.

– Chciałem tylko, żebyście wiedzieli, z kim macie do czynienia, dzieci. Po tym, jak Anton podał moje nazwisko, obrabiali go jeszcze przez dziewięćdziesiąt minut. Dziewięćdziesiąt minut. Z wylupanym okiem to długo. Kiedy go znaleźliśmy trzy dni później, nie rozpoznałem go. Jego matka też nie. Musieliśmy zrobić badanie zębów, żeby się upewnić, że to on.

Angie odchrząknęła.

– Skąd macie tę taśmę?

– Anton miał magnetofon – wyjaśnił Oscar. – Między nogami. Wiedział, że to wszystko jest nagrywane, wystarczyło tylko, żeby wymienił nazwisko Socii, ale mózg mu zaparował i zapomniał. Takie rzeczy robi z człowiekiem ból. – Spojrzał na Devina, potem znowu na mnie. – Panie Kenzie, nie chcę tu odgrywać sceny z filmu, gdzie jest dobry glina i zły glina, ale Devin koleguje się z panem, ja nie. Natomiast cholernie lubiłem Antona. Chcę więc wiedzieć, co wiecie o tym burdelu, i chcę to wiedzieć już. Może pan wymyślić jakiś sposób, żeby mi to

powiedzieć, nie kompromitując swoich klientów, mnie to obojętne. Ale jeśli nie zdoła pan wymyślić, i tak musi mi pan powiedzieć. Bo mamy już lekko dosyć zbierania trupów po ulicach.

Rozumiałem go.

– Proszę pytać.

– O czym rozmawiałeś wczoraj z Socią? – zaczął Devin.

– On myśli, że mam obciążające go materiały, które dała mi Jenna Angieline. Chciał je ode mnie kupić w zamian za moje życie. Powiedziałem mu, że jeśli ja zginę, to on też.

– Kłania się Bubba Rogowski – skomentował Oscar.

Uniosłem lekko brwi i skinąłem głową.

– Jakie masz dowody przeciwko Socii? – pytał Devin.

– Nie mam nic.

– Gówno prawda.

– Nie gówno prawda, tylko prawda, że gówno. Nie mam nic, co mogłoby doprowadzić do skazania Socii nawet za przejście przez ulicę w niedozwolonym miejscu.

– Jenna Angieline twierdziła, że są jakieś materiały, które prowadzą do nich, ale zginęła, nim zdążyła powiedzieć, co to jest i gdzie jest – wyjaśniła Angie.

– Na mieście mówi się, że Jenna dała panu coś tuż przedtem, nim Curtis Moore ją załatwił.

Spojrzałem na Angie. Skinęła głową. Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem jeszcze jedną kserokopię zdjęcia. Podąłem ją Devinowi.

– Dała mi to.

Devin popatrzył, szczególnie uważnie na Paulsona, i rzucił zdjęcie Oscarowi.

– Gdzie reszta?

– To wszystko.

Oscar spojrział na zdjęcie, spojrział na Devina. Pokiwał głową i przeniósł wzrok na mnie.

– Bawić się w kotka i myszkę to nie z nami. Może w pierdłu poprawi wam się pamięć.

– To wszystko, co mam.

Trzasnął niedźwiedzią łapą o blat.

– Gdzie jest oryginał? Gdzie reszta?

– Nie wiem, gdzie jest reszta, a oryginał mam ja. Ale go nie oddam. Możecie mnie wsadzić do pierdła. Możecie mnie wsadzić do jednej celi z saintsami. Co wam się tylko podoba, mam to gdzieś. Bo i tak mam większe szanse przeżyć w tej celi, z tym zdjęciem w bezpiecznym miejscu niż na ulicy bez niego.

– Nie wierzysz, że jesteśmy w stanie cię ochronić? – spytał Devin.

– Nie, panowie, nie wierzę, że jesteście w stanie mnie ochronić. Nie mam nic na Socie, ale on uważa, że mam. Dopóki tak myśli, ja jeszcze oddycham. Jak tylko się zorientuje, że blefuję, zorganizuje mi rewanż za Curtisa Moore’a i skończę jak Anton.

Pomyślałem o Antonie i zrobiło mi się niedobrze.

– Socia ma teraz za dużo spraw na liście, żeby się tym zajmować – powiedział Oscar.

– To ma być pocieszenie? Mam się cieszyć życiem przez jakiś tydzień, dopóki Socia nie powykreśla ważniejszych punktów ze swojej listy i nie przypomni sobie o mnie? Ani mi się śni. Chcecie się dowiedzieć, co o tym myślę, czy zamierzacie dalej uganiać się za własnym ogonem?

Patrzyli na siebie, porozumiewając się w sposób czytelny tylko dla takich facetów jak oni. W końcu Devin

powiedział:

– W porządku. Powiedz, co twoim zdaniem się dzieje.

– Między Socją a Rolandem, nie mam pojęcia, słowo honoru. – Podniosłem fotokopię, trzymając ją tak, żeby ją dobrze widzieli. – Ale wiem, że dziś rano w Senacie miała być głosowana ustawa o terroryzmie ulicznym.

– No i?

– No i nie była. Akurat dzisiaj, w tej sytuacji, zachowali się, jakby problem nagle przestał istnieć.

Devin spojrział na fotokopię, uniósł brew. Wziął słuchawkę telefonu, wybrał kilka cyfr, czekał.

– Dajcie mi komendanta Willisa ze straży senackiej. – Bębnił palcami po stole i wciąż patrzył na fotokopię. Wyciągnął rękę, wyjął mi ją z palców, położył przed sobą na stole i nadal się jej przyglądał. My z braku lepszego zajęcia przyglądaliśmy się jemu. – John? Mówi Devin Amronklin... Tak, mam pełne ręce roboty... Co? Tak, myślę, że będzie więcej. Dużo więcej... Słuchaj, John, chcę cię o coś spytać. Czy jacyś politycy przyszli dzisiaj na posiedzenie? – Słuchał. – No tak, gubernator, jasne. I co jeszcze będzie robił... No tak, jasne, jasne. I... tak, tak. A co z tą ustawą, którą mieli... Aha... A kto?... Jasne, zaczekam. – Przytrzymał słuchawkę ramieniem przy szyi i znowu zabębnił palcami po stole. – Tak, jestem... Dobra, John. Serdeczne dzięki... Nie, nic takiego. Po prostu byłem ciekaw. Jeszcze raz dziękuję.

Odłożył słuchawkę i obrzucił wzrokiem naszą trójkę.

– W piątek ktoś zgłosił wniosek, żeby senatorowie mogli się nacieszyć długim weekendem jak wszyscy inni.

– Kto to taki ten ktoś? – spytała Angie. Devin postukał palcem w fotokopię.

– Pan senator Brian Paulson. Mówi wam to coś? Bez

słowa patrzyłem mu w oczy.

– W ścianach nie ma ukrytych kamer ani magnetofonów – dodał.

Zerknąłem na fotokopię.

– Nie wolno mi ujawniać nazwisk moich klientów.

Devin skinął głową. Oscar się uśmiechnął. To się im spodobało. Powiedziałem im to, co chcieli wiedzieć.

– Duża sprawa, co? – spytał Devin. Wzruszyłem ramionami. Kolejne potwierdzenie. Devin popatrzył na Oscara.

– Masz coś jeszcze?

Oscar pokręcił głową. Oczy mu pojaśniały.

– Odprowadzimy ich na dół. Może być, inspektorze Lee?

Gdy wychodziliśmy tylnymi drzwiami, Oscar powiedział młodemu policjantowi, żeby poszedł napić się kawy. Uścisnął dłoń Angie, potem moją.

– Jeśli to sięga wysoko, możemy wszyscy stracić odznaki.

– Wiem – odparłem.

Devin rozejrzał się po zapleczu budynku.

– Zaatakować ratusz to jedno, a budynek parlamentu to coś zupełnie innego.

Pokiwałem głową.

– Vine – powiedział Oscar i spojrzał na Devina. Devin westchnął.

– Nie pierdol.

– Vine? – spytała Angie.

– Chris Vine – rzekł Oscar. – Kilka lat temu wiceszef policji twierdził, że ma materiały na jakiegoś senatora, nawet wyżej.

– I co?

– W jego szafce znaleziono dwa kilo heroiny – powiedział Devin.

– Oraz strzykawkę i igły – dodał Oscar.

Devin przytaknął.

– Parę tygodni później Vine połknął kulkę ze swojego pistoletu.

Oscar i Devin znowu wymienili spojrzenia. Było w nich coś dziwnego. To mógł być strach.

– Uważajcie na siebie, oboje. Będziemy w kontakcie.

– Załatwione.

– Jeśli ciągle jesteś blisko z Richiem Colganem – dodał Devin – powiedziałbym, że być może to jest odpowiednia pora, żeby z tego skorzystać.

– Jeszcze nie całkiem.

Oscar i Devin jeszcze raz popatrzyli po sobie. Oddychali ciężko, urywanie. Oscar zerknął na niebo.

– Znosi się na kurewską burzę, niedługo.

– A my czworo bez parasoli – dodała Angie.

Wszyscy zachichotaliśmy. Ale krótko i dyskretnie. Było to jak śmiech na stypie.

Pojechaliśmy przez Boylston do Arlington, a potem na Greyhound Station. Przemierzyliśmy bezkresne morze dziwek, alfonsów, naciągaczy i wszelkiej maści kryminalistów, aż wreszcie dotarliśmy do szachownicy ciemnozielonych metalowych schowków bagażowych. Numer 506 był w górnym rzędzie. Musiałem się trochę wysilić, żeby tam sięgnąć i wypróbować klucz.

Nie pasował. Jedna stacja odfajkowana.

Sprawdziliśmy kilka pomniejszych. Nic.

Pojechaliśmy na lotnisko. Logan Airport ma kilka terminali oznaczonych literami od A do E. Na terminalu A nie było schowka numer 506. Na B w ogóle nie było schowków bagażowych. Terminal C nie miał schowków w hali przylotów. Poszliśmy do hali odlotów. Była wymarła jak reszta miasta. W wypolerowanej posadzce, śliskiej i nieporysowanej, odbijały się jaskrawe jarzeniówki z sufitu. Znaleźliśmy numer 506, nabraliśmy dużo powietrza, wypuściliśmy, gdy okazało się, że klucz nie pasuje.

To samo z D i E.

Sprawdziliśmy wschodni Boston, Chelsea, Revere. Nada. W Everett wstąpiliśmy do baru kanapkowego i usiedliśmy przy oknie. Poranek zgasł i niebo zastygło w wilgotnej gazetowej szarości. Nie było nawet szczególnie zachmurzone, po prostu stanowczo bezsłoneczne. Po drugiej stronie ulicy zatrzymał się czerwony mustang. Jego kierowca spoglądał na sklep z płytami. Pewnie czekał na kumpla.

– Myślisz, że jest tylko ten jeden? – spytała Angie. Zaprzeczyłem ruchem głowy i przełknąłem kęs pieczeni

wołowej.

– To dowódca.

Przyglądaliśmy się mu oboje. Zaparkował prawie czterdzieści metrów od nas. Kształtna czarna czaszka była wygolona tak starannie, że aż lśniła. Ten nie miał okularów. Pewnie nie chciał, by cokolwiek ograniczało jego pole widzenia, gdy będzie do mnie strzelał.

– Jak sądzisz, gdzie jest Bubba? – spytałem.

– Gdybyśmy go widzieli, toby znaczyło, że nie robi tego, co do niego należy.

Przytaknąłem.

– A jednak miło by było, gdyby co jakiś czas odpalił racę, tak tylko dla mojego spokoju.

– To on jest twoim spokojem, Poślizg.

Trudno dyskutować z faktami.

Przeprowadziliśmy mustanga naszym śladem przez Sommerville i na drogę numer 93 prowadzącą do miasta. Zjechaliśmy z niej na South Station i zaparkowaliśmy na Summer Street. Mustang przejechał dalej, wraz z innymi samochodami za pocztę. Skręcił w prawo, a my wysiedliśmy i poszliśmy do głównego wejścia.

South Station wyglądała kiedyś jak wymarzony plan filmu gangsterskiego. Budynek stacji jest ogromny, zwieńczony potężnym katedralnym sklepieniem, a marmurowe posadzki zdają się biec w nieskończoność. Kiedyś jedynymi obiektami w całej tej ogromnej przestrzeni były drewniany kiosk z gazetami, stanowisko czyścibuta i kilka ciemnych mahoniowych okrągłych ławek, masywnych, ustawionych w dwóch rzędach. Idealne miejsce dla kogoś, kto siedząc – w szaroniebieskim wełnianym garniturze i dobranym pod kolor filcowym

kapeluszu – obserwuje ludzi zza gazety. Potem nadeszły ciężkie czasy, zapomniane czasy, gdy marmur zbrązował i spękał, kiosk domagał się malowania albo rozebrania, a stanowisko czyściciela butów znikło zupełnie. A jeszcze później, kilka lat temu – renowacja. Teraz jest tu bar z hotdogami i pizzą pod żółtym neonem, ciastkarnia z parasolami Cinzano nad czarnymi stolikami z kutego żelaza i nowy kiosk, który wygląda jak skrzyżowanie kafejki i księgarni. Wnętrze wydaje się mniejsze, nastrojowe ciemne barwy gromadzące cienie wokół promieni przyćmionego słońca zastąpiły jaskrawe światła i fałszywie radosna atmosfera. Cóż, żadne pieniądze zainwestowane w atmosferę i tak nie zmieniają faktu, że stacja kolejowa to miejsce, gdzie ludzie czekają, zazwyczaj bez szczególnej wesołości, na pociąg, który ich stamtąd zabierze.

Schowki bagażowe są z tyłu, w pobliżu toalet. Gdy szliśmy w ich stronę, starszy facet ze sztywnymi siwymi włosami, używając wzmacniacza głosu, oznajmił: „Pociąg Ambasador do Providence, Hartford, New Haven i Nowego Jorku wjeżdża na tor przy peronie trzydziestym drugim”. Gdyby palant jeden miał megafon, niezawodnie bym ogluchł.

Zagłębiliśmy się w ciemny korytarz i znaleźliśmy się w niedawnej przeszłości. Nie było tu jaskrawych neonów ani żadnych ozdób, tylko marmur i przyćmione światło żółtych lamp blisko spokrewnionych ze świecami. W półmroku przeszukiwaliśmy rzędy schowków, próbując odcyfrować niewyraźne, ozdobne mosiężne cyfry, gdy nagle Angie powiedziała:

– Jest.

Pomacałem się po kieszeniach.

- Ty masz klucz, prawda?
- Patrick.
- Gdzie go ostatnio wyjmowaliśmy?
- Patrick – powtórzyła, tym razem przez zaciśnięte zęby. Podniosłem klucz.
- Boże, już nawet nie można zażartować.

Wyrwała mi go z ręki, wetknęła do dziurki i przekręciła. Chyba była jeszcze bardziej zaskoczona niż ja.

To była niebieska torba plastikowa. Na środku miała duży ozdobny biały napis „Gap”. Angie podała mi ją. Lekka. Zajrzeliśmy jeszcze raz, przeszukaliśmy wnętrze schowka. Nic więcej. Angie puściła drzwi, które zatrzasnęły się z lekkim szcęknięciem, i ruszyliśmy z powrotem. Torbę niosłem w lewej ręce. Nasz krok był nieomal taneczny. Dzień wypłaty.

A może zapłaty – zależy od perspektywy.

Wygolony chłopak, który siedział za kierownicą mustanga, zbliżał się do nas szybko. Zobaczył nas, stanął zaskoczony i już zaczął się odwracać, gdy zauważył torbę. Kurewsko inteligentnie z mojej strony, że nie schowałem jej pod kurtkę. Łysol podniósł prawą rękę nad głowę, a lewą sięgnął pod kamizelkę.

Od kontuaru ciastkarni oderwało się dwóch wyrostków, a jeszcze jeden – facet, starszy od tej trójki – wolnym krokiem ruszył ku nam z lewej strony, z okolicy wyjścia.

Łysol miał już pistolet przygotowany, trzymał go przy nodze, idąc swobodnie, ale nie odrywając od nas wzroku. Stacja była pełna. Między nami a łysolem przewalał się nieświadomy niczego tłum ludzi z kubkami kawy, gazetami i bagażami. Łysol zaczynał się uśmiechać: dzieliło go od nas już tylko niecałe dwadzieścia metrów. Ja też miałem

teraz w ręku pistolet, od przodu osłonięty torbą. Angie trzymała rękę w kieszeni. Oboje ostrożnie stawialiśmy kroki. Tłum przepływał obok nas; od czasu do czasu ktoś nas potraçał. Łysol poruszał się powoli, ale pewnie, jakby każdy jego ruch był elementem choreografii. Jego uśmiech był teraz szeroki; to był uśmiech człowieka uzależnionego od adrenaliny, napędzającego się napięciem. Jeszcze tylko piętnaście metrów; łysol zaczął się lekko kołysać. Wyraźnie był już na haju.

Wtedy z tłumu wyłonił się Bubba i odstrzelił mu tył głowy.

Chłopak wyskoczył w powietrze z rozrzuconymi rękami, z piersią podaną do przodu, jakby rzucał się do wody, i runął na twarz. Tłum eksplodował, rozpryskując się po marmurze na wszystkie strony. Ludzie wpadali jedni na drugich, rozbiegając się bez wyraźnego kierunku, byle jak najdalej od trupa, jak bezskrzydłe gołębie, potykając się i ślizgając, próbując podnieść się z marmuru, zanim inni ich stratuja. Facet po naszej lewej stronie wycelował w nas z trzymanego jedną ręką uzi: błyskawicznie osunęliśmy się na kolana, a kule, odbite rykoszetem od ściany, obsypały nas fragmentami muru. Znowu wypaliła strzelba Bubby i facet z uzi podskoczył, jakby właśnie szarpnął za linkę spadochronu. Runął do tyłu przez okno, ale szyba nie roztrzaskała się całkowicie i zawisł tak, połową ciała na zewnątrz, połową wewnątrz, niczym w szklanej pajęczynie.

Gdy Bubba wyrzucał łuski i ładował następne naboje, ja wziąłem na cel tamtych dwóch chłopaków. Wypuściłem trzy strzały, a oni dali nura pod żelazne stoliki. W takim tłumie nie dało się strzelać celnie, więc Angie i ja pruliśmy po stolikach, a kule odbijały się od żelaznych nóg. Gdy Bubba skierował broń w ich stronę, jeden z wyrostków

przeturlał się na plecy, wypalił z trzystasiedemdziesiątkipiątki i trafił go w górną część klatki piersiowej. Strzelba strzaskała szkło dwa metry nad ich głowami i Bubba osunął się na ziemię.

W tym momencie wóz policyjny z Atlantic wjechał prosto na chodnik, podskakując na krawężniku, i zatrzymał się tuż przed szklanymi drzwiami. To, co jeszcze pozostało z tłumu, natychmiast oprzytomniało: wszyscy położyli się płasko brzuchami na marmurze, zakrywając głowy rękami i zasłaniając się bagażami jak murkami oporowymi. Chłopcy, potykając się o stoliki, pomknęli w kierunku torów, po drodze strzelając do nas przez okna.

Rzuciłem się na środek stacji, do Bubby, ale wtedy na krawężnik wskoczył drugi wóz policyjny. Dwaj pierwsi gliniarze byli już wewnątrz i pruli do chłopaków na torach. Angie chwyciła mnie za rękę i pobieглиśmy na korytarz. Okno po mojej lewej stronie roztrzaskało się w drobny mak; szkło białą kaskadą wypadało z ramy. Gliniarze byli coraz bliżej; strzelali teraz bardziej precyzyjnie, podczas gdy chłopcy, próbując nas dosięgnąć, wpadali jeden na drugiego. Zanim dopadliśmy korytarza, jeden z nich nagle zakręcił się wokół własnej osi jak kolorowy bąk i usiadł. Sprawiał wrażenie oszołomionego, a szkło padało wokół niego jak śnieg.

Angie kopnęła przycisk alarmu w tylnych drzwiach i dworzec wypełnił przenikliwy ryk syreny. Jej nawoływanie niosło się za nami po ulicy, gdy pędziliśmy wzdłuż rzędu ciężarówek w kierunku rogu ulicy. Wybiegliśmy na jezdnię i minęliśmy przecnicę. Zatrzymaliśmy się na rogu, kilka razy głęboko odetchnęliśmy, na chwilę wstrzymaliśmy powietrze, gdy obok nas przemknęły dwa kolejne wozy policyjne.

Czekaliśmy na zmianę świateł, a po twarzach ściekał nam pot. Gdy zapaliło się czerwone, pokłusowaliśmy przez Atlantic do Chinatown. Teraz szliśmy Beach Street; minęliśmy mężczyzn okładających ryby lodem, kobietę wylewającą wiadro cuchnącej wody z małej rampy przeładunkowej, parę starych Wietnamczyków w strojach, jakie nosiło się w ich kraju za czasów okupacji francuskiej. Niewysoki gość w białej koszuli klócił się z muskularnym włoskim kierowcą ciężarówki. Kierowca powtarzał: „Codziennie, kurwa, to samo. Mów po angielsku, do cholery”, a mały odpowiadał: „Nie mówić angielski. Kurwa za duży kosztować, do cholery”. Gdy przechodziliśmy obok nich, kierowca ciężarówki powiedział: „Aha, teraz rozumiem, a nawet «kurwa za duży»„. Mały wyglądał, jakby miał wielką ochotę go zastrzelić.

Na rogu Beach i Harrison złapaliśmy taksówkę. Powiedzieliśmy irańskiemu kierowcy, gdzie chcemy jechać. Przyjrzał nam się we wstecznym lusterku:

– Ciężki dzień?

Obojętne gdzie się człowiek znajdzie, „ciężki dzień” i „kurwa za duży” są najwyraźniej elementami języka uniwersalnego. Skinąłem głową.

– Ciężki dzień.

Wzruszył ramionami.

– Ja też – powiedział i wjechał na autostradę.

Angie oparła głowę o moje ramię.

– Co z Bubką? – spytała zduszonym, schrypniętym głosem.

– Nie wiem – odparłem, patrząc na torbę z napisem Gap na kolanach.

Wzięła mnie za rękę, a ja odpowiedziałem mocnym

uściskiem.

Siedziałem w pierwszym rzędzie ławek w kościele St Bart's i patrzyłem, jak Angie zapala świeczkę w intencji Bubby. Chwilę nad nią stała, osłaniając dłońmi żółty płomień, aż napasł się tlenem. Potem uklękła i skłoniła głowę.

Ja też zacząłem skłaniać swoją, ale zatrzymałem się w pół drogi i zastygłem – jak zawsze.

Wierzę w Boga. Może nie w katolickiego Boga ani nawet nie w chrześcijańskiego Boga, ponieważ trudno mi wyobrazić sobie Boga jako przywódcę elity. Trudno mi też wyobrazić sobie, że siła, czymkolwiek jest, która stworzyła lasy tropikalne, oceany i nieskończony wszechświat, tym samym aktem stworzyła coś tak nienaturalnego jak ludzkość na swoje podobieństwo. Wierzę w Boga, ale nie jako istotę, raczej jako coś, co stanowi wyzwanie dla mojej zdolności formułowania pojęć w ramach dość ubogiego układu odniesienia, jakim dysponuję.

Przestałem się modlić – a także skłaniać głowę – dawno temu, mniej więcej wtedy, gdy moje modlitwy przekształciły się w szeptane błagania o upadek Bohatera i o odwagę niezbędną, bym mógł mieć w tym swój udział. Nigdy się na nią nie zdobyłem, a upadek nastąpił powoli, wśród bezsilnego chaosu resztek emocji.

A potem świat kręcił się tak samo jak przedtem i uznałem, że kontrakt między mną a Bogiem wygasi, został złożony w grobie razem z moim ojcem.

Angie wstała, przeżegnała się i odeszła od ołtarza. Stała przy mnie, patrząc na leżącą obok torbę z napisem Gap. Czekala.

Z powodu tej niewinnie wyglądającej torby Bubba

może już nie żył, może umierał, a może był tylko ciężko ranny. Jenna nie żyła. Tak samo Curtis Moore, tych dwóch czy trzech z Amtrak Station i kilkunastu bezimiennych synów ulicy, którzy zapewne od dawna już byli praktycznie jak martwi. Zanim to wszystko się skończy, prawdopodobnie Socia albo ja poprawimy tę statystykę. Może obaj. Może Angie. Może Roland.

Tyle bólu w takiej zwykłej plastikowej torbie.

– Oni niedługo tu będą – powiedziała Angie. – Otwórz.

„Oni”, czyli policja. Devin i Oscar nie będą potrzebowali dużo czasu na rozszyfrowanie niezidentyfikowanego białego mężczyzny i niezidentyfikowanej białej kobiety, którzy stoczyli na stacji walkę z gangsterami, wspomagani przez znanego przemytnika broni – Bubbę Rogowskiego.

Rozluźniłem zaciągnięty sznurek, włożyłem rękę do torby i natrafiłem na niezbyt gruby folder. Wyciągnąłem go i rozłożyłem. Znowu zdjęcia.

Podniosłem się i rozłożyłem je na kościelnej ławce. Było ich dwadzieścia jeden. Na ich powierzchni kładły się rozszczipione trójkąty światła i cienia z witrażowych okien. Ani jedno nie przedstawiało niczego, co chciałbym zobaczyć; wszystkie przedstawiały coś, co zobaczyć musiałem.

Zostały wykonane tym samym aparatem i w tym samym ujęciu, co fotografia, którą dała mi Jenna. Na większości z nich był Paulson, Socia tylko na kilku. Ten sam obskurny pokój w motelu, ten sam ziarnisty obraz, ten sam kąt nachylenia kazały mi przypuszczać, że były to stopklatki z wideokasety nagrywanej przez kamerę ulokowaną dwa i pół do trzech metrów od miejsca akcji, może za lustrem weneckim.

Na większości zdjęć Paulson występował bez bielizny, ale w czarnych skarpetkach. Na niewielkim podwójnym łóżku zasłanym pogniecioną, poplamioną pościelą najwyraźniej zażywał rozkoszy.

Trudno byłoby to natomiast powiedzieć o drugiej znajdującej się na łóżku osobie. Obiektem czułości Paulsona – jeśli można tak to określić – było dziecko. Mały, bardzo chudy czarny chłopczyk, który nie mógł mieć więcej niż dziesięć, może jedenaście lat. Nie miał na sobie skarpetek. Nie miał na sobie w ogóle nic. Nie wyglądało na to, że bawi się tak dobrze jak Paulson.

Natomiast wyglądało na to, że bardzo cierpi.

Szesnaście z dwudziestu jeden zdjęć przedstawiało sam akt seksualny. Na niektórych pojawiał się Socia, nachylony, w postawie, jakby udzielał Paulsonowi wskazówek. Na jednym trzymał dziecko za głowę, odchylając ją do tyłu i przyciskając do piersi Paulsona jak jeździec ściągający lejcamy konia. Paulson najwidoczniej nie miał nic przeciwko temu, może nawet nie zauważył. Oczy miał przymknięte, usta zasznurowane z rozkoszy.

Dziecko chyba jednak miało coś przeciwko temu.

Z pięciu ostatnich fotografii cztery przedstawiały Paulsona i Socie pijących ciemny płyn ze szklanek z hotelowej łazienki, obgadujących sprawę, opartych o komodę, wielce zadowolonych z życia. Na jednej widoczna była smukła noga chłopca, tyle że nieostra, zaplątana w brudne prześcieradła.

– O mój Boże – powiedziała Angie łamiącym się, piskliwym głosem, który brzmiał, jakby wydobywał się z gardła innej osoby. Prawą pięść o zbielełej, pomarszczonej skórze wcisnęła sobie w usta. Jej oczy wezbrały łzami. Ciepłe nieruchome powietrze w kościele

na chwilę zamknęło się wokół mnie. Poczulem ciężar w piersiach i szum w głowie. Jeszcze raz popatrzyłem na fotografie i w żołądku zawirowała mi fala mdłości.

Zmuszałem się, żeby na nie patrzeć, nie odwracać oczu, i po niedługim czasie mój wzrok skoncentrował się na dwudziestej pierwszej, jakby przyciągnęła go i zatrzymała pojedyncza plamka światła na ciemnym ekranie. Wiedziałem już, że ta fotografia wypaliła swoje piętno w moich snach i mrokach mojej duszy, w tych obszarach umysłu, nad którymi nie miałem żadnej władzy. Jej obraz miał się przede mną pojawiać w całym swoim rozpasanym okrucieństwie do końca mojego życia, zwłaszcza w chwilach, gdy byłem na to najmniej przygotowany. Nie została zrobiona w trakcie samego aktu, ale po nim. Chłopiec siedział na łóżku, niczym nie osłonięty, jakby tego nieświadomy. W jego oczach pojawiała się upiorne widmo tego, czym właśnie przestał być. Była w nich obkurczona, zaschnięta łupina umarłej nadziei i zamknięte drzwi. Były to oczy duszy i umysłu, który rozpadł się wskutek przeciążenia bodźcami. Oczy żywego trupa. Ich właściciel zdawał się nie być świadomy ani swojej straty, ani nagości.

Złożyłem fotografie i zamknąłem folder. Ogarniało mnie odrętwienie, które ścięło jak lodem rzekę grozy i niewiary. Spojrzałem na Angie i zobaczyłem, że z nią dzieje się to samo. Przestała się trząść i stała zupełnie nieruchomo. To nie było przyjemne uczucie, może nawet na dłuższą metę toksyczne, ale w tej chwili absolutnie niezbędne.

Angie podniosła na mnie oczy czerwone, ale suche. Wskazała folder.

– Ujawnimy to, choćby nie wiem co.

Skinąłem głową.

– Będę musiał coś im dać.

Wzruszyła ramionami i oparła się plecami o chrzcielnicę.

– No cóż.

Wyjąłem z folderu jedno zdjęcie – pokazujące sam akt – na którym widać było chłopca, Socie i Paulsona, ale bez głowy. Socia należał do Devina; Paulson był mój. Resztę zdjęć zanieśliśmy do jednego z konfesjonałów w tyle kościoła. Ostrzem scyzoryka podważyłem marmurową płytę obluzowaną jeszcze od czasów, gdy ja byłem ministrantem. Podniosłem ją i włożyłem folder do dziury. Angie stała za mną; wyciągnąłem dłoń, a ona włożyła w nią swoją trzydziestkęósemkę, ja dodałem swoje dziewięć milimetrów i wszystko zakryłem płytą, leżała idealnie, bez żadnych podejrzanych szczelin. Uprzytomniłem sobie, że właśnie zaangażowałem do współpracy jedną z wielkich tradycji katolicyzmu: tajemnicę.

Wyszedłem z konfesjonału i przeszliśmy środkiem kościoła do wyjścia. U drzwi Angie zanurzyła palce w wodzie święconej i przeżegnała się. Też to przez chwilę rozważałem, mając świadomość, że w obecnej sytuacji przydatna będzie każda pomoc, ale jest coś, czego nienawidzę bardziej niż hipokryzji: hipokryzja pobożna. Pchnęliśmy ciężkie dębowe drzwi i wyszliśmy na późnopołudniowe słońce.

Devin i Oscar zaparkowali tuż przed wejściem. Stali pochyleni nad maską camaro Devina, na której mieli rozłożone żarcie z McDonalda. Nawet na nas nie patrzyli, gdy Devin z ustami zapchanymi wielkim kęsem big maca mówił: „Macie prawo zachować milczenie. Wszystko, co

powiecie, może zostać użyte przeciwko wam w sądzie. Podaj mi frytki... Macie prawo do adwokata...”.

Skończyli z nami dopiero następnego dnia rano.

Devin i Oscar na pewno nie mieli lekko. Gangsterskie porachunki w dzielnicach takich jak Roxbury czy Mattapan to jedno, ale gdy fala przemocy przelewa się przez granice getta i podnosi swoją paskudną głowę w sercu miasta, gdy państwo Porządni Obywatele muszą kicać między walizami od Louisa Vuittona, uchylając się przed kulami, to już powstaje problem. Zostaliśmy skuci. Zostaliśmy przymknięci. Devin bez słowa wziął ode mnie fotografię, zanim jeszcze dojechalśmy na posterunek, a wkrótce potem zabrano nam wszystko inne.

Stałem w szeregu z czterema gliniarzami, z którymi nie łączył mnie nawet cień podobieństwa, i gapiłem się w białe światło. Poza nim słyszałem, jak inny gliniarz mówi: „Proszę się nie spieszyć. Proszę się dobrze przyjrzeć”, a potem kobiecy głos: „Ale ja nie widziałam dokładnie. Zapamiętałam tylko potężnego Murzyna”.

Ależ ze mnie szczęściarz. Kiedy wybucha strzelanina, ludzie zazwyczaj zapamiętują Murzyna.

Z Angie spotkałem się później, gdy posadzili nas razem na ławce obok brudnego pijaczka zwanego Terrance. Terrance śmierdział jak gnijący banan, ale to mu najwyraźniej nie przeszkadzało. Czyszcząc sobie zęby palcem wskazującym, chętnie wyjaśnił mi, dlaczego na świecie zapanował taki chaos. Uran. Kochane zielone ludki zamieszkujące tę planetę nie mają na tyle zaawansowanej techniki, żeby budować nowoczesne miasta. Potrafią budować wiejskie domy, na widok których pociekłaby nam ślinka z ust, ale wieżowce są poza ich możliwościami. „A

oni, widzicie, właśnie o nich marzą”. Teraz, gdy my zbudowaliśmy te wszystkie wieżowce, mieszkańcy Urana chcą przejąć władzę na Ziemi. Szczając na nas z deszczem, zatruli nasze zasoby wody substancją wywołującą agresję. W ciągu dziesięciu lat, zwierzył się nam Terrance, wszyscy się pozabijamy i miasta będą należały do nich. I w Sears Tower będzie wielka zielona impreza.

Spytałem Terrance’a, co wtedy stanie się z nim. Angie dźgnęła mnie łokciem w żebra za prowokowanie dalszych wynurzeń.

Terrance na chwilę przerwał czyszczenie zębów.

– Oczywiście wrócę na Urana. – Nachylił się do mnie bardzo blisko; omal nie straciłem przytomności od smrodu. - Jestem jednym z nich.

– Oczywiście – przytaknałem.

Terrance’a po chwili zabrali, odstawili go na jego statek kosmiczny albo na tajne spotkanie z rządem. My zostaliśmy na miejscu. Devin i Oscar kilka razy przechodzili obok nas, nie zaszczycając nas nawet jednym spojrzeniem. Tak samo zachowywali się inni policjanci, żeby nie wspomnieć o dziwkach, armii kuratorów sądowych i kupie najrozmaitszych cywilnych pracowników policji z nieporęcznymi teczkami i kanciastymi rysami ludzi, którzy nie mają czasu na jedzenie. Gdy mrok zapadł i zgęstniał, gromada twardzieli podobnych do Devina, potężnie zbudowanych, w grubych teflonowych kamizelkach kuloodpornych pod ciemnoniebieskimi wiatrówkami i z M16 w rękach – udała się do wind. Grupa specjalna do walki z gangami. Przytrzymała windy, dopóki nie dołączyli do nich Devin i Oscar, po czym wszyscy wyruszyli gdzieś dwoma samochodami.

Nie zaproponowano nam skorzystania z telefonu.

Zrobią to zapewne tuż przed albo w czasie pierwszych kilku minut przesłuchania. Ktoś powie: „No jak to, nikt wam nie powiedział, że możecie skorzystać z telefonu? Jezu. Pewnie wszystkie linie były zajęte”.

Młody chłopak w niebieskim mundurze dzielnicowego przyniósł nam letniej kawy z automatu. Stary gliniarz, który brał nasze odciski palców, stał za biurkiem naprzeciwko nas. Stemplował papiery, odbierał mnóstwo telefonów i jeśli w ogóle pamiętał o naszej obecności, to znakomicie to ukrywał. W pewnej chwili, kiedy wstałem, żeby się przeciągnąć, przez jeden przelotny moment prawie na mnie spojrział. Kątem oka zauważyłem, że po mojej lewej stronie w holu pojawił się inny glina. Napilem się z kraniku z wodą pitną – co nie jest takie łatwe, gdy się ma skute ręce – usiadłem z powrotem na swoim miejscu.

– Jak myślisz, powiedzą nam, co z Bubbą? – spytała Angie.

Pokręciłem głową.

– Jeśli my o niego zapytamy, potwierdzimy, że byliśmy na miejscu zbrodni. Jeśli oni nam powiedzą, zanim zapytamy, tylko tracą, nic nie zyskują.

– Tak właśnie myślałam.

Trochę pospała z głową na moim ramieniu, kolanami skulonymi pod brodą. Pod ciężarem jej ciała po pewnym czasie dostałbym pewnie skurczu mięśni, gdybym jeszcze miał mięśnie. Po ośmiu czy dziewięciu godzinach na tej ławce najprostsze ćwiczenie rozciągające byłoby orgiastycznym doznaniem.

Zabrali mi zegarek, ale najgłębsza ciemność nocy zaczęła już ustępować przed pierwszym nieśmiałym światłem wczesnego poranka, gdy Devin i Oscar wrócili. Domyślałem się, że może być około piątej.

– Za nami, Kenzie – powiedział Devin, przechodząc obok nas.

Zwlekliśmy się z ławki i poczłapaliśmy za nimi przez hol. Nogi odmawiały mi zajęcia pozycji całkowicie wyprostowanej, a krzyż bolał, jakbym połknął młotek. Poprowadzili nas do tego samego pokoju przesłuchań, gdzie spotkaliśmy się dobre dwadzieścia godzin wcześniej. Gdy zbliżyłem się do drzwi, puścił mi je prosto w twarz. Pchnąłem je skutymi rękami i, pokracznie jak Quasimodo, wkroczyliśmy do środka.

– Słyszałeś kiedyś o Amerykańskiej Unii Swobód Obywatelskich? – spytałem.

Devin rzucił krótkofalówkę na stojący przed nim stolik. Dalej wielki pęk kluczy. Potem rozsiadł się na krześle i przypatrywał się nam. Oczy miał zmordowane i czerwone, ale z wibrującym ciemnym błyskiem, błyskiem amfetaminowym. Oscar wyglądał tak samo. Byli pewnie na nogach bez przerwy od czterdziestu ośmiu godzin. Kiedyś, gdy to wszystko się skończy i gdy będą spędzać niedziele, oglądając mecze piłki nożnej, ich serca wezmą na nich odwet, zrobią to, czego nie zdołała dokonać żadna kula. Jak ich znam, umrą pewnie też tego samego dnia.

Wyciągnąłem ręce przed siebie.

– Nie zamierzasz tego zdjąć?

Devin spojrział na moje nadgarstki, potem na twarz. Pokręcił głową.

Angie usiadła.

– Ależ z ciebie skurwysyn – powiedziała.

– Owszem – odparł Devin. Zająłem miejsce na krześle.

– Gdybyście byli ciekawi – rzekł Oscar – dziś wieczorem wojna nabrała większego rozmachu. Ktoś wrzucił granat przez okno mety saintsów. W budynku było

sporo ludzi. Szlag trafił prawie wszystkich, w tym dwoje niemowląt, z których starsze miało nie więcej niż dziewięć miesięcy. Nie mamy jeszcze pewności, ale zdaje się, że wśród zabitych jest też dwójka białych studentów, którzy przyszedli tam kupić towar. To pewnie najlepsze, co mogło się zdarzyć. Może teraz ktoś się zainteresuje.

– Co zrobicie z fotografią?

– Została dołączona do akt – powiedział Devin. – Socia jest już i tak poszukiwany w celu przesłuchania w sprawie siedmiu zgonów z ostatnich dwóch dni. Jeśli uda nam się go zgarnąć, będziemy mogli wyciągnąć przeciwko niemu także i to. Co do tego białego ze zdjęcia, tego na dzieciaku – może mógłbym coś z tym zrobić, gdyby ktoś mi powiedział, co to za jeden.

– Gdybym odzyskał wolność, może mógłbym zrobić z tym coś, czego ty byś nie mógł.

– Na przykład ostrzelać jeszcze jedną stację? – spytał Devin.

– Na ulicy nie przeżyłbyś teraz nawet pięciu minut, Kenzie – stwierdził Oscar.

– A to dlaczego? – zapytała Angie.

– Bo Socia wie, że macie materiały, które go obciążają. Mocne dowody. Bo twoje główne zabezpieczenie, Patrick, przestało działać i wszyscy są tego świadomi. Dopóki Socia jest na wolności, twoje życie jest warte tyle co nic.

– W takim razie jakie są zarzuty?

– Zarzuty?

– O co nas oskarżacie, Devin. Teraz Oscar powtórzył.

– Oskarżamy?

Dwie papugi, jak Boga kocham.

– Devin.

– Nie mam żadnych dowodów przeciwko panu, panie

Kenzie. Obaj z kolegą mieliśmy wrażenie, że mogli państwo być zamieszani we wczorajszą paskudną awanturę na South Station. Ale skoro nikt ze świadków nie był w stanie potwierdzić państwa bytności w tym miejscu, cóż mogę powiedzieć? Daliśmy dupy. I jest nam z tego powodu bardzo przykro, proszę nam wierzyć.

– Zdejmijcie kajdanki – powiedziała Angie.

– Jak tylko znajdę kluczyki – zapewnił Devin.

– Zdejm te pierdolone kajdanki, Devin – powtórzyła.

– Oscar?

Oscar wyrzucił wszystkie swoje kieszenie.

– Oscar też ich nie ma. Musimy poszukać.

Oscar wstał.

– Pójdę się rozejrzeć, może gdzieś się na nie natknę.

Wyszedł, a my zostaliśmy pod bacznyim wzrokiem Devina.

Odpowiadaliśmy mu twardym spojrzeniem.

– Zastanów się nad aresztem prewencyjnym.

Pokręciłem głową.

– Patrick, to jest jedno wielkie pole bitewne. Nie dożyjesz do świtu. Ty też, Angie, jeśli pójdziesz z nim.

Odchyliła się na krześle i zwróciła ku mnie piękną zmęczoną twarzą.

– Nikt mi nie włoży w ręce mojego pistoletu i nie powie „Uciekaj”. Nikt.

Całkiem jak James Coburn w *Siedmiu wspaniałych*. Jej pełne wargi rozchyliły się w szerokim uśmiechu, który z porażającą siłą trafił mnie prosto w serce. Myślę, że w tamtej chwili zrozumiałem, czym jest miłość.

Popatrzyliśmy na Devina.

Westchnął.

– Ja też widziałem ten film. Coburn na końcu ginie.

– Film zawsze można puścić jeszcze raz –

powiedziałem.

– Ale nie na ulicy. Tam nie ma powtórek.

W drzwiach pojawił się Oscar.

– No i proszę, co ja tutaj mam – podniósł do góry kółko z małutkimi kluczykami.

– Gdzie je znalazłeś? – spytał Devin.

Oscar rzucił je na stół tuż przede mną.

– Dokładnie tam, gdzie je zostawiłem. Jak to się czasem śmiesznie składa, nie?

Devin wskazał na nas.

– Wydaje im się, że są kowbojami. Oscar odsunął sobie krzesło i ciężko na nie opadł.

– No to pochowamy ich w butach.

Nie mogliśmy wrócić do domu. Devin miał rację. Nie miałem już żadnej karty przetargowej, a dopóki oddychałem, Socia nie miał nic do zyskania.

Siedzieliśmy tam jeszcze dwie godziny, aż oni skończyli papierkową robotę, a potem wyprowadzili nas bocznym wyjściem i podwieźli parę przecznic do hotelu Lenox.

Gdy wysiadaliśmy z auta, Oscar rzucił okiem na Devina.

– Miej serce. Powiedz im.

Staliśmy przy krawężniku. Czekaliśmy.

– Rogowski ma złamany obojczyk i stracił kurewsko dużo krwi, ale jego stan jest stabilny.

Angie na chwilę zawisła na mnie.

– To była miła znajomość – dodał Devin i odjechali. Ludki w Lenox nie były zbyt zadowolone, że wybraliśmy właśnie ich hotel – wczesnym rankiem, bez bagażu. Nasze ubrania, stosownie do okoliczności, wyglądały, jakbyśmy całą noc przesiedzieli na ławce. W moich włosach tkwiły jeszcze odpryski marmuru – pamiątka po strzelaniu na stacji. Dałem im złotą kartę Visa, ale poprosili o jeszcze jakiś dowód tożsamości. Gdy portier spisywał numer prawa jazdy, recepcjonistka zadzwoniła do banku, żeby autoryzować kartę. Niektórych ludzi nie sposób zadowolić.

Upewniwszy się, że jestem tym, za kogo się podaję, i że najprawdopodobniej nie zdołamy ukraść wiele więcej niż ręcznik czy prześcieradło, dali nam klucz do pokoju. Podpisałem się i spojrzałem na recepcjonistkę.

– Czy telewizor w naszym pokoju jest przykręcony do

ściany, czy można go wynieść?

Zareagowała wymuszonym uśmiechem, ale nie odpowiedziała.

Pokój znajdował się na dziewiątym piętrze. Okna wychodziły na Boylston Street. Nie najgorzej. Na samym dole nie było specjalnie na co patrzeć – jeden całodobowy sklep, Dunkin Donuts i tyle – ale dalej rozciągał się przyjemny widok na domy z czerwonobłękitnego piaskowca, miętową zieleń ogrodów na niektórych dachach, a jeszcze dalej na ciemne wody rzeki Charles na tle bladoszarego nieba.

Powoli wstawało słońce. Byłem śmiertelnie zmęczony, ale bardziej od snu potrzebowałem prysznic. Fatalnie się złożyło, że Angie jest po prostu szybsza. Usiadłem na krzesło i włączyłem telewizor. W porannych wiadomościach komentowano wczorajsze porachunki gangsterskie na South Station. Dziennikarz, facet o szerokich barach, z grzywką, która wyglądała jak przycięta żyłetka, niemal dygotał ze słusznego obywatelskiego gniewu. „Fala przemocy – oznajmił – dotarła pod nasze drzwi i najwyższy czas położyć temu kres”.

Zawsze jakoś tak się dzieje, że zaczynamy dostrzegać problem, gdy „dociera pod nasze drzwi”. Dopóki przez całe dziesięciolecia ogranicza się do zaplecza, nikt nic nie zauważa.

Wyłączyłem telewizor, a gdy Angie wyszła z łazienki, zająłem jej miejsce.

Gdy skończyłem się myć, spała płasko na brzuchu, z jedną ręką na słuchawce telefonu, drugą przytrzymując ręcznik. Na nagich plecach nad brzegiem ręcznika błyszczały kropelki wody. Smukłe łopatki wznosiły się

i opadały z każdym oddechem. Osuszyłem ją delikatnie i położyłem się. Wyciągnąłem spod niej narzutę. Jęknęła cicho i podkuiliła nogi. Nakryłem ją prześcieradłem i zgasilem światło.

Leżałem po prawej stronie łóżka, niezbyt daleko od niej, i modliłem się tylko, żeby nie zaczęła się kręcić przez sen. Obawiałem się, że gdyby jej ciało dotknęło mojego, po prostu bym w nim zatonął. I najprawdopodobniej nie miałbym wyrzutów sumienia.

Mając na razie tylko taki problem, odwróciłem się na bok, twarzą do ściany, i czekałem na sen.

Po jakimś czasie, niedługo przed przebudzeniem, zobaczyłem chłopca z fotografii. Bohater taszczył go przez zawilgocony korytarz. Obaj byli spowici obłokiem gorącej pary jak pod prysznicem, a woda miarowo kapiała z sufitu. Krzyknąłem coś do chłopca, ponieważ go poznałem. Poznałem go w tym zaparowanym korytarzu, po nogach wierzgających spod ramienia mojego ojca. Wydawał się mały, jeszcze mniejszy przez to, że był nagi. Zawołałem go i ojciec odwrócił się przodem do mnie: spod ciemnego strażackiego hełmu patrzyła na mnie twarz Sterlinga Mulkerna. „Gdybyś miał jaja choć w połowie takie jak twój ojciec...” – przemówił głosem Devina. Chłopiec też się odwrócił. Jego twarz, widoczna pod łokciem ojca, była znudzona i obojętna, choć gołe nogi wierzgały. Oczy miał puste jak lalka, i poczułem, że moje własne nogi ugięły się pode mną, gdy uprzytomniłem sobie, że nic go już nigdy nie zaskoczy ani nie przestraszy.

Obudziłem się. Angie klęczała nade mną i trzymała mnie za ramiona.

– Już dobrze, już dobrze – szeptała czule.

Bardzo wyraźnie czułem jej gołe nogi na moich.

– Co jest?

– Już nic – powiedziała. – Miałeś zły sen.

W pokoju było ciemno jak w grobie, ale za ciężkimi zasłonami eksplodowało światło.

– Która godzina?

Wstała. Nadal była ubrana w ręcznik. Podeszła do okna.

– Ósma. Wieczorem. – Odsunęła zasłonę. – Czwarty lipca.

Niebo było jak płótno malarza pokryte krzykliwymi kolorami. Biel, czerwień, błękit, nawet pomarańcz i żółć. Przez pokój przetoczył się grzmot i za oknem rozbłysła biała i niebieska kaskada. Potem przez sam środek przemknęła strzelająca iskrami czerwona gwiazda, od której odszczepiły się kolejne, aż cała biel i błękit utonęły we krwi. Pokaz osiągnął punkt kulminacyjny i nagle się skończył. Barwne łuki opadały na ziemię i strzelały kaskadami dogasających iskiei. Angie otworzyła okna. Boston Pops dudnił Piątą symfonią Beethovena, jakby całe centrum otoczono murem głośników.

– Spaliśmy czternaście godzin? Kiwnęła głową.

– Po strzelaninie i przesłuchaniach to się może zdarzyć.

– Pewnie tak. Usiadła na rogu łóżka.

– Boże, Poślizg, jak ty masz zły sen, to już naprawdę.

Przetarłem twarz dłońmi.

– Przepraszam, że cię obudziłem.

– Kiedyś i tak musiałam wstać. A skoro już o tym mowa, mamy jakiś plan?

– Musimy odszukać Paulsona i Socie. – To jest cel, a nie plan.

– Musimy odzyskać broń.

- Zdecydowanie.
- Nie będzie nam łatwo dostać się do skrytki, kiedy wszędzie kręcą się ludzie Socii.
- Od czego nasza pomysłowość?

Do naszej dzielnicy pojechaliśmy taksówką. Podaliśmy taksówkarzowi adres mniej więcej pół kilometra za kościołem. Mijając go, nie zauważyłem, żeby ktoś czał się w cieniu, ale też trudno byłoby się spodziewać czegoś innego; w końcu ludzie czają się w cieniu właśnie po to, by nikt ich nie zauważył. Banda dzieciaków – dziesięcio-, najwyżej dwunastoletnich – rzucała butelkami w przejeżdżające samochody i petardami na środek ulicy.

Samochód jadący za nami dostał prosto w przednią szybę i zatrzymał się z piskiem opon. Kierowca wyskoczył i rzucił się do nich, ale zanim jeszcze dobiegi do krawężnika, dzieciaki rozpięchły się, skacząc przez płoty jak konie przez przeszkody i znikły w dżungli swoich podwórtek.

Zapłaciliśmy taksjarszowi i przeszliśmy przez podwórko szkoły, do której za naszych czasów chodziły tylko dzieci z kwaterunku dla najuboższych. Na jego obrzeżu w pobliżu wyjścia ewakuacyjnego siedziała paczka starszej młodzieży z naszej okolicy. Obalali piwo, słuchali przenośnego radiomagnetofonu, kilkoro podawało sobie skręta. Gdy nas zobaczyli, ktoś podkręcił muzykę. J. Geils Band, *Whammer Gammer*. Dla mnie w porządku. Już ustalili, że nie jesteśmy glinami, i teraz naradzali się, jak najdotkliwiej ukarać nas za głupotę, która kazała nam zapaść się na ich teren.

Ale wtedy kilkoro z nich rozpoznało nas w świetle latarni i wyraźnie posmutniało: takich rzeczy nie robi się

znajomym rodziców. Ja też od razu poznałem ich przywódcę, Colina. Syn Bobby’ego Sheftona, przystojny chłopak, choć irlandzki do szpiku kości – wysoki, dobrze zbudowany, krótkie jasne włosy, regularne rysy. Miał na sobie białozieloną koszulkę i turystyczne szorty.

– Jak leci, pszpana?

Angie tylko skinęli głową. Kto by chciał zapoznawać się bliżej z żoną furiata, którego zazdrość przeszła do legendy?

– Colin – zagailem – co byście powiedzieli na pięćdziesiąt dolców jeszcze przed zamknięciem sklepów monopolowych?

Oczy zabłysły mu na chwilę, dopóki nie przypomniał sobie, jaki z niego twardziel.

– A kupi nam pan ten monopol?

– Jasne. Rozważali sprawę mniej więcej półtorej sekundy.

– Dobra. Co potrzeba?

– To oznacza zadarcie z ludźmi, którzy mogą strzelać – ostrzegłem.

Colin wzruszył ramionami.

– Teraz już nie tylko czarnuchy mają gnaty, panie Kenzie. – Sięgnął pod koszulkę i pokazał nam swój. Kilku innych tak samo. – Od czasu jak parę miesięcy temu próbowali przejąć boisko Ryan, trochę się zabezpieczyliśmy.

Na chwilę wróciłem myślami do moich własnych czasów wokół tego wyjścia ewakuacyjnego – dawnych dobrych dni łyżek do opon i kijów bejsbolowych. Kiedy nawet kosa była rzadkością. Ale stawka rosła i najwyraźniej każdy chciał sprostać wyzwaniu.

Plan miałem taki, żeby razem z całą ich paczką

przedostać się do kościoła. W czapkach, w ciemności, powinniśmy się przemknąć. Zanim ludzie Socii się zorientują, bylibyśmy już w kościele i odzyskalibyśmy broń. Nie było to nic genialnego. A teraz uprzytomniłem sobie, że uprzedzenia rasowe nie pozwoliły mi dostrzec tego, co oczywiste. Skoro czarne małolaty mają broń, to trudno sobie wyobrazić, żeby nie miały jej białe.

– Wiecie co – powiedziałem – zmieniłem zdanie. Dam wam stówę i dodatkowo monopol za trzy rzeczy.

– Niech pan mówi – rzekł Colin.

– Pożyczymy sobie dwa z waszych pistoletów. – Rzuciłem mu kluczyki od samochodu. – I przywieziecie mi sprzed domu moje auto.

– To dwie.

– Trzy. Dwa pistolety i auto. Czego oni was teraz uczą w tej szkole?

Jeden z chłopaków się roześmiał.

– Po pierwsze, trzeba do niej chodzić.

– Chce pan tylko pożyczyć pistolety? Na pewno pan odda? – spytał Colin.

– Najprawdopodobniej. Jeśli nie, odpalimy wam tyle kasy, żeby starczyło na jeszcze dwa.

Colin wstał, podał mi swój pistolet kolbą do przodu. Kaliber trzysta pięćdziesiąt siedem, o porysowanej lufie, ale porządnie naoliwiony. Klepnął w ramię jednego z kumpli, a ten oddał swoją broń Angie. Trzydziestkaósemka. Jej ulubiony. Colin spojrzał na kolegę.

– Idziemy po samochód pana Kenziego.

W czasie ich nieobecności przeszliśmy przez ulicę do sklepu z alkoholem i zrealizowaliśmy zamówienie: pięć skrzynek budweisera, dwa litry wódki, trochę soku

pomarańczowego i ginu. Zdążyliśmy tylko zanieść to wszystko małodatom, gdy u wylotu ulicy pojawił się Potwór. Hamował, paląc gumę. Colin i jego kolega wyskoczyli, zanim się na dobre zatrzymał.

– Szybko, panie Kenzie. Zaraz tu będą.

Rzuciliśmy się do środka. Za ledwie oderwali się od krawężnika, gdy z tyłu rozbłysły światła, wielkie i złowieszcze. Dwie pary, tuż za nami, w każdym samochodzie po trzy sylwetki. Zaczęli grzać do nas od połowy przecznicy. Kule waliły w karoserię Potwora. Zjechałem na przeciwną połowę jezdni i przeskakując środkową linię, wjechałem na Edward Everett Square. Gwałtownie skręciłem w prawo przy tawernie, docisnąłem pedał i pomknęliśmy wąską uliczką po obu stronach gęsto obstawioną samochodami. We wstecznym lusterku widziałem, jak pierwszy ze ścigających nas samochodów bez pudła bierze ostry zakręt i błyskawicznie się prostuje. Drugi jednak nie zdołał się wyrobić. Odbił się od dodge'a, a jego przednia oś rozpadła się na dwie części. Zderzak zarył w asfalt i pojazd wyładował na dachu.

Pierwszy samochód nadal płuł ogniem. Oboje z Angie wtuliliśmy głowy w ramiona, sami nie wiedząc, które eksplozje pochodzą z pistoletów, a które z kaskady fajerwerków nad naszymi głowami. W tych warunkach nie mieliśmy żadnych szans. Yugo jest szybszy niż Potwór, a na ulicach było coraz ciasniej, coraz więcej zaparkowanych samochodów, coraz mniej możliwości, żeby się ukryć.

Wjechaliśmy na teren Roxbury, gdy tylna szyba nagle się zapadła. W kark wbił mi się grad odłamków szkła i przez chwilę już myślałem, że dostałem kulkę. Po lewym policzku Angie z rozciętej skóry na czole ściekała gęsta

strużka krwi.

– Nic ci nie jest? – spytałem.

Przytaknęła, przerażona, ale jednocześnie wkurwiona.

– Niech ich szlag. – Odwróciła się na siedzeniu, mierząc z trzydziestkiósemki w miejsce, gdzie niedawno znajdowało się okno.

Jej ręka nawet nie drgnęła, gdy oddała dwa strzały, od których prawie odpadło mi ucho.

Angie strzela jak szatan. Na przedniej szybie naszego prześladowcy zarysowały się dwie wielkie pajęczyny. Jego kierowca szarpnął kółkiem; auto staranowało białą furgonetkę, odbiło się od niej i stanęło ukosem.

Nie zatrzymałem się, żeby sprawdzić, czy nic im się nie stało. Potwór zatoczył się gwałtownie na ulicę o takiej nawierzchni, że omal nie rozwaliliśmy sobie głów o sufit. Szarpnąłem kierownicą w prawo i skręciłem w inną, niewiele lepszą. Za nami ktoś coś wrzasnął i na naszym bagażniku roztrzaskała się butelka.

Lewa strona ulicy była jednym wielkim opuszczonym nieużytkiem, usianym nadpalonymi kępami wybujałych chwastów, porastających stopy żwiru, żużlobetonu i cegieł. Po prawej stały domy, które należało wyburzyć pół wieku temu, teraz przygięte do ziemi pod ciężarem ubóstwa i zapomnienia, czekające na dzień, gdy w końcu runą same, wpadając jeden na drugi jak kostki domina. Wtedy prawa strona ulicy będzie wyglądać identycznie jak lewa. Na gankach było tłoczno i nikt nie wydawał się szczególnie uradowany widokiem białasów gnających środkiem ich ulicy w kupie złomu. Jeszcze kilka butelek trafiło w samochód, a tuż przed nami eksplodowała petarda.

Dotarłem do końca ulicy i skręciłem w lewo akurat wtedy, gdy przecnicę od nas zobaczyłem drugi samochód.

Ta ulica była jeszcze gorsza: ponura zapomniana ścieżka wiodąca przez brunatne chwasty i szczątki szkieletów porzuconych czynszówek. Kilkoro małych stało przy płonącym koszu na śmieci, wrzucając do środka petardy. Za nimi dwóch pijacków spierało się o prawo do ostatniego łyka jabola. W tle przeznaczone do rozbiórki ceglane kamienice straszyły czarnymi oknami pozbawionymi szyb, gdzieniegdzie nadpalone przez jakiś zapomniany ogień.

– O Chryste, Patrick! – powiedziała Angie.

To była ślepa ulica. Bez żadnej drogi odwrotu, kończyła się dwadzieścia metrów przed nami. Drogę odcinały nam gruba betonowa zaporą i lata wegetacji roślinnej na gruzach. Zacząłem hamować, a jednocześnie spojrzałem za siebie i zobaczyłem, jak drugi samochód wyjeżdża zza rogu i zbliża się ku nam. Dzieciaki zaczęły się wycofywać; wyczuły proch i usunęły się z linii ognia. Z całej siły wcisnąłem hamulec. Potwór odpowiedział mi buńczuczny „Pieprz się”. Metal szczęknął o metal; równie dobrze mogłem siedzieć w samochodzie Flintstone’ów. Odniosłem wrażenie, jakby wręcz nabrał prędkości tuż przed tym, zanim gruchnęliśmy w zaporę.

Moja głowa odskoczyła od tablicy rozdzielczej, a w ustach poczułem smak metalu. Angie była nieco lepiej przygotowana. Poleciała do przodu, ale przytrzymała ją pas bezpieczeństwa.

Ledwo spojrzeliśmy na siebie i wyskoczyliśmy z auta. Udało mi się przeleźć przez maskę akurat w chwili, gdy tuż za nami na cementowym gruzie zapiszczały hamulce. Angie jak zawodniczka olimpijska gnała przez chaszcze, bryły żużlobetonu i potrzaskane szkło z wypiętą piersią i głową odrzuconą w tył. Zanim ja na dobre ruszyłem, była

już dobre dziesięć metrów przede mną. Z samochodu padły strzały; kule siekły w podłóżę obok mnie. Spomiędzy śmieci bryzgały resztki pozostałej tu jeszcze zwykłej ziemi.

Angie dopadła pierwszej kamienicy. Patrzyła na mnie, machając, żebym biegł szybciej. Pistolet trzymała wymierzony ogólnie biorąc w moją stronę, wyciągając szyję, by dobrze wycelować. Wyraz jej twarzy wcale mi się nie podobał. Wtedy zauważyłem odbijające się od budynku, podskakujące w górę i w dół snopy światła rozrywające się na konturach mojej sylwetki. Jechali za nami. Tego się właśnie obawiałem. Gdzieś w tych zaroślach i żwirze przed rozbiórką istniały przecież drogi. Jedną z nich znaleźli.

Salwa przeszła stos cegieł w tej samej chwili, gdy go przeskoczyłem i dobiegłem do pierwszej kamienicy. Angie odwróciła się i pobiegliśmy przed siebie, nie zastanawiając się ani nie rozglądając, ponieważ znaleźliśmy się w budynku pozbawionym tylnej ściany. Runęła jakiś czas temu. Praktycznie byliśmy ciągle na otwartej przestrzeni.

Samochód przedarł się szturmem przez stare metalowe drzwi i wjechał do wnętrza budynku. Wycelowałem. Bo nie było gdzie się ukryć. Pasażer z przodu i gość z tylnego siedzenia wystawili przez okno czarne lufy. Oddałem dwa strzały, które trafiły w przednie drzwi, a potem z ich luf trysnęły języki ognia. Angie rzuciła się na ziemię po lewej stronie za przewróconą wannę. Ja wyskoczyłem w górę. Nic mnie nie osłaniało. Jedna z kul smagnęła mnie przez lewy biceps i wprawiła w półobrót. Runąłem na ziemię i strzeliłem jeszcze raz, ale samochód przejechał już na drugą stronę i zakrecał, gotując się do następnej szarzy.

– Chodź – ponagliła Angie.

Wstałem i zobaczyłem, dokąd zmierza. Dwadzieścia

metrów przed nami znajdowały się dwie następne wysokie kamienice na pierwszy rzut oka niezniszczone i stojące bardzo blisko obok siebie. Dzielił je tylko ciemnognatowy zaułek. Z jego końca prześwitywało przymglone światło latarni, ale był o wiele za wąski, żeby mógł się tamtędy przecisnąć samochód. U jego wylotu w cieniu między ścianami majaczyły zniekształcone metalowe szkielety innych budynków.

Biegłem przez otwartą przestrzeń, z lewej strony słysząc silnik. Krew ściekała mi po ręce jak ciepła zupa. Byłem ranny. Ranny. Widziałem ich twarze, gdy do mnie strzelali, i usłyszałem głos, który, jak sobie po chwili uprzytomniłem, należał do mnie, a który powtarzał w kółko: „Pierdolone czarnuchy, pierdolone czarnuchy”.

Dopadliśmy zaułka. Obejrzałem się. Tamtym zgasł silnik na czymś, na co nadziali się w zwałach żwiru, ale samochód kołysał się w przód i w tył i wyglądało na to, że zaraz ruszy.

– Dalej – powiedziałem.

– Dlaczego? Możemy ich wystrzelać, kiedy tu dojadą.

– Ile masz kul? – Nie wiem.

– No właśnie. Jeśli będziemy próbowali ich wystrzelać, może nam zabraknąć. – Przedarłem się przez wywrócony do góry nogami pojemnik na śmieci. – Zaufaj mi, wiem, co robię.

Gdy dotarliśmy do końca alejki, obejrzałem się i zobaczyłem, że światła skracają w lewo. Chcieli zajechać nas z drugiej strony. Końcowy odcinek zaułka pokrywał wyblakły żółty bruk. Wkroczyliśmy nań, słysząc potężny silnik coraz bliżej. Żółta latarnia była jedyną w obrębie dwóch przecznic. Angie sprawdziła magazynek.

– Mam cztery kule.

Ja miałem trzy. Ona strzelała lepiej.

– Lampa – powiedziałem.

Wystrzeliła raz i odstepiła przed prysznicem szkła, które posypało się na ulicę. Truchtem przebiegłem przez ulicę i zanurzyłem się w gęstwinie brązowych chwastów. Angie zajęła pozycję po drugiej stronie, za nadpalonym samochodem. Nad poczerniałą maską widziałem jej oczy. Patrzyła na mnie. Oboje wyciągnęliśmy głowy. Adrenalina rozsadzała nas jak bomba jądrowa.

Samochód z trudem wziął zakręt, podskakując na nierównym bruku. Kierowca wystawił głowę przez okno; rozglądał się za nami. Auto zwolniło. Pewnie zastanawiali się, gdzie mogliśmy się podziać. Strzelec na przednim siedzeniu zwrócił głowę w prawo, przyjrzał się nadpalonemu wrakowi, ale niczego nie zauważył. Odwrócił się i mówił coś do kierowcy.

Angie wstała, wycelowała znad osmalonej maski i dwukrotnie wypaliła mu prosto w twarz. Głowa odskoczyła mu w bok, odbiła się od barku. Kierowca patrzył na niego tylko przez chwilę. Gdy się obejrzał, ja już podbiegałem do jego okna z wyciągniętym pistoletem. „Czekaj!” – krzyknął, a jego oczy zrobiły się wielkie i białe – na sekundę przedtem, nim pociągnąłem za spust, i wyleciały mu z tyłu głowy.

Samochód odbił w lewo, uderzył stary wózek na zakupy i podskoczył jeszcze, wjeżdżając na krawężnik, aż wreszcie trzasnął w stary drewniany słup telefoniczny, który pękł półtora metra nad ziemią. Pasażer z tylnego siedzenia roztrzaskał szybę głową. Słup chwiał się chwilę pod podmuchem świeżego letniego wietrzyku, a potem runął i zmiażdżył pół samochodu od strony kierowcy.

Zbliżaliśmy się powoli, z dwóch stron z pistoletami

wymierzonymi w otwór w tylnej szybie. Byliśmy około metra od niego, gdy drzwi zatrzeszczały, a ich dolny róg uderzył w chodnik. Wstrzymałem powietrze, czekając, aż pojawi się głowa. Po chwili rzeczywiście się pojawiła – a za nią ciało. Pokryte szkłem i krwią, osunęło się na ulicę.

Żył. Lewą rękę miał wykręconą pod nienaturalnym kątem, a na czole brakowało mu sporego płata skóry, ale jeszcze próbował się czołgać. Przebył niecały metr i osłabł. Opadł na plecy, oddychając z wysiłkiem.

Roland.

Wypluł krew na chodnik i otworzył jedno oko, żeby mi się przyjrzeć. Drugie zaczynało już puchnąć pod krwawą maską.

– Zabiję cię – powiedział.

Pokręciłem głową.

Podpierając się zdrową ręką, zdołał prawie usiąść.

– Zabiję cię. Tę dziwkę też.

Angie kopnęła go w zębra.

Mimo całego bólu zwrócił do niej głowę i uśmiechnął się.

– ...praszam.

– Roland, masz błędne wyobrażenie o sytuacji. To nie my jesteśmy twoim problemem. To Socia.

– Socia nie żyje – odparł i zauważyłem, że kilka zębów ma złamanych. – Tylko jeszcze o tym nie wie. Większość saintsów przechodzi do mnie. Lada dzień będę go miał. Przegrał wojnę. Może już wybierać trumnę.

Na chwilę udało mu się otworzyć także drugie oko i teraz zrozumiałem, dlaczego chciał mnie zabić.

To on był tym dzieciakiem z fotografii.

– Ty jesteś...

Zawył, a z ust popłynął mu strumień krwi. Próbował

rzucić się na mnie, mimo że nawet nie mógł oderwać się od ziemi. Kopał i tłukł w nią pięścią, wbijając sobie odłamki szkła jeszcze głębiej w ciało i kości. Jego wycie przybierało na sile.

– Zabiję cię, skurwysynu – wrzeszczał. – Zabiję cię, skurwysynu!

Angie spojrzała na mnie.

– Jeśli zostawimy go przy życiu, oboje jesteśmy praktycznie martwi.

Zastanawiałem się. Wystarczyłby jeden strzał. Byliśmy sami na obrzeżach miejskich nieużytków. Żadnych świadków. Jeden strzał i nie musielibyśmy się więcej martwić Rolandem. Dalibyśmy sobie jakoś radę z Socją i wrócilibyśmy do normalnego życia. Patrzyłem na Rolanda, który wypręzał plecy i rzucał się jak zakrwawiona ryba na gazecie, bezskutecznie próbując się podźwignąć. Ten skoncentrowany wysiłek przerażał mnie jak cholera. Roland sprawiał wrażenie, jakby nie znał takich uczuć jak ból czy lęk – nic poza instynktem. Nie odrywałem od niego wzroku i gdzieś w tym szalejącym z furii ogromnym kłębie nienawiści dostrzegłem nagie dziecko o umierających oczach.

– On już nie żyje – powiedziałem.

Angie stanęła nad nim z opuszczonym pistoletem i odwiedzionym kurkiem. Roland przyglądał się jej, a ona odpowiadała mu pustym spojrzeniem. Ale też nie była w stanie tego zrobić i wiedziała, że choćby tu stała nawet sto lat, nic tego nie zmieni. Wzruszyła ramionami.

– Miłego dnia – powiedziała i poszliśmy w kierunku Melnea Cass Boulevard, cztery przecznice na zachód, promieniejącego jak uosobienie cywilizacji.

Zatrzymaliśmy autobus i wsiedliśmy. Wszyscy pasażerowie byli czarni. Gdy nas zobaczyli – zakrwawionych, w podartych ubraniach – większość znalazła sobie jakiś pretekst, żeby przenieść się do tyłu. Drzwi zamknęły się z cichym poszumem i kierowca ruszył.

Zajęliśmy miejsca z przodu i przyglądaliśmy się podróżnym. Byli na ogół niemłodzi; dwoje wyglądało na studentów. Jedna młoda para trzymała między sobą małe dziecko. Patrzyli na nas z lękiem, niechęcią, a nawet może odcieniem nienawiści. Mogłem sobie teraz wyobrazić, jak czuje się para młodych dzieci ulicy w swoim typowym przyodziewku, wsiadając do metra w południowym Bostonie lub białym Dorchester. Nic przyjemnego.

Opadłem na oparcie i wyjrzałem przez okno na fajerwerki na czarnym niebie. Były teraz mniejsze i nie tak kolorowe. Słyszałem echo własnego głosu, gdy samochód pełen morderców ścigał mnie na otwartej przestrzeni, obsypując mnie gradem kul, a moja nienawiść i przerażenie przedestyłowały się w kolor. „Pierdolone czarnuchy” – powtarzałem w kółko. Zamknąłem oczy. Mimo ciemności nadal sygnalizowały wybuchy światła na niebie nad moją głową.

Dzień Niepodległości.

Autobus dowiózł nas do rogu Massachusetts Avenue i Columbia. Odprowadziłem Angie do domu. Gdy byliśmy na miejscu, dotknęła mojego ramienia.

– Pokażesz to komuś?

Mimo bólu już w autobusie uprzytomniłem sobie, że to tylko draśnięcie. Skóra była rozcięta jak ostrym nożem, ale życiu to raczej nie zagrażało. Rana niewątpliwie wymagała

dezynfekcji i bolała jak diabli, ale taką kosmetyką nie warto było zawracać głowy ludziom z zatłoczonego oddziału pomocy doraźnej.

– Jutro.

Zasłony w jej dużym pokoju leciutko się rozchyliły; Philowi się wydaje, że to on jest detektywem.

– Lepiej idź – powiedziałem.

Ta perspektywa chyba nie wydawała jej się szczególnie pociągająca.

– Tak, chyba lepiej pójdę – przytaknęła.

Popatrzyłem na jej zakrwawioną twarz i rozcięcie na czole.

– I to też lepiej zmyj. Wyglądasz jak statystka z *Nocy żywych trupów*.

– Że też ty zawsze wiesz, co powiedzieć. – Ruszyła do drzwi. Zauważyła rozchylone zasłony i odwróciła się do mnie ze zmarszczonym czołem. Przyglądała mi się niemal całą minutę dużymi, odrobinę smutnymi oczami. – Był kiedyś fajnym facetem. Pamiętasz?

Przytaknąłem. Rzeczywiście pamiętałem. Phil w swoim czasie był fantastycznym chłopakiem. Zanim zaczęły przychodzić rachunki, a kolejne posady – odchodzić w przeszłość, i zanim przyszłość stała się tylko okrutnym dowcipem, słowem określającym coś, czego przed sobą nie miał. Phil nie zawsze był Skurwielem. Stał się nim.

– Dobranoc – powiedziałem.

Przeszła przez werandę i znikła w środku. Ruszyłem ulicą w kierunku kościoła. Zatrzymałem się przy sklepie z alkoholem i kupiłem sobie sześciopak. Facet za ladą patrzył na mnie, jakby przypuszczał, że zaraz zejde; nieco ponad godzinę temu kupiłem tego towaru tyle, że mógłbym założyć własną firmę, a oto znowu jestem po następną

porcję.

– Wie pan, jak to jest – rzekłem. – Czwarty Lipca.

Facet spojrzał na mnie znacząco, na moją zakrwawioną rękę i brudną twarz.

– Taaa – odparł. – Powiedz to pan swojej wątrobie.

Piłem piwo, idąc ulicą, myśląc o Rolandzie i Socii, Angie i Philu, o Bohaterze i o sobie. Jeden wielki taniec bólu. Związki jakby z piekła rodem. Przez osiemnaście lat byłem dla ojca workiem treningowym i nigdy mu nie oddałem. Ciągłe wierzyłem, ciągle sobie powtarzałem, że to się zmieni, że on się poprawi. Gdy się kogoś kocha, trudno zamknąć drzwi optymistycznym nadziejom.

Z Angie i Philem było tak samo. Znała go jako najprzystojniejszego chłopaka w dzielnicy, czarusia, urodzonego przywódcę, który zawsze opowiadał najśmieszniejsze kawały, najlepsze historie. Był naszym idolem. Kapitalny gość. A ona ciągle to w nim widziała, modliła się, miała nadzieję w beznadziei – przy całym cynizmie, z jakim patrzyła na resztę świata – że ludzie czasem zmieniają się na lepsze. Phil musi być jednym z nich, bo inaczej czy w ogóle cokolwiek ma sens?

I ten Roland – niosący ze sobą całą nienawiść, ohydę i nieprawość, którymi karmiono go od dzieciństwa, kręcący się w kółko i rzygający tym wszystkim z powrotem na świat. Toczący wojnę przeciwko własnemu ojcu i wmawiający sobie, że gdy się z nim rozprawi, odnajdzie spokój. Ale nie odnajdzie. Nie ma tak dobrze. Gdy raz wmuszą w ciebie tę ohydę, staje się częścią ciebie, rozpuszcza się w twojej krwi, krąży tam i z powrotem, przepływając przez twoje serce, plamiąc wszystko, co napotka po drodze. Ohyda nigdy nie odchodzi, nigdy człowieka nie opuszcza, choćby nie wiedzieć co robił. Kto

twierdzi co innego, jest po prostu naiwny. Można mieć najwyżej nadzieję, że się nad nią zapanuje. Że zdoła się upakować ją w małą, ciasno zbitą piłeczkę, upchnąć w mały ciasny kącik i tam ją przechowywać – odwieczny ciężar.

Dotarłem do dzwonnicy – nadal bezpieczniejszej niż moje mieszkanie – i wszedłem. Usiadłem na biurku, piłem swoje piwo. Niebo było już puste, uroczystości się skończyły. Czwarty wkrótce stanie się piątym. Zapewne zaczął się już wielki powrót z Cape i Vineyai J. Dzień po święcie jest jak dzień po urodzinach – wszystko wydaje się nagle stare jak zaśnieżona miedź.

Położyłem nogi na biurku i oparłem się na krześle. Ręka ciągle paliła. Wyciągnąłem ją przed siebie i wylałem na nią połowę piwa. Domowa anestezja. Ślad po kuli był dość szeroki, ale płytki. Za kilka miesięcy zmieni kolor z matowej czerwieni na jeszcze bardziej matową biel. Stanie się ledwo widoczny.

Podciągnąłem koszulę i spojrzałem na meduzę na brzuchu, bliźnę, która nigdy nie zniknie, która nigdy nie będzie mogła uchodzić za nieszkodliwy drobiazg, za nic innego niż to, czym jest – znakiem przemocy i chorej nieczułości, piętnem, jakim znaczy się bydło. Spadkiem po Bohaterze, jego pieczęcią na tym świecie, jego próbą sięgnięcia po nieśmiertelność. Dopóki żyję i noszę na swoim ciele tę meduzę, żyje i on.

Gdy byłem dzieckiem, lęk mojego ojca przed płomieniami narastał wprost proporcjonalnie do jego sukcesów w ich zwalczaniu. Gdy doszedł do rangi porucznika, zmienił nasz dom w strefę działań wojennych na froncie walki z ogniem. W naszej lodówce było zawsze nie jedno, lecz trzy pudełka sody oczyszczonej. Jeszcze

dwa stały w szafce pod zlewem, a jedno nad kuchenką. W domu mojego ojca nie miało prawa być elektrycznych koców: żadnych zawodnych urządzeń. Toster był w użyciu dwa razy do roku. Zegary były co do jednego mechaniczne. Dwa razy w miesiącu sprawdzało się wszystkie przewody elektryczne pod kątem pęknięć w izolacji. Gniazdka co sześć tygodni. Gdy miałem dziesięć lat, ojciec zaczął co wieczór wyjmować z nich wszystkie wtyczki, aby zminimalizować ryzyko przypadkowej iskry niegodziwej elektryczności.

Gdy miałem jedenaście lat, zastałem kiedyś ojca w nocy przy kuchennym stole. Wpatrywał się w stojącą przed nim świecę. Trzymał dłoń nad płomieniem, od czasu do czasu zniżał ją, nie odrywając ciemnych oczu od smug błękitu i żółci, jakby chciał się od nich czegoś dowiedzieć. Gdy mnie zobaczył, oczy mu się rozszerzyły, twarz poczerwieniała. „Nad tym można zapanować. Można”, powiedział. Osłupiałem, słysząc jego głęboki głos, w którym drgała najcieńsza z możliwych struna niepewności.

Dyżury ojca zaczynały się o trzeciej po południu, a matka, kasjerka w sklepie całodobowym, czasem także szła do pracy na noc, moja siostra Erin i ja byliśmy dziećmi z kluczami na szyi na długo przedtem, nim to określenie stało się modne. Pewnego wieczoru próbowaliśmy przyrządzić opiekanego łososia, potrawę, którą jedliśmy latem podczas wycieczki na Cape Cod.

Polaliśmy patelnię wszystkimi przyprawami, jakie udało nam się znaleźć i po kilku minutach całą kuchnię wypełnił dym. Zająłem się otwieraniem okien, a moja siostra pootwierała drzwi, i od frontu, i od tyłu. Kiedy przypomnieliśmy sobie o źródle dymu jako takim, patelnia

już stała w ogniu.

Dobiegłem do kuchenki, gdy pierwszy spadochron błękitnego płomienia lądował na białej firance. Przypomniałem sobie lęk w głosie ojca, gdy mówił: „Nad tym można zapanować”. Erin porwała patelnię z palnika i brunatny tłuszcz prysnął jej na rękę. Upuściła patelnię, a jej zawartość rozlała się po powierzchni kuchenki jak napalm.

Wyobraziłem sobie reakcję ojca, gdy odkryje, że wpuściliśmy TO do jego domu, jego upokorzenie, furję, w którą to upokorzenie się obróci, nabrzmiewanie krwi w rękach, aż zacisną się w pięści i ruszą na poszukiwanie.

Wpadłem w panikę.

Mając w zasięgu ręki sześć pudeł sody oczyszczonej, chwyciłem pierwszy płyn, jaki dostrzegłem na lodówce, i wylałem na płonący tłuszcz ćwierć litra osiemdziesięcioprocentowej wódki.

W ułamku sekundy uprzytomniłem sobie, co się zaraz stanie, i zanim górna część pomieszczenia eksplodowała, zdążyłem pociągnąć siostrę w dół. Leżąc na podłodze, patrzyliśmy ze zgrozą, jak tapeta nad kuchenką odpada ze ściany, jak po suficie przemieszcza się grzybiasta chmura błękitu, żółci, czerni i czerwieni i setki iskier strzelają w bok lodówki.

Siostra poturlała się do przedpokoju i porwała stamtąd gaśnicę. Ja przyniosłem drugą ze spiżarni. Jakby ostatnich pięciu minut w ogóle nie było, jak prawdziwe dzieci wybitnego strażaka stanęliśmy na środku kuchni i zaczęliśmy gasić kuchenkę, ścianę, sufit, lodówkę i firankę. Po minucie czarnobiała piana okrywała nas od stóp do głów jak ptasie gówna.

Gdy nasze nadnercza zamknęły śluzy i przestaliśmy

dygotać, usiedliśmy na środku zdewastowanej kuchni i gapiliśmy się na drzwi, w których ojciec pojawiał się co noc o jedenastej trzydzięci. Gapiliśmy się, aż oboje zaczęliśmy płakać, gapiliśmy się jeszcze długo po tym, jak zabrakło nam łez.

Zanim matka wróciła z pracy, wywietrzyliśmy całe mieszkanie, wytarliśmy wszystkie ślady z lodówki i kuchenki, wyrzuciliśmy zwęglone resztki tapety i to, co zostało z firanki. Matka spojrzała na czarną chmurę wypaloną na suficie, na osmalone ściany, usiadła przy kuchennym stole i przez dobre pięć minut wpatrywała się pustym wzrokiem w jakiś obiekt w spiżarni.

– Mamo? – odezwała się Erin.

Matka zamrugała. Popatrzyła na moją siostrę, potem na mnie, potem na butelkę wódki na blacie. Wskazała ją ruchem głowy:

– Które...?

Nie mogąc przemówić, wycelowałem palcem wskazującym w swoją pierś.

Matka poszła do spiżarni. Jak na taką drobną, szczupłą kobietę poruszała się bardzo powoli, powłócząc nogami, jakby miała ogromną nadwagę. Wróciła do kuchni z żelazkiem i deską do prasowania. W sytuacjach kryzysowych miała zwyczaj podpierać się czynnościami rutynowymi, a to była pora prasowania mundurów ojca. Otworzyła okno i zaczęła ściągać je ze sznurka. Stojąc tyłem do nas, powiedziała:

– Idźcie do swoich pokoi. Spróbuję porozmawiać z ojcem. Usiadłem na rogu łóżka z rękami na kolanach, twarzą do drzwi. Nie zapalałem światła, w ciemności zamknąłem oczy, dłonie zacisnąłem w pięści.

Gdy ojciec wrócił do domu, zwykle odgłosy jego

objiania się po kuchni – dźwięk pudełka na kanapki rzuconego na stół, grzechotanie lodu w szklance, ciężkie tapnięcie oznaczające, że zwałił się na krzesło i zaraz naleje sobie drinka – zamarły. Cisza panująca tej nocy w mieszkaniu była dłuższa i głębsza i bardziej nabrzmiała zgrozą niż kiedykolwiek dotąd.

– Po prostu się pomylił – powiedziała matka.

– Pomylił się – powiedział ojciec.

– Edgar.

– Pomylił się – powtórzył.

– Ma jedenaście lat. Wpadł w popłoch.

– Mhm – rzekł ojciec.

Wszystko, co zdarzyło się później, sprawiało wrażenie, jakby rozwinęło się w tej dziwacznej kompresji czasowej, której doświadcza się tuż przed wypadkiem samochodowym albo upadkiem ze schodów – wszystko przyspiesza, a jednocześnie zwalnia. Całe życie, ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami, na przestrzeni sekundy.

Matka krzyknęła: „Nie!”, i usłyszałem, jak deska do prasowania uderza o linoleum, a potem kroki ojca zbliżające się do mojego pokoju. Starłem się nie otwierać oczu, ale kiedy kopniakiem rozwalił drzwi, drzazga zadrasnęła mnie w policzek i pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, było żelazko w jego ręce, bez sznura i wtyczki. Ciosem kolana w ramię przewrócił mnie na łóżko.

– Tak bardzo chcesz się przekonać, jak to jest, co, chłopcze?

Patrzyłem mu w oczy, bo nie chciałem patrzeć na żelazko. W jego ciemnych źrenicach widziałem niepokojącą mieszaninę gniewu i lęku, i nienawiści,

i dzikości i, tak jest, miłości, jakiejś jej nieprawej wersji, ale jednak.

I na tym właśnie się skoncentrowałem, tego się uczepliłem, do tego się modliłem, gdy ojciec zadarł mi koszulę aż do mostka i przycisnął żelazko do brzucha.

Angie powiedziała kiedyś: „Może na tym właśnie polega miłość – liczysz bandażę, aż ktoś ci powie, że starczy”. Może.

Siedząc przy biurku, zamknąłem oczy. Wiedziałem, że nie zasnę, dopóki fale adrenaliny urządzą sobie wyścigi po moim krwiobiegu. Kiedy się obudziłem po godzinie, dzwonił telefon.

Zdołałem wypowiedzieć tylko „Patr...”, gdy po linii potoczył się głos Angie.

– Patrick, proszę cię, przyjedź do mnie.

Sięgnąłem po broń.

– Co się stało?

– Chyba się właśnie rozwiodłam.

Kiedy dotarłem na miejsce, przed domem stał już zaparkowany samochód policyjny. Tuż za nim camaro Devina. On stał na werandzie razem z Oscarem i rozmawiał z jeszcze jednym gliniarzem, młodym chłopakiem. Ostatnio jakoś zbyt wielu gliniarzy zaczyna mi wyglądać jak dzieci, pomyślałem, wchodząc po schodach.

Wszyscy trzej stali, jak się okazało, nad skulonym, bezwładnym ciałem. To był Phil; w pierwszej chwili pomyślałem: „Jezus, Maria, zabiła go”.

Devin spojrzał na mnie spod uniesionych brwi. Jego twarz rozjaśniał uśmiech wielki jak Kansas.

– Dowiedzieliśmy się, bo jesteśmy automatycznie informowani o wszystkim, co się dzieje pod twoim albo jej adresem. – Rzucił okiem na Phila i obrażenia pokrywające całą jego twarz, a potem znowu na mnie. – Alleluja, co?

Miała na sobie białą koszulę i spłowiełe ciemnoniebieskie szorty. Na dolnej wardze zrobił jej się czerwony bąbel, tusz z rzęs rozmazał się po twarzy. Włosy powłaziły jej do oczu. Boso, chwiejnym krokiem wyszła na werandę. Nagle zobaczyła mnie i rzuciła mi się w ramiona. Objąłem ją, a ona wgrzyła mi się w ramię. Płakała cicho.

– Coś ty zrobiła? – spytałem, starając się, chyba niezbyt skutecznie, nie mówić tego tonem radosnego zaskoczenia.

Nie odrywając się ode mnie, potrząsnęła głową. Devin opierał się o Oscara. Nie widziałem ich tak szczęśliwych od czasu, gdy – obaj tego samego dnia – przestali płacić alimenty.

– Chcesz wiedzieć, co zrobiła? – spytał Devin.

– Zmusiła go, żeby błagał o życie – powiedział Oscar. Devin, chichocząc, sięgnął do kieszeni i podsunął mi pod

nos elektroszoker.

– Tym go załatwiła.

– Dwa razy – dodał Oscar.

– Dwa razy! – powtórzył radośnie Devin. – Miał, zasraniec, cholerne szczęście, że nie dostał zawału.

– Potem – kontynuował Oscar – spuściła mu lanie.

– Dostała szału! Po prostu szału! Skopała go po głowie, po żebrach, sprząła na kwaśne jabłko. Popatrz tylko na niego!

Popatrzyłem. Phil wracał do przytomności, ale byłem przekonany, że wolalby raczej znowu pograżyć się we śnie. Oczy miał prawie niewidoczne pod opuchlizną. Usta czarne. Ciemne siniaki pokrywały ponad trzy czwarte jego twarzy. Jeśli ja po tym, co zrobił mi Curtis Moore, wyglądałem jak po wypadku samochodowym, to Phil wyglądał, jakby przeżył katastrofę samolotu.

– Aresztujecie ją, prawda? – wymówił, gdy tylko był w stanie.

– Oczywiście, proszę pana. Oczywiście – rzeki Devin. Angie wysunęła się z moich objęć i spojrzała na niego. – Wnosi pan oskarżenie? – spytał Oscar.

Phil przytrzymał się poręczy i podźwignął się. Trzymał się kurczowo, jakby poręcz w każdej sekundzie mogła mu uciec. Zaczął coś mówić, ale nagle wychylił się i zwymiotował na podwórko.

– Ślicznie – stwierdził Devin.

Oscar podszedł do Phila i gdy ten dalej wymiotował, położył mu dłoń na plecach. Przemawiał do niego ścisłym, ciepłym głosem, jakby nic szczególnego się nie działo, jakby całe życie rozmawiał z ludźmi obrzygującymi swoje trawniki.

– Pytałem, czy zamierza pan wnosić oskarżenie,

dlatego że niektórzy ludzie w takiej sytuacji wolą tego nie robić.

Phil kilkakrotnie splunął na podwórko i wytarł usta koszulą. Dżentelmen jak zawsze.

– Co to znaczy „w takiej sytuacji”?

– No cóż – rzekł Oscar. – W takiej sytuacji.

– W sytuacji, kiedy taki kozak jak ty dostaje wpierdol od kobiety, która nawet w ubraniu nasiąkniętym wodą nie waży więcej niż pięćdziesiąt kilogramów – wyjaśnił Devin. – W sytuacji, która łatwo może stać się ulubionym tematem rozmów w okolicznych barach. No, rozumiesz; w sytuacji, kiedy chłop wychodzi na totalnego złamasa.

Zakasiałem, dyskretnie zasłaniając usta dłonią.

– Nie będzie tak źle, proszę pana – pocieszył go Oscar. – Pójdzie pan do sądu, powie pan sędziemu, że żona od czasu do czasu pana bije, żeby pokazać, kto tu rządzi. Coś takiego. Bez obawy, to nie jest tak, że sędzia zaraz sprawdza, czy pan, dajmy na to, nosi sukienki. – Znowu poklepał go po plecach. Nie na tyle mocno, żeby poleciał za róg ulicy, ale prawie. – Lepiej się pan czuje?

Phil odwrócił głowę do Angie.

– Ty pizdo.

Nikt jej nie przytrzymał, bo nikt jakoś nie chciał. Dwoma długimi susami przemierzyła werandę – Oscar usunął się z drogi – i Phil zdążył tylko podnieść rękę, gdy grzmotnęła go w skroń. Wtedy Oscar zrobił krok naprzód i odciągnął ją.

– Phillip, jeśli jeszcze choć raz do mnie podejdziesz, to cię zabiję. Phil przyłożył dłoń do skroni. Wyglądał, jakby miał się rozplakać.

– Widzieliście to, panowie – powiedział.

– Co takiego? – spytał Oscar.

– Na twoim miejscu uwierzyłbym tej damie na słowo, Phillip – rzekł Devin. – Ona ma broń i z tego, co wiem, pozwolenie na jej używanie. Prawdę mówiąc, to cud, że w ogóle jeszcze oddychasz.

Oscar puścił Angie. Wróciła do Devina i do mnie i przez chwilę miałem wrażenie, że z uszu jej dymi.

– Wnosisz oskarżenie czy nie, Phillip? – spytał Oscar.

Phillip dał sobie chwilę, żeby to rozważyć. Pomyślał o barach, w których nie będzie się już mógł pokazać. W tej dzielnicy w żadnym, to pewne. Pomyślał o gwizdach i homoseksualnych dowcipach, które będą towarzyszyć mu aż do grobu, o stanikach i majtkach, które będzie regularnie znajdował w skrzynce pocztowej.

– Nie – powiedział. – Nie wnoszę oskarżenia.

Oscar poklepał go po policzku.

– Męska decyzja, Phillip.

Młody gliniarz wyszedł z domu z walizką Angie i postawił ją przed nią.

– Dziękuję.

Usłyszeliśmy coś, jakby kot chłęptał mokrą karmę, i gdy się obejrzelśmy, zobaczyliśmy, że Phil łąka z twarzą ukrytą w dłoniach.

Angie rzuciła mu spojrzenie takiej miażdżącej i ostatecznej pogardy, że temperatura na werandzie z pewnością opadła o dziesięć stopni. Podniosła walizkę i poszła do samochodu Devina.

Oscar klepnął Phila po biodrze i jego twarz wyjrzała zza dłoni. Spojrzał w szeroką twarz Oscara.

– Jeśli cokolwiek jej się przytrafi, dopóki ja i on – wskazał na Devina – żyjemy, powiedzmy na przykład, piorun w nią strzeli, jej samolot się rozbije, złamie sobie paznokieć, cokolwiek, możesz się spodziewać, że się tobą

zajmiemy. Rozumiesz mnie?

Phil skinął głową. Znowu zatrzęsł się konwulsyjnie i zaczął płakać. Grzmotnął pięścią w barierkę, opanował się i napotkał mój wzrok.

– Bubba się za tobą stęsknił, Phil – powiedziałem.

Zadrżał.

Odwróciłem się. Gdy schodziłem po schodach, Devin rzucił:

– Hej, Phil, nie sądzisz, że zemsta jest słodka? Phil odwrócił się i jeszcze raz zwymiotował. Poszliśmy do samochodu Devina. Usiadłem z Angie z tyłu. Na tylnym siedzeniu camaro na nogi zostaje miejsca w sam raz dla karzelka, ale tego wieczoru nie narzekałem. Devin ruszył; we wstecznym lusterku kilka razy przyjrzał się Angie.

– O gustach się nie dyskutuje, prawda? Oscar też na nią popatrzył.

– Nie mieści się w głowie. Kompletnie nie mieści się w głowie.

– Socia definitywnie przegrał wojnę – powiedział Devin. – Ukrywa się od dwóch dni, a połowa jego ludzi przeszła do Avengersów. Nikt się nie spodziewał, że Roland okaże się takim taktykiem. – Obejrzał się na nas. – Nasz Marion nie przeżyje tygodnia. Szczęśliwie dla was, co?

– Tak – potwierdziłem, myśląc jednocześnie, że zostaje jeszcze Roland.

– Nie dla mnie. Umoczyłem sto dolców w pieprzonym totku.

– Trzeba było postawić na Rolanda – powiedział Oscar.

– Teraz mi to mówisz?

Podrzucili nas do mojego mieszkania.

– Patrol przejdzie tędy co piętnaście minut. Nic wam nie grozi.

Pozegnaliśmy się i poszliśmy na górę. Na automatycznej sekretarce czekało osiem wiadomości, ale je zignorowałem.

– Kawa czy piwo?

– Kawa – poprosiła Angie.

Wsypałem co nieco do filtra, nastawiłem mój wierny ekspres. Wyjąłem z lodówki piwo, wróciłem do pokoju. Siedziała skulona w rogu kanapy. Nagle wydała mi się mniejsza niż kiedykolwiek. Zająłem miejsce w fotelu naprzeciwko, czekałem. Postawiła sobie popielniczkę na udzie, drżącymi rękami zapaliła papierosa.

– Ale święto, co?

– Coś wspaniałego – zgodziłem się.

– Kiedy wróciłam do domu, nie byłam w zbyt dobrej formie.

– Wiem.

– Przecież, na miłość boską, dopiero co zabiłam człowieka. – Ręce tak jej się trzęsły, że popiół z papierosa spadał na kanapę. Zmiotła go na popielniczkę. – Więc wchodzę do domu, a on tam siedzi i zaczyna się pieklić, że samochód został na South Station, że nie wróciłam na noc, i pyta... nie, mówi mi, że pieprzę się z tobą. A ja sobie myślę: ledwo przeszłam przez próg, mam cholerne szczęście, że w ogóle żyję, cała twarz we krwi, a on nie potrafi wymyślić nic bardziej oryginalnego niż: „Pieprzysz się z Patem Kenzie”? Chryste Panie. – Odsunęła włosy z twarzy i chwilę trzymała dłoń na czole. – No to ja mówię: „Przestań chrzanić głupoty, Phillip”, czy coś w tym stylu, a on dalej swoje: „Ale teraz, kiedy się z tobą policzę, dziecino, nie będziesz w stanie pieprzyć się z nikim, co najwyżej sama z sobą”. – Zaciągnęła się papierosem. – Fajnie, co? Więc chwycił mnie za rękę, a ja wsadziłam drugą do torebki i strzeliłam do niego z elektroszokera. Padł na podłogę, ale zaczął się podnosić, no to ja mu kopa. Stracił równowagę i wyleciał przez drzwi na werandę. A ja go znowu z elektroszokera. I stoję, i patrzę na niego, i nagle wszystko odeszło. No, mówię ci, wszystko. Tak jakby coś wypłukało z mojego organizmu wszelkie uczucia, jakie kiedykolwiek dla niego miałam. Widziałam przed sobą tylko i wyłącznie kupę gówna, która maltretowała mnie przez dwanaście lat, no i... trochę mnie poniosło.

W ten kawałek o uczuciach nie do końca uwierzyłem. Wróca. Zawsze wracają, na ogół wtedy, gdy człowiek jest na to najmniej przygotowany. Pewnie nigdy już nie będzie w stanie go kochać, ale emocje nigdy nie znikną. Czerwień, błękit, czerń najróżniejszych rzeczy, jakich doznała w tym małżeństwie, co jakiś czas będą do niej wracać. Można wyjść z sypialni, ale łóżko zabiera się ze sobą. Ale nie

mówiłem jej tego; sama się przekona, aż za szybko.

– Sądząc z tego, co widziałem, porządnie cię poniosło. Odpowiedziała lekkim uśmiechem. Włosy znowu zasłoniły jej oczy.

– Chyba tak. Ale długo się zbierało.

– Nie będę się spierał.

– Pat?

Jest jedyną osobą, która może zwracać się do mnie tym zdrobnieniem, nie wywołując u mnie szczękościsku. W tych rzadkich chwilach, gdy go używa, brzmi to fajnie, jakoś ciepło.

– Tak?

– Kiedy na niego patrzyłam, już po wszystkim, cały czas myślałam o nas obojgu w tym zaułku, kiedy tamten samochód objeżdżał blok, żeby nas dopaść. Byłam wtedy przerażona, nie myśl, że nie, ale nawet nie w połowie tak przerażona, jak mogłabym być, dlatego że byłam z tobą. Kiedy jesteśmy razem, zawsze nam się jakoś udaje. Przy tobie mam więcej wiary we wszystko. Wiesz?

– Wiem bardzo dobrze.

Uśmiechnęła się. Grzywka zakrywała jej oczy. Nie podnosiła głowy. Zaczęła coś mówić.

W tym momencie zadzwonił telefon. O mało do niego nie strzeliłem.

Wstałem. Wziąłem słuchawkę.

– Halo.

– Kenzie, tu Socia. – Gratuluję.

– Kenzie, musisz się ze mną spotkać.

– Nie, nie muszę.

– Jezus, Kenzie, jak mi nie pomożesz, jestem trup.

– Posłuchaj tego, co właśnie powiedziałeś, Marion, i zastanów się.

Angie spojrzała na mnie; skinąłem głową. Czułość odpłynęła z jej twarzy jak fala z rafy.

– Dobra, Kenzie, wiem, co teraz myślisz, kiedy tak sobie tam siedzisz, bezpieczny i w ogóle, i mówisz sobie: „No to Socia załatwiony”. Ale ja nie jestem załatwiony. Jeszcze nie. I jak będę musiał, przyjdę do ciebie i żebyś wiedział, że po drodze na cmentarz zabiorę cię ze sobą. Ty masz to, co mi jest potrzebne, żebym został przy życiu, i ty mi to dasz. Chwilę się zastanawiałem.

– Spróbuj mnie stąd wyciągnąć, Socia.

– Jestem pół kilometra od twojego domu.

To mnie ostudziło, ale mimo to powiedziałem:

– To wpadnij. Napijemy się piwa, nim cię zastrzełę.

– Kenzie – powiedział głosem nagle znużonym. – Mogę się dostać do ciebie i mogę się dostać do twojej współpracownicy, tej, na którą patrzysz, jakby miała w ręku klucz do wszystkich tajemnic życia. Nie masz już tego psychologa z armatą, żeby cię bronił. Nie zmuszaj mnie, żebym po ciebie przyszedł.

Każdy może dostać się do każdego. Jeśli Socia postawi sobie za wyłączny cel, aby mój pogrzeb o kilka dni lub kilka godzin poprzedził jego pogrzeb, może mu się udać.

– Czego chcesz?

– Pieprzonych zdjęć, człowieku. Uratują nam życie. Powiem Rolandowi, że jeśli zabije mnie albo ciebie, te zdjęcia na sto procent wyjdą na jaw. To właśnie to, czego nie chce: żeby ludzie mówili, że Roland daje się jebać w dupę.

– Gdzie i kiedy?

– Znasz wiadukt pod autostradą przy Columbia Station?

Dwie przecznice ode mnie.

- Tak.
- Za pół godziny. Pod spodem.
- I wtedy będę was miał z głowy?
- Kurwa, będziesz. Ja i ty jeszcze jakiś czas pożyjemy.
- Za pół godziny.

Wyjęliśmy z konfesjonału zdjęcia i pistolety. Zdjęcia skserowaliśmy na kopiarce, którą ksiądz Drummond trzyma w podziemiach i używa do odbijania arkuszy do gry w bingo, oryginały umieściliśmy z powrotem w skrytce i wróciliśmy do mojego mieszkania.

Angie wypłała duży kubek czarnej kawy, a ja przejrzałem nasz arsenał. Mieliśmy jeden kaliber trzysta pięćdziesiąt siedem z dwoma nabojami, trzydziestkęósemkę od Colina, trzydziestkęósemkę, którą zdobył dla nas Bubba, i czterdziestkępiątkę, którą zabrałem Lizakowi, z tłumikiem. Mieliśmy jeszcze cztery granaty w lodówce i ithakę.

Włożyłem płaszcz, a Angie skórzaną kurtkę i wzięliśmy ze sobą wszystko, prócz granatów. Z takimi jak Socia nigdy dość ostrożności.

– Ale święto – powiedziałem i wyszliśmy.

I-93 przebiega częściowo nad naszą dzielnicą. Pod nią miasto składa się z trzech rodzajów depozytów – piasek, sól i żwir – na wypadek różnych sytuacji kryzysowych. Tworzą one trzy stożki o wysokości sześciu metrów i ponadczterometrowej podstawie. Latem akurat nie ma na nie specjalnego zapotrzebowania. Co prawda, w Bostonie trzeba być zawsze przygotowanym. Matka natura płata czasem figle i na przykład na początku października zsyła na nas burzę śnieżną tylko po to, żeby nam pokazać, jaka z niej świruska.

Na ten teren można się dostać albo z ulicy, albo od tyłu stacji metra Columbia/JFK, albo od strony Mosley Street, jeśli komuś nie przeszkadza, że musi się przedzierać przez krzaki i schodzić po zboczu.

Przedarliśmy się przez krzaki i zeszliśmy po zboczu, kopiąc przed sobą grudy brunatnej ziemi. Przekroczyliśmy zielony dźwigar i znaleźliśmy się między trzema stożkami.

Socia stał pośrodku, w miejscu, gdzie ich podstawy tworzyły nieregularny trójkąt. Obok niego stał mały chłopak. Nie ukształtowane kości jarzmowe i pełne policzki zdradzały jego wiek, mimo iż pewnie uważał, że dzięki okularom i czapce wygląda wystarczająco dorosłe, by sprzedano mu szkocką. Jeśli miał więcej niż czternaście lat, to dobrze się trzymał.

Puste ręce Socii zwisały po bokach, ale małolat trzymał swoje w kieszeniach kurtki. Poruszał nimi w tył i w przód, ocierając je o kanciaste biodra.

– Wyjmij ręce z kieszeni – powiedziałem.

Małolat spojrział na Socie. Wycelowałem w niego czterdziestkępiątkę.

– Którego wyrazu nie zrozumiałeś? Socia kiwnął głową.

– Wyjmij, Eugene.

Ręce Eugene'a powoli wyłoniły się z kieszeni kurtki. Lewa była pusta, w prawej miał trzydziestkęósemkę, która wydawała się dwa razy większa niż jego dłoń. Sam z siebie rzucił ją na stos soli i zaczął wkładać ręce z powrotem do kieszeni. Zmienił jednak zdanie i wyciągnął je przed siebie, jakby widział je po raz pierwszy. W końcu splótł je na piersi i przestąpił z nogi na nogę. Nie za bardzo też wiedział, co zrobić z głową. Szybkimi szuczurzymi ruchami zwracał ją to w moim kierunku, to na Angie, to znowu na

Socię, z powrotem na miejsce, gdzie leżał pistolet, wreszcie w górę, na ciemną zieleń przy autostradzie.

Wszystkie tutejsze aromaty – soli, spalin, taniego wina – i odór dziecięcego strachu zawisły w powietrzu ciężką chmurą.

Angie spojrzała na mnie, a ja skinąłem głową. Znikła za stożkiem po lewej stronie, podczas gdy ja wpatrywałem się w Socię i Eugene'a. Wiedzieliśmy, że po autostradzie na górze nikt się nie płacze, ponieważ sprawdziliśmy to, schodząc na dół z Mosley. Nikogo nie było też na dachu stacji; przyjrzeliliśmy mu się po drodze.

– Tylko ja i Eugene – powiedział Socia. – Nikogo więcej. Nie widziałem powodu, żeby mu nie wierzyć. Przez te trzy dni Socia postarzał się bardziej niż Carter przez cztery lata w Białym Domu. Włosy miał brudne. Ubranie wisiało na nim jak na drucianym wieszaku, a wysokogatunkowy len upstrzony był beżowymi plamami po jedzeniu. Oczy miał różowe – typowe oczy w głowie napełnionej crackiem, płonące adrenaliną i spragnione cienia. Nadgarstki mu się trzęsły, a jego skóra miała błądźliwość rękodziela sekcjonera. Żył na kredyt i nawet on wiedział, że jego czas dawno minął.

Gdy tak na niego patrzyłem, może przez jedną dwudziestą sekundy poczułem coś podobnego do litości. Potem przypomniałem sobie zdjęcia, które miałem w kieszeni, chudziutkiego chłopaczka, którego zabił, z którego popiołów powstał stalowy robot, wyglądający jak chłopiec, mówiący jak chłopiec, ale pozbawiony duszy, ponieważ jego dusza została w motelu, w pokoju z brudnymi prześcieradłami. Usłyszałem nagranie z wyłupywania oka Antonowi. Zobaczyłem jego żonę w piękny letni poranek osuwającą się na ziemię pod

gradem kul, ze wzrokiem zasnutym wiekuistą rezygnacją. Pomyślałem o armii Eugene'ów zamykających szklane oczy i rzucających się naprzód, by za niego umierać, wdychających jego „towar” i wydychających duszę. Patrzyłem na Marionę Socie i nie chodziło o to, że ktoś jest czarny, a ktoś biały. Chodziło o człowieczeństwo. Sama świadomość jego istnienia kazała mi nienawidzić natury świata.

Ruchem głowy wskazał Eugene'a.

– Jak ci się podoba mój goryl, Kenzie? Widać, że muszę już skrobać po dnie beczki?

Mogłem sobie tylko wyobrazić, co te słowa zrobiły z ukrytymi za okularami oczami.

– Ależ z ciebie pieprzona świnia, Socia.

– Taaa, taaa, taaa – sięgnął do kieszeni, a ja przyłożyłem mu do gardła czterdziestkępiątkę.

Spojrzał na tłumik pod swoją grdyką.

– Masz mnie za głupka? – wyciągnął z kieszeni małą fajkę. – Chcę tylko zapalić.

Odstąpiłem o krok, a on wyciągnął z drugiej kieszeni zbitą grudkę i nabił fajkę. Zapalił, possał mocno, z zamkniętymi oczami. Potem zapytał głosem skrzeczącym jak żaba.

– Przyniosłeś to, czego potrzebuję?

Znowu podniósł powieki. Białka drgały mu jak obraz w zepsutym telewizorze.

Angie stanęła obok mnie. Oboje wpatrywaliśmy się w niego.

Wypuścił z płuc smugę dymu i uśmiechnął się. Podał fajkę Eugene'owi.

– Aaach. Co się tak gapicie? Biedne skrzywdzone białe dzieci zastraszone przez wielkiego czarnego demona –

zachichotał.

– Nie pochlebiaj sobie, Socia – powiedziała Angie. – Jaki tam z ciebie demon. Jesteś zwykłym gadem. I nawet, kurde, nie jesteś czarny.

– To co ja jestem, panieneczko?

– Wybryk natury – odparia i pstryknęła mu w pierś niedopałkiem.

Wzruszył ramionami i otrzepał marynarkę z popiołu. Eugene ssał fajkę, jakby to była trzcinka wystawiona nad powierzchnię wody. Po chwili oddał ją Socii i odchylił głowę do tyłu Socia wyciągnął rękę i poklepał mnie po ramieniu.

– Hej, chłopcze, daj mi to, po co przyszedłem. To co nas obu ocali przed tym wściekłym psem.

– Wściekłym psem? Socia, przecież to ty go stworzyłeś. Odarłeś go ze wszystkiego i nie zostawiłeś nic prócz nienawiści, kiedy miał zaledwie dziesięć lat.

Eugene przestąpił z nogi na nogę, spojrział na Socie. Socia parsknął, sztachnął się fajką. Dym wypełzał mu powoli z kącików ust.

– Co ty w ogóle wiesz o czymkolwiek, biały chłopaczku? No? Siedem lat temu ta suka zabrała mi mojego małego, żeby uczyć go o Jezusie i być grzecznym dla białych, tak jakby miał w tym życiu jakąś szansę. Mały czarnuch z getta. Ośmieliła się nawet załatwić, że nałożyli na mnie zakaz zbliżania się do niego. Na mnie. Chciała mnie odsunąć od mojego chłopaka, żeby móc napychać mu głowę gównem o amerykańskim micie. Gównem. Bo amerykański mit to dla czarnucha jak rozkładówka na ścianie celi. W tym świecie czarny znaczy coś tylko wtedy, kiedy umie śpiewać albo tańczyć, albo rzucać piłką, żeby bawić białych – Znowu pociągnął z fajki. – Wy lubicie

patrzeć na czarnucha, tylko jak siedzicie na widowni. A ta szmata Jenna chciała wcisnąć te ciemnoty Wuja Toma mojemu dzieciakowi, wmówić mu, że Bóg mu dopomoże. Chuj z tym. Na tym świecie człowiek robi to, co robi, i koniec. Tam na górze nie ma żadnego księgowego, co by to zapisywał. Kaznodzieje mogą sobie gadać, co chcą. – Mocno postukał fajką o nogę, wytrzepując popiół i żywicę, twarz miał zaczerwienioną. – Dobra, Kenzie, daj mi to gówno i Roland zostawi cię w spokoju. Ja też.

Wątpiłem w to. Socia zostawiłby mnie w spokoju, dopóki czułby się bezpieczny – gdyby to w ogóle było możliwe. Po pewnym czasie zaczęłoby go drażnić istnienie ludzi, którzy coś na niego mają, którzy widzieli go w roli żebraka. Starłby nas z powierzchni ziemi, żeby zachować złudzenia na swój temat.

Patrzyłem na niego, ciągle zastanawiając się, czy mam inne wyjście niż to, które mi podsuwał. On równie wytrwale patrzył na mnie. Eugene odrobinę się cofnął, o jeden mały krok. Prawą ręką podrapał się po plecach.

– No już. Dawaj to.

Nie, nie miałem wyboru. Jeśli tego nie zrobię, Roland z pewnością mnie dopadnie. Wolną ręką sięgnąłem do kieszeni i wydobyłem kopertę.

Socia lekko pochylił się do przodu. Prawa dłoń Eugene'a wciąż skrobała plecy, a lewą nogą lekko postukiwał o beton. Podałem kopertę Socii. Noga Eugene'a przyspieszyła.

Socia otworzył kopertę i cofnął się pod światło latarni, żeby podziwiać swoje arcydzieło.

– Kopie – powiedział.

– Bardzo dobre. Oryginały są u mnie.

Spojrzał na mnie, zrozumiał, że sprawa nie podlega

negocjacom, i wzruszył ramionami. Oglądał jedną po drugiej, nie spiesząc się, jakby to były stare pocztówki. Kilka razy cicho zachichotał.

– Czegoś tu nie rozumiem, Socia – powiedziałem. Uśmiechnął się upiornie.

– Wielu rzeczy nie rozumiesz, biały chłopaczku.

– No, ale w tej konkretnej sprawie.

– Czego?

– Zrobiłeś te zdjęcia z taśmy wideo?

– Ośmiomilimetrowa kamera do użytku domowego.

– No więc jeśli masz film, to po co giną ci wszyscy ludzie?

Uśmiechnął się.

– Nie mam filmu. Pierwsze miejsce, w które uderzyli chłopcy Rolanda, to był taki mój lokal w Warren. Obrzucili go bombami zapalającymi. Mieli nadzieję, że ja tam jestem. Tylko że mnie nie było.

– Ale był film.

Przytaknął, dalej oglądając skserowane fotografie.

Eugene wychylił się i wyciągnął szyję, próbując spojrzeć Socii przez ramię. Prawą rękę trzymał za plecami, a lewą zaciekle drapał się po biodrze. Jego drobne ciało drgało; z ust wydobywał mu się pomruk, niski, wibrujący dźwięk, którego chyba nie był świadom. To, do czego się szykował, cokolwiek to było, nadchodziło.

Dałem krok do przodu, oddychając płytko.

– No, na przykład to – powiedział Socia. – Chłopak mógłby zostać gwiazdą filmową. No nie, Eugene?

Eugene zrobił swój ruch. Dał susa do przodu, niezdarnie, jakby się potknął, i jego ręka wyłoniła się zza pleców uzbrojona w pistolet. Gwałtownym ruchem uniósł rękę, ale zahaczył o łokieć Socii. Socia właśnie się

odwracał, gdy ja rzuciłem się naprzód, w obrocie chwytając Eugene'a za nadgarstek, i zarzuciłem go sobie na plecy. Noga Socii wygięła się w kostce. Poleciał na ziemię. Pistolet zagrzemiał dwukrotnie w ciągle jeszcze wilgotnym powietrzu. Uderzyłem łokciem w tył, prosto w twarz Eugene'a, i usłyszałem trzask łamanej kości.

Socia odbił się od chodnika i przeturlał na stos soli. Fotokopie rozleciały się na wszystkie strony jak od wybuchu. Eugene wypuścił pistolet. Puściłem jego gładki nadgarstek. Upadł na ziemię; jego głowa cicho, głucho stuknęła o beton.

Podniosłem pistolet i spojrzałem na Angie. Stała w postawie strzelca wyborowego, z wyciągniętą ręką, spokojnie wodząc trzydziestkąsemką od Socii do Eugene'a.

Eugene usiadł z rękami na kolanach. Z jego złamanego nosa płynęła krew.

Socia leżał na kupie soli, nieruchomy w mrocznym cieniu autostrady. Czekałem, ale się nie ruszał.

Angie podeszła i spojrzała na niego. Wyciągnęła rękę, a wtedy odwrócił się na plecy. Popatrzył na nas i zaczął się śmiać, głośnym wybuchowym śmiechem jak toczące się po niebie grzmoty. Patrzyliśmy, jak próbuje się opanować, ale nie był w stanie. Chciał usiąść prosto, ale ruch spowodował obsunięcie się soli, która poleciała mu za koszulę. To rozśmieszyło go jeszcze bardziej. Rzucił się na sól jak pijany na łóżko wodne, klepiąc ją dłonią. Wibrujący w powietrzu śmiech na chwilę zagłuszył nawet huk przejeżdżających nad naszymi głowami samochodów.

Wreszcie usiadł, trzymając się za brzuch.

– No, no, niech skonom. Czy już nikomu na tym świecie nie można ufać? – Jeszcze chichotał, spoglądając

na chłopaka. – Hej, Eugene, ile ci Roland zapłacił, żebyś mnie wydał?

Eugene najwyraźniej go nie słyszał. Jego skóra nabrała niezdrowego odcienia jak u kogoś, kto walczy z mdłościami. Oddychał głęboko i przyciskał dłoń do serca. Zdawał się nie zwracać uwagi na złamany nos, ale oczy mu zogromniały od tego, na co się porwał, i tego, gdzie go to doprowadziło. W jego tęczęwkach wzbierało nieopisane przerażenie. Widziałem, że jego mózg rozpaczliwie walczy, żeby przez to przebrnąć, przemierza duszę w poszukiwaniu odwagi niezbędnej do osiągnięcia stanu rezygnacji.

Socia wstał, otrzepał garnitur z soli. Powoli pokręcił głową i schylił się, żeby pozbierać porozrzucane fotokopie.

– No, no. W całym świecie nie znajdzie się nora tak głęboka ani kraj tak wielki, żeby zdołał cię ukryć, mały. Roland nie Roland, już nie żyjesz.

Eugene popatrzył na strzaskane okulary leżące obok niego na ziemi i zwymiotował prosto na własne kolana.

– Choćbyś nie wiem co robił – rzekł Socia – nic ci już nie pomoże.

Poczułem niezdrowe ciepło w karku i do połowy uszu – jakby tuż pod skórą zagotowała mi się krew. Nad naszymi głowami metalowy wiadukt zagrzechotał pod ciężarem przetaczającego się po nim z ogłuszającym, kakofonicznym rykiem konwoju ciężarówek z przyczepami.

Spojrzałem na chłopca i ogarnęło mnie zmęczenie, potworne zmęczenie – wszystkimi tymi śmierciami, nikczemną nienawiścią i głupotą, i kompletną, absolutną ludzką obojętnością, których huraganowi musiałem się opierać przez cały miniony tydzień. Byłem zmęczony jałowymi debatami – czarni kontra biali, bogaci kontra

biedni, podli kontra szlachetni. Zmęczony mściwością i bezsensem, Marionem Socia i jego obojętnym okrucieństwem. Zbyt zmęczony, żeby troszczyć się o implikacje moralne czy politykę, czy cokolwiek poza szklanym wzrokiem siedzącego na ziemi chłopaka, który najwyraźniej oduczył się płakać. Byłem śmiertelnie wyczerpany Sociami, Paulsonami, Rolandami i Mulkernami tego świata i duchami ich ofiar furkoczącymi mi w ucho błagalnym ni to wiatrem, ni to szeptem, żebym kazał komuś za to zapłacić. Żebym to skończył. Socia przeszukiwał cienie między stożkami.

– Kenzie, ile było tych fotografii?

Odwiodłem kurek czterdziestkipiątki, akurat gdy nad naszymi głowami koła ciężarówki z bezlitosną furią załomotały o ciężki metal i z rykiem pomknęły naprzód ku swojemu przeznaczeniu, które mogło się znajdować tysiące kilometrów stąd lub tuż za rogiem.

Spojrzałem na nos, który osobiście złamałem. Kiedy zdążył zapomnieć, jak się płacze?

– Kenzie. Ile było tych pierdolonych obrazków?

Angie patrzyła na mnie i wiedziałem, że huk dochodzący z góry dudni także w jej głowie.

Socia odszukał następną fotokopię.

– Kurwa, człowieku, lepiej, żeby to były wszystkie. Ostatnia ciężarówka załomotała na wiadukcie, ale huk nie ustawał, zaciekle, gorączkowo tłukąc się o moje błony bębenkowe.

Eugene jęknął i dotknął swojego nosa.

Angie patrzyła na Socie, który rozkraczony jak krab obszukiwał ziemię wokół siebie. Potem przeniosła wzrok na mnie i skinęła głową.

Socia wyprostował się i trzymając fotokopie, wszedł

w krąg światła.

– Ile jeszcze, Socia? – spytałem.

– Czego? – odparł, składając fotografie.

– Ile ofiar musisz jeszcze zeżreć, żeby się w końcu nasycić? Żeby nawet tobie zachciało się rzygać?

– Zrób to, Patrick. Teraz – powiedziała Angie.

Socia rzucił okiem na nią, potem na mnie. Wzrok miał pusty. Nie sędzę, żeby zrozumiał myśl stojącą za moim pytaniem. Gapił się na mnie, czekając, aż ją rozwinę. Po jakiejś minucie podniósł fotografie. Jego kciuk przyciskał pierwszą z nich między nagimi udami Rolanda.

– To wszystko czy nie wszystko, Kenzie?

– Tak, Socia – odparłem. – To wszystko. Podniosłem pistolet i wypaliłem mu w pierś.

Upuścił fotografie i nakrył otwór dłonią. Zachwiał się, ale stał. Spojrzał na dziurę, na krew na ręce. Sprawiał wrażenie zdumionego i przez jeden przelotny moment śmiertelnie przerażonego.

– Po chuja żeś to zrobił?

Zakaszał.

Jeszcze raz odwidłem kurek.

Spojrzał na mnie i lęk zniknął z jego oczu. Jego tęczęwki tryskały zimną satysfakcją, mrocznym zrozumieniem. Uśmiechnął się.

Strzeliłem mu w głowę. Pistolet Angie wypalił w tej samej chwili. Kule powaliły go z powrotem na piramidę soli. Runął na plecy i osunął się na beton.

Ciało Angie nieznacznie drżało, ale głos brzmiał spokojnie.

– Zdaje się, że Devin miał rację. Popatrzyłem na Socie.

– W czym?

– Że niektórych ludzi musisz albo zabić, albo tolerować

takimi, jacy są, bo nigdy nie zdołasz ich zmienić.

Schyliłem się, żeby pozbierać fotografie.

Angie uklękła nad Eugene'em i chusteczką otarła mu nos i twarz. Nie wyglądał na zdziwionego ani poruszonego, ani wstrząśniętego tym, co się stało. Oczy miał zamglone, jakby niezdolne do skupienia wzroku.

– Możesz iść? – spytała Angie.

– Tak.

Podniósł się chwiejnie, na kilka sekund zamknął oczy, powoli wypuścił powietrze.

Znalazłem fotokopię, której szukałem, wytarłem ją żwirem i włożyłem do kieszeni marynarki Socii. Eugene stał teraz pewnie. Popatrzyłem na niego.

– Wracaj do domu.

Skinął głową i oddalił się bez słowa. Wspiął się po zboczach i zniknął za krzakami.

Po chwili Angie i ja ruszyliśmy tą samą drogą. Gdy wracaliśmy do mnie, otoczyłem ją ramieniem w talii i starałem się o tym nie myśleć.

W ostatnim tygodniu swojego życia mój ojciec przy wzroście metr osiemdziesiąt pięć ważył niecałe pięćdziesiąt kilogramów.

O trzeciej nad ranem w jego szpitalnym pokoju nasłuchiwałem grzechotu wydobywającego się z jego piersi, brzmiącego, jakby ktoś gotował w garnku tłuczone szkło. Wypuszczał powietrze z trudem, jakby musiał je przepchnąć przez grubą warstwę gazy. W kącikach ust zaschła mu biała ślina.

Gdy otworzył oczy, jego zielone tęczówki zdawały się pływać bezładnie po powierzchni bieli. Zwrócił głowę w moją stronę.

– Patrick.

Nachyliłem się nad łóżkiem. Dziecko we mnie nie traciło czujności, cały czas obserwując jego ręce, gotowe odskoczyć, gdyby poruszyły się zbyt gwałtownie.

Uśmiechnął się.

– Twoja matka mnie kocha.

Pokiwałem głową.

– To w każdym razie... – zakasłał i gwałtowność tego odruchu sprawiła, że jego pierś się zapadła, a głowa oderwała od poduszki. Skrzywił się, przelknął wydzielinę. – To w każdym razie coś, co mogę ze sobą zabrać. Tam.

Wzniósł oczy do góry, jakby chciał uchwycić jakiś ślad miejsca, do którego miał się udać.

– To fajnie, Edgar – powiedziałem.

Słaba dłoń poklepała mnie po ręku.

– A ty mnie ciągle nienawidzisz, prawda? Spojrzałem w szalone tęczówki i przytaknąłem. – A co z tymi bzdetami, których uczyły cię zakonnice? Co z odpuszczaniem win? –

uniósł brwi, znużony, ale ubawiony.

– To już zużyłeś, Edgar. Dawno temu.

Słaba ręka wyciągnęła się jeszcze raz, musnęła mnie po brzuchu. – Jeszcze się wściekasz o tę bliznę?

Wpatrywałem się w niego, nie dając mu nic, pokazując, że nie ma już nic, co mógłby mi zabrać, nawet gdyby miał dość siły. Lekceważącym gestem machnął ręką.

– No to chuj ci w dupę. – Zamknął oczy. – Po co przyszedłeś?

Odsunąłem się, patrząc na wyniszczone ciało, czekając, aż przestanie to na mnie robić wrażenie, aż trujący szlam miłości i nienawiści przestanie płynąć w moich żyłach.

– Zobaczyć, jak umierasz.

Uśmiechnął się, wciąż nie otwierając oczu.

– Ach – powiedział. – Sęp. A więc jesteś jednak nieodrodnym synem swojego ojca.

Potem na chwilę zasnął, a ja patrzyłem, słuchając, jak tłuczone szkło grzechocze w jego piersiach. Wiedziałem, że wyjaśnienie – czymkolwiek było – na które czekałem całe życie, tkwiło zamknięte w tym nędznym ciele, w tym gnijącym mózgu i że nigdy go nie opuści. Uda się razem z moim ojcem w jego czarną podróż do tego miejsca, które widział, gdy tęczęwki jego oczu uciekały w głąb czaszki. Cała ta mroczna wiedza należała tylko do niego i zabierał ją ze sobą, żeby w drodze mieć się z czego pośmiać.

O wpół do szóstej ojciec otworzył oczy i skinął na mnie.

– Coś się pali – powiedział. – Coś się pali.

Oczy mu się rozszerzyły, usta rozwarły, jakby chciał zawyc.

I umarł.

A ja patrzyłem, nadal czekając.

Piątego lipca o wpół do drugiej nad ranem spotkaliśmy się ze Sterlingiem Mulkernem i Jimem Vurnanem w barze Hyatt Regency w Cambridge. To jeden z tych drinkbarów umiejscowionych na obracającej się platformie. Płynąc powolnym kolistym ruchem, podziwialiśmy migoczące światła miasta. Czerwone ceglane mostki dla pieszych na rzece Charles sprawiały wrażenie starych i poczciwych i nie drażniły mnie nawet porośnięte bluszczem mury Harvardu.

Mulkern miał na sobie szary garnitur i białą koszulę, ale bez krawata. Jim włożył sweter z angory z okrągłym wycięciem pod szyją i jasnobrązowe bawełniane spodnie. Ani jeden, ani drugi nie wyglądał na zadowolonego.

Angie i ja byliśmy w codziennych strojach i mieliśmy to gdzieś.

– Mam nadzieję, że wezwaliście nas tutaj o tej porze z jakiegoś naprawdę ważnego powodu, chłopcze – powiedział Mulkern.

– Oczywiście. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, proszę łaskawie powiedzieć, jak się umawialiśmy.

– Dajże spokój. O co znowu chodzi?

– Proszę przypomnieć warunki naszego kontraktu.

Mulkern spojrział na Jima i wzruszył ramionami.

– Patrick – powiedział Jim. – Wiesz doskonale, że umawialiśmy się na stawkę dzienną plus zwrot kosztów.

– Plus?

– Plus premia w wysokości siedmiu tysięcy dolarów, jeśli przedstawiś dokumenty skradzione przez Jenne Angieline. – Jim był rozdrażniony; może jego ślubna blondyna z dyplomem Vassar i fryzurą Dorothy Hamill

kazała mu spać na kozetce. A może właśnie przerwałem im kwartalną schadzkę?

– Wyplaciliście mi zaliczkę w wysokości dwóch tysięcy dolarów. Pracowałem nad sprawą przez siedem dni. Ściśle biorąc, gdybym chciał czepiać się szczegółów, dziś zaczął się ósmy, ale nie będę małosłowny. Oto rachunek. – Podałem go Mulkernowi.

Ledwo spojrzał.

– Śmiesznie wygórowany, ale wynajeliśmy ciebie, bo twoje wyniki jakoby usprawiedliwiają takie stawki.

Oparłem się na krzesło.

– Kto napuścił na mnie Curtisa Moore'a? Wy czy Paulson?

– Co ty, u diabła, wygadujesz? Curtis Moore pracował dla Socji – powiedział Jim.

– Ale, o dziwo, udało mu się zacząć mnie śledzić jakieś pięć minut po naszym pierwszym spotkaniu. – Spojrzałem na Mulkerna. – Jakże wygodnie.

Oczy Mulkerna nie zdradzały niczego. Oczy człowieka, który jest w stanie odeprzeć tysiące przypuszczeń, choćby nie wiem jak logicznych, póki nie szły za nimi żadne dowody. A jeśli nawet dowody się znajdują, zawsze może powiedzieć, że sobie nie przypomina.

Pociągnąłem piwa.

– Czy znał pan blisko mojego ojca?

– Znałem go dobrze, chłopcze, a teraz przejdźmy do sedna. – Spojrzał na zegarek.

– Wiedział pan, że bił swoją żonę, maltretował dzieci. Mulkern wzruszył ramionami.

– To nie moja sprawa.

– Patrick – wtrącił Jim. – Twoje życie prywatne nie ma tu nic do rzeczy.

– A jednak takie sprawy powinny kogoś obchodzić – powiedziałem. Patrzyłem na Mulkerna. – Jeśli pan wiedział to o moim ojcu, panie senatorze, to czemu jako osoba w służbie publicznej nic pan z tym nie zrobił?

– Już ci mówiłem, chłopcze. To nie moja sprawa.

– A co jest pańską sprawą, panie senatorze?

– Dokumenty, Pat.

– Co jest pańską sprawą, panie senatorze? – powtórzyłem.

– Dobro kraju, rzecz jasna – zachichotał. – Chętnie bym tu jeszcze z tobą posiedział i objaśnił ci koncepcję użyteczności publicznej, Pat, ale nie mam czasu. Kilka klapsów od staruszka to jeszcze nie powód do interwencji, chłopcze.

Kilka klapsów. Dwie hospitalizacje w ciągu pierwszych dwunastu lat życia.

– Wiedział pan o Paulsonie? Chodzi mi o to, czy wiedział pan wszystko.

– Dobrze już, chłopcze. Dopełnijmy kontraktu i ruszajmy każdy swoją drogą.

Jego górna warga perliła się kropelkami potu.

– Co pan wiedział? Wiedział pan, że pieprzy małych chłopczyków?

– Nie widzę potrzeby posługiwania się w tym otoczeniu takim językiem – powiedział Mulkern z uśmiechem, rozglądając się po pomieszczeniu.

– Proszę powiedzieć, jaki język jest w pana odczuciu właściwy, a zobaczymy, czy da się zastosować do molestowania seksualnego dzieci, prostytutki, szantażu i morderstwa – rzekła Angie.

– A to co znowu? – spytał Mulkern. – Słyszę tu jakieś wytwory chorego umysłu. Chorego umysłu. Daj mi te

dokumenty, Pat.

– Panie senatorze?

– Tak, Pat?

– Niech pan mnie nie nazywa „Pat”. To zdrobnienie odpowiednie dla psa, nie dla człowieka.

Mulkern oparł się o krzesło i zniecierpliwiony wznosił oczy ku niebu. Najwyraźniej na tej półkuli nie miałem nic do powiedzenia.

– Chłopcze...

– Co pan wiedział, panie senatorze? Co pan wiedział? Pana przyboczny posuwa małe dzieci i w całym mieście giną ludzie, bo on i Socia nakręcili parę filmów na własny użytek i sprawy wymknęły się spod kontroli. Prawda? Socia szantażował Paulsona, żeby zmienił charakter swojego zaangażowania w sprawę ustawy o terroryzmie ulicznym? A Paulson, oplakując stracone dziewictwo, wypił parę drinków za dużo i Jenna znalazła fotografie? Syna gwałconego przez człowieka, dla którego pracowała? Może nawet na niego głosowała? Co pan wiedział, panie senatorze?

Wpatrywał się we mnie.

– Ja byłem magnelem. Prawda? – Spojrzałem na Jima, a on odpowiedział mi wzrokiem pozbawionym wyrazu. – Miałem doprowadzić Socie i Paulsona do Jenny, pomóc im posprzątać. Tak było, panie senatorze?

Przyjął mój gniew i oburzenie z uśmiechem. Wiedział, że nie mam na niego nic, poza pytaniami i przypuszczeniami. Wiedział, że nikt nie miał, nie ma i nie będzie miał nic innego, i jego oczy stwardniały w wyrazie triumfu. Im więcej będę pytał, tym mniej się dowiem. Tak to już jest.

– Daj mi te dokumenty, Pat – powiedział.

– Niech no najpierw zobaczę czek, Sterl.

Wyciągnął dłoń, a Jim włożył w nią czek. Jim patrzył na mnie tak, jakbyśmy od lat grali w tę samą grę, a tymczasem dopiero teraz zaczynał zdawać sobie sprawę, że nie mam pojęcia o jej regułach. Powoli, ruchem zgorzzonej zastępowej pokręcił głową. W jakimś fajnym klasztorze byłaby z niego niezła zakonnica.

Mulkern wypełnił część dotyczącą odbiorcy pieniędzy, ale miejsce na wpisanie sumy zostawił puste.

– Dokumenty, Pat.

Sięgnąłem na krzesło i podałem mu kopertę. Otworzył ją, wyjął fotografie, przytrzymał na kolanach.

– Tym razem nie kopie? Jestem z ciebie dumny, Pat.

– Proszę podpisać czek, panie senatorze.

Przerzucił fotografie, na widok jednej z nich uśmiechnął się smutno i włożył je z powrotem do koperty. Znowu podniósł długopis i lekko postukał nim o blat stołu.

– Wiesz, Pat, wydaje mi się, że powinienem wziąć poprawkę na twoją ogólną postawę. Tak. Zamierzam zredukować twoją premię o połowę. Co ty na to?

– Zrobiłem kopie.

– Kopie w sądzie nie mają wartości.

– Ale mogą narobić cholernego smrodu.

Popatrzył na mnie, chwilę szacował mnie wzrokiem, po czym potrząsnął głową. Pochylił się nad czekiem.

– Niech pan zadzwoni do Paulsona. Spyta go pan, którego zdjęcia brakuje.

Długopis zamarł.

– Brakuje? – spytał Jim.

– Brakuje? – spytała Angie po prostu dla jaj.

– Brakuje – przytaknąłem. – Paulson może panu powiedzieć, że było ich razem dwadzieścia dwa. W tej

kopercie ma pan dwadzieścia jeden.

– A gdzie jest to brakujące? – spytał Mulkern.

– Podpisz czek, to się dowiesz, palancie.

Nie sądzę, żeby Mulkern kiedykolwiek wcześniej został nazwany palantem. Nie sprawiał też wrażenia zachwyconego, ale może się przyzwyczai.

– Oddaj mi je – powiedział.

– Podpisz czek bez żadnych poprawek, a powiem ci, gdzie jest.

– Niech pan nie podpisuje, panie senatorze – powiedział Jim.

– Zamknij się, Jim – rzekł Mulkern.

– Właśnie, zamknij się, Jim. Leć, przynieś panu senatorowi patyczek do zabawy.

Mulkern nie odrywał ode mnie wzroku. Zdaje się, że była to jego główna metoda zastraszania przeciwnika; niestety, nieskuteczna wobec człowieka, który ostatnie dni spędził na uchylaniu się przed kulami. Zajęło mu to kilka minut, ale chyba w końcu załapał.

– Żeby nie wiem co, zniszczę cię – rzekł. Wpisał właściwą sumę, podpisał czek i podał mi.

– Ja piernicę, no wreszcie.

– Dawaj zdjęcie.

– Obiecałem, że powiem panu, gdzie ono jest, panie senatorze. Nie mówię, że je panu dam.

Mulkern na chwilę zamknął oczy. Oddychał ciężko przez rozdęte nozdrza.

– W porządku. Więc gdzie jest?

– Tam – odezwała się Angie i wskazała drugi koniec baru.

Richie Colgan wychylił głowę zza paprotki. Pomachał do nas, popatrzył na Mulkerna i uśmiechnął się. Szeroko.

Kąciki jego ust niemal zbiegły się z kącikami oczu.

– Nie – powiedział Mulkern.

– Tak – zapewniła go Angie i poklepała po ręce.

– Spójrz na to z jaśniejszej strony, Sterl – podsunąłem.

– Nie musiałeś wypisywać Richiemu czeku. Wyjebie cię za friko.

Wstaliśmy od stołu.

– W tym mieście jesteś skończony – powiedział Mulkern. – Nie dostaniesz nawet zasiłku.

– Naprawdę? Cholera, to może jeszcze pójdę do Richiego i powiem mu, że ten czek dostałem za pomoc w ukryciu twojego udziału w całej sprawie.

– I co ci z tego przyjdzie?

– Postawię cię w tej samej sytuacji, w której ty chcesz postawić mnie. I niech mnie diabli, jeśli mi to nie sprawi niesamowitej frajdy. – Sięgnąłem po swoje piwo i dokończyłem je. – To jak, Sterl, nadal chcesz zniszczyć moje dobre imię?

Mulkern ważył kopertę w dłoni.

– Brian Paulson jest dobrym człowiekiem. Dobrym politykiem. A te zdjęcia mają prawie siedem lat. Po co to teraz wyciągać? To stare dzieje.

Uśmiechnąłem się i zacytowałem jego myśl.

– Człowiek nie pamięta, co robił wczoraj, ale to, co było dawno, ma przed oczami jak żywe, panie senatorze. – Trąciłem łokciem Jima. – Czy nie tak to już jakoś jest?

Próbowaliśmy pogadać z Richiem na parkingu, ale równie dobrze można było próbować gadać z kimś, kto przelatuje obok ciebie odrzutowcem. Kołysał się w przód i w tył i co chwila przerywał, mówiąc: „Zapamiętaj to, dobrze?”, po czym szeptał coś do dyktafonu. Zapewne napisał większość swojego artykułu, stojąc na parkingu Hyatt Regency.

Pożegnaliśmy się. Przez całą drogę do samochodu radośnie podrygiwał. Ja i Angie zabiliśmy Socie, ale Richie miał pogrzebać Paulsona.

Do domu pojechaliśmy taksówką. Pograżone w ciszy miasto było usiane resztkami fajerwerków; wiatr niósł gorzki zapach prochu. Podniecenie świadomością, że załatwiliśmy chłopca do bicia Mulkerna przed samym jego nosem, zaczęło się powoli rozwiewać, wyciekać z taksówki na opustoszałe ulice, odpływać gdzieś w cienie wiszące nad nami pomiędzy latarniami.

Gdy znaleźliśmy się w moim mieszkaniu, Angie pomaszerowała prosto do lodówki i wzięła z drzwi butelkę zinfandela. Wzięła też kieliszek, chociaż nie wiem po co: szybciej mogłaby się załatwić z nim tylko wtedy, gdyby zaaplikowała go sobie dożylnie. Ja wziąłem sobie kilka piw i usiedliśmy w pokoju przy otwartych oknach, słuchając, jak na ulicy lekki wiatr dmucha w pustą puszkę, stuka nią o asfalt, turla do rogu.

Wiedziałem, że za tydzień czy dwa będę to wspominał z przyjemnością, smakował wyraz twarzy Mulkerna w chwili, gdy uprzytomnił sobie, że zapłacił mi masę pieniędzy za zrujnowanie mu życia. Jakimś cudem udał mi się rzadki wyczyn – pociągnięcie do odpowiedzialności

kogoś z parlamentu. Za jakiś tydzień będę się z tego cieszył. Ale nie teraz. Teraz musieliśmy stawić czoło czemuś zupełnie innemu. W powietrzu wisiał ciężar naszych sumień.

Angie była już w połowie butelki.

– No co?

Wstała. Butelka zwisała luźno między jej palcem wskazującym a środkowym i obijała się o udo.

Ja też wstałem, niepewny, czy jestem gotów. Wziąłem sobie jeszcze dwa piwa, wróciłem.

– Zabiliśmy człowieka – powiedziałem. Zabrzmiało to tak zwyczajnie.

– Z zimną krwią.

– Z zimną krwią.

Otworzyłem jedno piwo, a drugie postawiłem na podłodze obok krzesła. Angie osuszyła kieliszek, nalała sobie drugi.

– Nie zagrażał nam.

– Nie, w tamtej chwili bezpośrednio nie.

– Mimo to zabiliśmy go.

– Mimo to zabiliśmy go – powiedziałem. Ta wymiana zdań była monotonna i nużąca, ale miałem uczucie, że w ten sposób próbujemy powiedzieć sobie, co naprawdę zrobiliśmy, bez ściemniania, bez kłamstw, które przychodziłyby nam później prześladować.

– Dlaczego? – spytała.

– Ponieważ budził w nas obrzydzenie. Moralne. – Napiliśmy się piwa. Smakowało nie lepiej niż woda.

– Mnóstwo ludzi budzi w nas moralne obrzydzenie – powiedziała. – Ich także pozabijamy?

– Nie sądzę.

– Dlaczego?

- Nie mamy dość kul.
- Nie chcę na ten temat żartować – powiedziała. – Nie teraz. Miała rację.
- Przepraszam.
- Gdybyśmy znaleźli się jeszcze raz w takiej samej sytuacji, zrobilibyśmy to samo.
Pomyślałem o Socii, jak zbierał fotografie, trzymając palec między nogami swojego syna.
- Tak, zrobilibyśmy to samo.
- To była drapieżna bestia. Przytaknąłem.
- Sprzedał własne dziecko zbrojczyce, więc go zabiliśmy. – Upiła wina tym razem już nie tak łapczywie. Stała na środku pokoju, co jakiś czas okręcając się powoli na lewej nodze. Butelka nadal zwisała spomiędzy jej palców jak wahadełko.
- Tak to mniej więcej wygląda – potwierdziłem.
- Paulson robił podobne rzeczy. Wykorzystał to dziecko i zapewne setki innych. Wiedzieliśmy o tym. I nie zabiliśmy go.
- Zabiliśmy Socie pod wpływem chwili. Nie planowaliśmy tego, kiedy szliśmy się z nim spotkać.
Zaśmiała się krótko, szorstko.
- Nie planowaliśmy, co? To dlaczego wzięliśmy ze sobą pistolet z tłumikiem?
Zostawiłem to pytanie i starałem się na nie nie odpowiedzieć. W końcu jednak powiedziałem.
- Może, idąc tam, wiedzieliśmy, że go zabijemy, jeśli da nam choć cień pretekstu. Zaslugiwał na to.
- Paulson też. Ale on żyje.
- Gdybyśmy zabili Paulsona, poszlibyśmy siedzieć. Socia nikogo nie obchodzi. Złożą to na karb wojny gangów i będą szczęśliwi, że nie żyje.

– Prawda, jak to się świetnie dla nas złożyło?

Wstałem i podszedłem do niej. Wziąłem ją za ramiona, kładąc kres jej powolnym piruetom. Powtórzyłem:

– Zabiliśmy Socję pod wpływem chwili. – Może, jeśli powtórzę to zdanie wiele razy, stanie się prawdą. – Nie mogliśmy się dostać do Paulsona. Jest zbyt dobrze chroniony. Ale zajęliśmy się nim.

– W bardzo cywilizowany sposób.

Słowo „cywilizowany” wymówiła tak, jak niektórzy ludzie mówią „podatki”.

– Tak.

– A więc z Socją postąpiliśmy zgodnie z prawem dżungli, a Paulsona załatwiliśmy według praw cywilizacji.

– Tak jest.

Spojrzała mi w oczy. W jej oczach pływał alkohol, wyczerpanie i duchy.

– Wygląda na to, że cywilizacja to coś, do czego się uciekamy, kiedy tak nam wygodniej.

Trudno byłoby się spierać. Czarny alfons nie żył, a biały gwałciciel dzieci gdzieś nad butelką chivas przygotowywał się do konferencji prasowej. Obaj tak samo winni.

Ludzie tacy jak Paulson zawsze zdołają się ukryć za barykadą władzy. Mogą przeżyć pohańbienie, mogą nawet odsiedzieć sześć miesięcy w federalnym country clubie zwanym więzieniem i być zmuszeni stawić czoło potępieniu opinii publicznej, ale nie przestaną oddychać. Paulson może nawet całkiem dobrze wylądować. Kilka lat temu wybrano na drugą kadencję kongresmana, który przyznał się do uprawiania seksu z piętnastoletnim chłopcem. Widać dla niektórych ludzi nawet przestępczy charakter kontaktów seksualnych z nieletnimi to kwestia

punktu widzenia.

A ludzie tacy jak Socia mogą się ślizgać przez jakiś czas. Nieraz długi. Będą zabijać i okaleczać i czynić życie wszystkich wokół siebie wstrętnym i ponurym, ale prędzej czy później zwykle też kończą tak jak Socia – z mózgiem wyciekającym z czaszki gdzieś pod autostradą. Na trzynastej stronie działu miejskiego. Gliny tylko wzruszą ramionami i nie będą się zbytnio wysilać, żeby znaleźć zabójców.

Jeden pohańbiony, jeden zabity. Jeden żywy, drugi zabity. Jeden biały, jeden zabity.

Podrapałem się po głowie, czując pod palcami piasek i tłuszcz poprzedniego dnia. Moje ręce cuchnęły śmietnikiem i ścięciem.

W tamtej chwili naprawdę nienawidziłem świata i wszystkiego, co na nim było.

Los Angeles płonie, a wiele innych miast się tli i tylko czeka, aż ktoś podleje węgle benzyną. Słuchamy polityków, którzy podsycają naszą nienawiść, utwierdzają nas w naszych ciasnych przeświadczeniach i mówią nam, że to po prostu kwestia powrotu do pryncypiów – a mówią to, siedząc w swoich rezydencjach z widokiem na plażę i wsłuchując się w morską bryzę, żeby nie słyszeć krzyku tonących.

Mówią nam, że to kwestia rasowa, i my im wierzymy. Mówią o demokracji, a my potakujemy, wielce zadowoleni z siebie. Obwiniamy takich jak Socia, od czasu do czasu obruszamy się na Paulsonów, ale zawsze głosujemy na Sterlingów Mulkernów. A w sporadycznych momentach pseudoiluminacji zastanawiamy się, dlaczego Mulkernowie tego świata nas nie szanują.

Nie szanują nas, bo jesteśmy ich napastowanymi

dziećmi. Pieprzą nas rano, w południe i wieczorem, ale dopóki od czasu do czasu utulą nas pocałunkiem, dopóki szepczą nam do uszka: „Tatuś cię kocha, tatuś się tobą zaopiekuje”, zamykamy oczy i idziemy spać, sprzedając nasze ciała i dusze w zamian za uspokajającą fasadę „cywilizacji” i za „bezpieczeństwo” – fałszywe idole dwudziestowiecznych nocnych polucji.

To na naszym przywiązaniu do tych snów opiera się władza Mulkernów, Paulsonów, Socii, Philów i Bohaterów tego świata. To jest ich mroczna wiedza. Tym wygrywają.

Posłałem Angie błady uśmiech.

– Jestem zmęczony – powiedziałem.

– Ja też – odpowiedziała równie bladym uśmiechem. – Wykończona. – Podeszła do kanapy i zaczęła rozkładać prześcieradło, które tam dla niej położyłem. – Kiedyś to sobie poukładamy. Dobrze?

– Tak. Kiedyś – powiedziałem, idąc do sypialni. – Na pewno.

Fotografia, którą daliśmy Richiemu, przedstawiała senatora Paulsona w całej jego chwale. Przedstawiała także bardzo szczegółowo, gdzie, by tak rzec, było jej źródło. Sylwetka Rolanda zajmowała mniej więcej jedną trzecią obrazu i nie mogło być wątpliwości co do jego wieku, dziecięcości ciała pod Paulsonem. Ani co do jego płci. Ale, w przeciwieństwie do niektórych innych fotografii, nie widać było na niej twarzy Rolanda, tylko jego drobne uszy i czaszkę. Obok stał Socia, przyglądając się scenie ze znudzonym wyrazem twarzy, paląc papierosa.

„Tribune” zamieściła fotografię z odpowiednim zmniejszeniem ostrości i czarnymi prostokątami w miejscach, które łatwo sobie wyobrazić. Obok tej fotografii była jeszcze jedna – zdjęcie Socii leżącego na żwirze brzuchem do góry, jak nadmuchiwana lalka, którą ktoś zapomniał napompować. Głowę miał odrzuconą do tyłu, w dłoni wciąż jeszcze trzymał małą fajkę. Nad zdjęciem znajdował się nagłówek: MEŹCZYŻNA Z FOTOGRAFII PAULSONA ZABITY W GANGSTERSKIM STYLU.

Oprócz swojego stałego felietonu Richie opublikował także artykuł o zabójstwie Socii. Napisał, że policja na razie nikogo nie podejrzewa i że śledztwo może być utrudnione, jeśli zabójca miał dość sprytu, by zanim czegokolwiek dotknie, wytrzeć ręce o żwir. Zabójca miał dość sprytu. Wspomniał, że w kieszeni zakrwawionej lnianej marynarki Socii znaleziono fotokopię zdjęcia Paulsona. Nadmienił też, że konkubina Socii była swego czasu Jenna Angielina, ta sama Jenna Angielina, która pracowała jako sprzątaczką w biurze między innymi

senatora Paulsona i senatora Mulkerna. Zamieścili jeszcze raz jej pośmiertne zdjęcie z budynkiem parlamentu w tle.

Był to największy lokalny skandal od czasu, jak prokurator okręgowy spartaczył sprawę Charlesa Stuarta. Może nawet większy. Musieliśmy zaczekać, aż kolejne sprawy wyjdą w praniu.

Jedną rzeczą, która nie mogła wyjść w praniu, była tożsamość Rolanda. Wątpię, żeby Paulson wiedział, kim było dziecko, z którym się wtedy zabawiał. Zresztą na przestrzeni następných lat było ich z pewnością jeszcze wiele. A nawet gdyby wiedział, nie przypuszczam, by chciał się z tym afiszować. Socia nie nadawał się do publicznych wystąpień, a Angie i ja w ogóle nie byliśmy w sprawę zamieszani.

Richie to dziennikarz z piekła rodem. Powiązał Paulsona z Socją i Socję z Jenną za pomocą trzeciego paragrafu, zwrócił uwagę, że na piątkowej sesji legislacyjnej Paulson zgłosił oficjalny wniosek o dodatkowy dzień wolny, właśnie w terminie zaplanowanej debaty nad ustawą o zwalczaniu terroryzmu ulicznego. Richie nic nie insynuował, nikogo nie oskarżał. Wykładał tylko czytelnikowi fakt za faktem kawa na ławę tuż obok talerza ze śniadaniem i pozwalał samodzielnie dojść do odpowiednich wniosków.

Miałem swoje wątpliwości co do tego, ilu z nich do nich dojdzie, ale pewnie wielu.

Paulson, jak podano, był na urlopie w swoim rodzinnym domu w Marblehead. Gdy złapałem poranne wiadomości w telewizji, przed kamerami byli tam już Devin i Oscar. Oscar powiedział:

– Senator Paulson ma godzinę na stawienie się na komendzie policji w Marblehead, w przeciwnym razie

wejdziemy, aby go tam doprowadzić.

Devin nic nie mówił. Stał obok niego rozpromieniony, z cygarem wielkości boeinga w ustach. Reporter zwrócił się do Oscara.

– Sierżancie Lee, pański partner sprawia wrażenie zadowolonego...

– Jest taki szczęśliwy – odparł Oscar – że sam nie wie, czy ma się zesrać, czy... – w tym momencie stacja przełączyła się na reklamę.

Skacząc po kanałach, zobaczyłem na siódemce Sterlinga Mulkerna. Wchodził po stopniach parlamentu, a po piętach deptała mu cała armia ludzi. Jim Vurnan, nieco w tyle, próbował dotrzymać mu kroku. Przedzierał się przez las mikrofonów jak łódka wiosłowa przez Morze Martwe z refrenem „Nie mam nic do powiedzenia” na ustach, aż do samych drzwi wejściowych. Byłem trochę zawiedziony; miałem nadzieję, że dla przełamania monotonii dorzuci chociaż parę „Nie przypominam sobie”, ale domyślałem się, że sprawianie mi przyjemności nie zajmowało tego ranka wysokiej pozycji na jego liście spraw do załatwienia.

Angie nie spała już wtedy od kilku minut, patrzyła z kanapy, na której spędziła noc, podparta na łokciu, oczami jeszcze zapuchniętymi, ale ożywionymi.

– Wiesz, Poślizg, czasem ta robota nie jest wcale taka zła.

Siedziałem na podłodze, w nogach kanapy. Popatrzyłem na nią.

– Czy zawsze rano włosy stoją ci dęba?

Zadawanie takich pytań, gdy się siedzi w pobliżu czyjejś nogi, nie świadczy o wybitnej inteligencji. Następną moją wypowiedź brzmiała: „Auć!”.

Wstała, zarzuciła mi prześcieradło na głowę.

– Kawy? – spytała.

– Z rozkoszą. – Ściągnąłem prześcieradło z twarzy.

– To zrób i dla mnie, dobrze? – poczłapała do łazienki i odkręciła prysznic.

Na kanale piątym była już dwójka spikerów, którzy zapewnili nas, widzów, że pozostaną z nami, dopóki nie poznamy wszystkich faktów. Miałem ochotę im powiedzieć, że w takim razie będą musieli zamawiać sobie pizzę do studia przez najbliższe dziesięć lat, ale dałem spokój. Sami się przekonają.

Na kanale siódmym Ken Mitchum powiedział, że to zapewne największy skandal ostatnich czasów.

Na kanał szósty przełączyłem akurat, kiedy przywoływali sprawę Charlesa Stuarta, porównując podteksty rasowe w obu sytuacjach. Ward się uśmiechał, ale Ward zawsze się uśmiecha. Laura z kolei sprawiała wrażenie wkurzonej. Trudno się jej dziwić: Laura jest czarna.

Angie wyszła spod prysznica w świeżym ubraniu – moich szarych szortach i białej koszulce polo. Koszulka też była moja, ale niech mnie diabli, jeśli ona nie wyglądała w niej lepiej niż ja.

– Gdzie moja kawa?

– Tam gdzie i dzwon. Jak tylko je znajdziesz, koniecznie daj mi znać.

Zmarszczyła czoło i przechyliwszy głowę na bok, szcztokowała włosy.

Na ekranie mignęło ujęcie trupa Socii. Angie na chwilę przerwała szcztokowanie.

– Jak się czujesz? – spytałem.

– Dobrze, dopóki o tym nie myślę. Chodź, wyjdźmy

stąd.

– I gdzie pójdziemy?

– Nie wiem jak ty, dziecinko, ale ja chcę wydać trochę kasy z naszej premii. Poza tym – dodała – musimy odwiedzić Bubbę.

– Wzięłaś pod uwagę, że może być na nas zły? Wzruszyła ramionami.

– Każdy kiedyś musi umrzeć, no nie?

Na prezent dla Bubby wybrałem Nintendo Gameboya i do tego kilka gier terrorystycznych. Angie kupiła mu figurkę Freddy’ego Kruegera i pięć świerszczyków.

Przy drzwiach stał policjant, ale po odbyciu kilku rozmów telefonicznych pozwolił nam wejść. Bubba czytał zniszczone wydanie *Książki kucharskiej anarchisty*, ucząc się nowych znakomitych metod konstruowania bomb wodorowych we własnym warsztacie. Popatrzył na nas i przez najdłuższą sekundę w całym moim życiu nie mogłem odgadnąć, czy jest zły, czy nie.

– Najwyższy czas, żeby pokazał się tu ktoś, kogo lubię – powitał nas.

Przypomniałem sobie, jak się oddycha.

Był bledszy niż zwykle, a całą lewą połowę klatki piersiowej i rękę miał w gipsie, ale gdyby zdjąć ten gips, wyglądałby lepiej niż niejeden przeziębiony. Angie nachyliła się i pocałowała go w czoło, a potem nagle przytuliła głowę do jego piersi i trwała tak chwilę z zamkniętymi oczami.

– Martwiłam się o ciebie, psycholu.

– Co mnie nie zabije, to mnie skaleczy.

Bubba. Jak zawsze głęboki myśliciel.

– Figurka Freddiego Kruegera! Ja pierdziele! – Spojrzał na mnie. – A ty, co mi przyniosłeś, koleś?

Byliśmy u niego około pół godziny. Lekarze przewidywali z początku, że przynajmniej tydzień spędzi na ojomie, ale teraz mówili, że za dwa dni mogliby go właściwie wypisać. Czekало go oczywiście postawienie w stan oskarżenia, ale Bubba nas uspokajał.

– Kto to taki świadkowie? Jak Boga kocham, jeszcze nigdy żadnego nie spotkałem. To ci, co zawsze tracą pamięć, akurat kiedy mam się stawić w sądzie?

Powędrowaliśmy Charles Street do Back Bay. Karta kredytowa paliła Angie przez spodnie żywym ogniem. Gdy wychodziliśmy z Bonwit Teller, mieliśmy ze sobą spakowane w papierowe torby pół pierwszego piętra.

Ja też zrobiłem półgodzinne zakupy u Eddiego Bauera, następne dwadzieścia minut spędziłem w Banana Republic w Copley Place, po czym na widok trzypiętrowych marmurowych wodospadów, ram okiennych ze szczerego złota i skarpetek w romby Neimana-Marcusa za osiemdziesiąt pięć dolarów mój żołądek zaczął się buntować. Gdyby Donald Trump puścił pawia, do toalety trafiłoby zapewne właśnie coś na kształt Copley Place.

Skierowaliśmy się do tylnego wyjścia, gdzie wczesnym popołudniem stosunkowo najłatwiej złapać taksówkę. Zastanawialiśmy się właśnie, gdzie zjemy lunch, gdy u stóp schodów ruchomych zobaczyłem Rolanda. Jego potężna sylwetka w leniwej pozie zasłaniała wyjście. Jedną rękę miał w gipsie, jedno oko zamknięte, drugie patrzyło na nas bez mrugnięcia.

Sięgnąłem pod luźno wypuszczoną na spodnie koszulę i mocno chwyciłem moje dziewięć milimetrów, chłodzące brzuch, ale przyjemnie ciepłe w dłoni.

Roland zrobił krok do tyłu.

– Chcę pogadać.

Nie puszczałem pistoletu.

– To gadaj – odparła Angie.

– Przejdźcie się ze mną. – Odwrócił się i przeszedł przez obrotowe drzwi.

Sam nie wiem, dlaczego poszliśmy za nim, ale poszliśmy. Świeciło ostre słońce, było ciepło, ale niezbyt wilgotno. Przeszliśmy przez Dartmouth, oddalając się od statecznych hoteli i urokliwych lokalików, gdzie wśród iluzji cywilizacji yuppies piją cappuccino. Przecięliśmy Columbus Avenue i przewędrowaliśmy przez South End, gdzie odrestaurowane domy z czerwono-brązowej cegły stopniowo ustępowały pola budynkom gorzej wyglądającym, gdzie jeszcze nie dała znać o sobie mentalność zdobywców spod znaku paprotki i Perriera. Szliśmy i szliśmy, nie odzywając się ani słowem, aż do Roxbury. Ale zaledwie przekroczyliśmy granicę, Roland powiedział.

– Chcę z wami tylko chwilę porozmawiać.

Rozejrzałem się wokół i nie dostrzegłem niczego, co mogłoby wpłynąć na mnie uspokajająco, ale jakoś mu ufałem. Miałem jeden konkretny powód, ponieważ sprawdziłem temblak, na którym zwisała jego ręka, i nie znalazłem tam pistoletu. Ale to nie było tylko to. Na ile poznałem Rolanda, nie był podobny do ojca. Nie miał zwyczaju usypiać czujności swoich ofiar enigmatycznymi słowami i hipnotyczną modulacją głosu. Szedł prosto na człowieka i posyłał go do trumny.

W tamtej chwili uprzytomniłem sobie też wyraźnie, że małałat był naprawdę duży. Po raz pierwszy staliśmy tak blisko siebie i doprawdy mogło człowieka zatkać. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, a każdy kawałek jego skóry

był twardy od napiętych mięśni. Ja mam dokładnie metr osiemdziesiąt i czułem się przy nim jak karzełek.

Stanął na zrujnowanym polu, które kiedyś zapewne stanie się placem budowy – gdy następny ośrodek wielkiego biznesu ruszy tu, aby wdrzeć się na ten teren, i będzie się wdzierał nieprzerwanie, spychając Roxbury na zachód lub na wschód, aż przekształci się w jeszcze jedno South End, kolejne miejsce, gdzie można wypić dobrego drinka i posłuchać alternatywnej muzyki. Jego mieszkańcy też przesuną się na zachód lub na wschód. Tymczasem politycy przetną wstęgi i uścisną dłonie przedsiębiorcom, z dumą przytoczą malejące wskaźniki przestępczości w tej okolicy, pomijając milczeniem wskaźniki rosnące w tych dzielnicach, do których przeniosą się pozbawieni domu tutejsi. Roxbury znów stanie się miło brzmiącą nazwą. Dedham czy Randolph – nieprzyjemną. Jeszcze jedna dzielnica się rozplynie.

– To wy zabiliście Marionę – rzekł Roland.

Nie odpowiedzieliśmy.

– Myśleliście, że mnie to... ucieszy? O to chodzi? Że wtedy was nie ruszę?

– Nie – odparłem. – To nie miało wiele wspólnego z tobą. Wkurwił nas. Po prostu.

Patrzył na mnie, a potem dłuższą chwilę za mnie. Byliśmy niedaleko od walących się czynszówek, gdzie ścigał nas poprzedniej nocy. Dookoła rozciągały się zniszczone budynki przetykane rzadko nową tkanką miejską. Nie dalej niż rzut kamieniem od Beacon Hill.

Zdawał się czytać w moich myślach.

– Zgadza się – powiedział. – Siedzimy wam na progu.

Obejrzałem się, zobaczyłem linię horyzontu lśniąca w popołudniowym słońcu, które było tak blisko, że niemal

chciałoby się je pocałować. Próbowałem sobie wyobrazić, jak to jest, żyć tutaj, tak blisko, wiedząc, że nigdy nie uda się posmakować tamtego świata. Nic za darmo. Dzielilo nas kilka kilometrów i cały świat.

– No cóż – mruknąłem.

– Nie zawsze będzie wam się to udawało – powiedział Roland. – Nie zdołacie nas powstrzymać.

– My ciebie nie stworzyliśmy, Roland. Nie próbuj jeszcze i tego zwać na białych. To, czym jesteś, zawdzięczasz swojemu ojcu i sobie samemu.

– A czym ja jestem? Wzruszyłem ramionami.

– Szesnastoletnią maszyną do zabijania.

– Masz cholerną rację – potwierdził. – Masz cholerną rację. – Splunął na ziemię na lewo od mojego buta. – Ale nie zawsze tak było.

Pomyślałem o chudym chłopaczku z fotografii, próbując sobie wyobrazić, jakie dobre, życzliwe, może pełne nadziei myśli krążyły w jego głowie, zanim ktoś ich wszystkich nie wypalił, nie przeciążył obwodów jego mózgu tak, że dobro po prostu musiało zrobić miejsce dla takiego ładunku zła. Patrzyłem na stojącego przede mną szesnastoletniego starca, masywną kamienną figurę ze złymi oczami i ręką w gipsie. I za Boga nie potrafiłem ich ze sobą powiązać.

– No wiesz, Roland – powiedziałem. – Wszyscy byliśmy kiedyś małymi chłopczykami. I dziewczynkami – dodałem, spoglądając na Angie.

– Biali... – zaczął Roland.

Angie rzuciła torbę z zakupami na ziemię.

– Nie będziemy słuchać tych pierdoł o białych, Roland. Wiemy o białych. Wiemy, że mają władzę, a czarni nie. Wiemy, że do niektórych świat się uśmiecha, a do innych

szczerzy zęby. Wszystko to wiemy. Też nie jesteśmy z tego za bardzo zadowoleni, ale jest jak jest. Może mielibyśmy o czym pogadać, gdybyś miał jakieś sugestie, jak to zmienić na lepsze. Ale ty zabijasz ludzi, Roland, i sprzedajesz crack. Czego się spodziewasz?

Uśmiechnął się do niej. Nie był to najcieplejszy uśmiech, jaki w życiu widziałem – Roland miał w sobie ciepło niedźwiedzia polarnego – ale nie był też zupełnie zimny.

– Może. Może. – Zdrową ręką podrapał się tuż nad gipsem. – Nie wygadaliście tamtego... gazetom, więc może myślicie, że mam u was dług. – Popatrzył na nas. – Nie mam. Nie mam żadnego długu, bo o nic się nie prosiłem. – Potarł czoło nad niewidzącym okiem. – Z drugiej strony zabijać was też nie ma po co.

Musiałem sobie przypomnieć, że ma dopiero szesnaście lat.

– Mogę cię o coś zapytać, Roland?

– No – nachmurzył się, nagle jakby znudzony.

– Cała ta nienawiść, cały ten gniew w tobie... czy coś z tego ubyło, kiedy dowiedziałeś się, że twój ojciec nie żyje?

Odwrócił stopą bryłę żuzłobetonu i wzruszył ramionami.

– Nie. Może gdybym sam mógł pociągnąć za spust, może wtedy.

Pokręciłem głową.

– Nie ma tak dobrze. Kopnął jeszcze jedną bryłę.

– Nie, chyba nie ma.

Zapatrzył się daleko, za chaszczę i za ruiny po drugiej stronie placu, za zniszczone ceglane bloki ze sterczącymi z nich jak flagi pogiętymi metalowymi prętami.

Jego imperium.

– Dobra, możecie iść do domu. I zapominamy o sobie.

– Umowa stoi – powiedziałem, ale czułem, że nigdy nie zapomnę Rolanda, nawet gdy kiedyś przeczytam jego nekrolog.

Kiwnął głową, bardziej do siebie niż do nas, i zaczął się oddalać. Wspiął się na niewielki pagórek odpadów i nagle zatrzymał się, tyłem do nas. Gdzieś niezbyt daleko głucho zawyła syrena.

– Moja matka była w porządku – powiedział. – Uczciwa. Wziąłem Angie za rękę.

- Zgadza się – odparłem. – Ale nie była nikomu potrzebna.

Jego plecy lekko drgnęły. Może to było wzruszenie ramion, a może coś innego.

– Fakt.

Ruszył dalej. Odprowadzaliśmy go wzrokiem, gdy przecinał plac i stawał się coraz mniejszy, w miarę jak zbliżał się do zrujnowanych czynszówek. Samotny księżę w drodze na swój tron, zdziwiony, że nie smakuje to tak słodko, jak powinno.

Patrzyliśmy, jak znika w ciemnej bramie, gdy bryza – chłodna jak na lato – nadleciała znad oceanu i powiała na północ, omiatając kamienice i nas, zimnymi palcami muskając nasze włosy i podążając dalej, do samego serca Bostonu. Ciepła dłoń Angie zacisnęła się na mojej ręce. Odwróciliśmy się i przestępując gruz, poszliśmy w ślad za wiatrem, z powrotem do naszej części miasta.